

1 Niedziela Adwentu
2 Niedziela Adwentu
3 Niedziela Adwentu
4 Niedziela Adwentu
Święto Świętej Rodziny
2 Niedziela po Bożym Narodzeniu
Chrzest Pański
1 Niedziela Wielkiego Postu
2 Niedziela Wielkiego Postu
3 Niedziela Wielkiego Postu
4 Niedziela Wielkiego Postu
5 Niedziela Wielkiego Postu
Niedziela Palmowa
Niedziela Wielkanocna Zmartwychwstania Pańskiego
2 Niedziela Wielkanocna
3 Niedziela Wielkanocna
4 Niedziela Wielkanocna
5 Niedziela Wielkanocna
6 Niedziela Wielkanocna
Wniebowstąpienie Pańskie
Zesłanie Ducha Świętego
2 Niedziela Zwykła
3 Niedziela Zwykła
4 Niedziela Zwykła
5 Niedziela Zwykła
6 Niedziela Zwykła
Niedziela Najświętszej Trójcy
9 Niedziela Zwykła
10 Niedziela Zwykła
11 Niedziela Zwykła
Narodzenie św. Jana Chrzciciela
13 Niedziela Zwykła
14 Niedziela Zwykła
15 Niedziela Zwykła
16 Niedziela Zwykła
17 Niedziela Zwykła
18 Niedziela Zwykła
19 Niedziela Zwykła
20 Niedziela Zwykła
Uroczystość Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej
22 Niedziela Zwykła
23 Niedziela Zwykła
24 Niedziela Zwykła
25 Niedziela Zwykła
26 Niedziela Zwykła
27 Niedziela Zwykła
28 Niedziela Zwykła
29 Niedziela Zwykła
30 Niedziela Zwykła
31 Niedziela Zwykła
32 Niedziela Zwykła
33 Niedziela Zwykła
34 Niedziela Zwykła, Chrystusa Króla Wszechświata

ADWENT

1 Niedziela Adwentu

Naszą przyszłością jest Niebo

Ewangelia (Mk 13, 33-37)

Jezus powiedział do swoich uczniów:

«Uważajcie, czuwajcie, bo nie wiecie, kiedy czas ten nadejdzie. Bo rzecz ma się podobnie jak z człowiekiem, który udał się w podróż. zostawił swój dom, powierzył swym sługom staranie o wszystko, każdemu wyznaczył zajęcie, a odźwiernemu przykazał, żeby czuwał.

Czuwajcie więc, bo nie wiecie, kiedy pan domu przyjdzie: z wieczora czy o północy, czy o pianiu kogutów, czy rankiem. By niespodzianie przyszedłszy, nie zastał was śpiących. Lecz co wam mówię, do wszystkich mówię: Czuwajcie!»

Dzisiejsze przepowiadanie Jezusa zaczyna się i kończy w ten sam sposób: wezwaniem do czuwania. A pomiędzy obydwojma „czuwajcie” Jezus przekazuje nam dwie nauki odnośnie do swojego powtórnego przyjścia, czyli chwili końca świata. Przyjrzyjmy się tym naukom uważnie.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że pierwszą z nauk Jezus chce w swoich słuchaczach wzbudzić poczucie strachu, a może i nawet przerażenia, w każdym razie w pozostawić ich w postawie jakiejś niepewności, ponieważ nie ujawnia im konkretnego momentu, w którym miałyby dobiec kresu ludzkie dzieje i miałyby zostać osądzona zarówno cała ludzkość, jak i każdy człowiek z osobna. Ale motyw, ze względu na który moment końca czasów pozostaje ukryty przed uczniami, jest zupełnie inny. Jezus nie chce uczniów ani przerazić, ani pozostawić w niepewności. Przed uczniami nie została ujawniona godzina ponownego przyjścia Jezusa na ziemię, gdyż Jego uczniowie ani nie mają dążyć do poznania chwili końca dziejów, ani też nie mają żyć obsesją coraz bliższego momentu nadejścia paruzji, czyli przyjścia Jezusa na ziemię, aby dokonać Sądu Ostatecznego. Oznacza to, że odnośnie do chwili końca świata uczniowie mają po prostu Bogu w sposób bezgraniczny

zaufać. To Bóg o tej chwili zdecyduje i nie jest to w najmniejszym nawet stopniu sprawa, którą uczniowie Jezusa mieliby jakkolwiek zaprzętać sobie głowę.

Skoro zatem uczniowie Jezusa nie mają się skupiać na momencie końca dziejów, to na czym w takim razie mieliby się skoncentrować?

Odpowiedzią na to pytanie jest druga z dzisiejszych nauk Jezusa. Jezus posługuje się tutaj przypowieścią o człowieku, który udał się w daleką podróż, a sługom pozostawił troskę o swój „dom”. Nie trudno zauważyć, że za obrazem owego człowieka, który udał się w podróż, kryje się sam Jezus, a „domem” jest założona przez Niego wspólnota, czyli Kościół. Zadaniem uczniów Jezusa jest więc troska o Kościół, co – zgodnie chociażby z ogólnym przesłaniem *Dekretu o działalności misyjnej Kościoła* soboru watykańskiego II – sprowadza się do ciągłego życia Ewangelią, czyli stałego kierowania się nią w dokonywanych wyborach, karmienie nią swojego serca itd. Tylko na tym uczniowie mają się skoncentrować.

Zbierając w całość dzisiejsze przepowiadanie Jezusa, można powiedzieć, że jedyną prawdziwie chrześcijańską postawą jest sekunda po sekundzie, minuta po minucie, godzina po godzinie, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku życie Ewangelią. Całkowicie natomiast obce chrześcijańskiemu duchowi jest – nawet gdyby wszystko wokół nas wskazywało, że może już bliski jest moment końca świata, gdyż chwieją się właśnie podstawy świata, coraz powszechniej są odrzucane przez innych zdrowe zasady moralne itd. – uleganie niepewności czy przerażeniu odnośnie do dalszych własnych losów, losów świata czy Kościoła. Decyzja o tym, kiedy świat ostatecznie przeminie i się skończy, należy do Boga. Nic w tej sprawie nie zależy od nas i niczego nie mamy tu pod kontrolą. Natomiast naszą sprawą, sprawą uczniów Jezusa, jest życie Ewangelią. Nic więcej, tylko tyle i aż tyle.

Jeśli więc Ewangelię pozostajemy wierni, to w przyszłość – bez względu na to, co się wokół nas dzieje – możemy patrzeć spokojnie i z bezgraniczną ufnością. Naszą przyszłością jest bowiem wieczne szczęście, gdyż – jak ujął to kiedyś kard. Joseph Ratzinger – w Miłości Boga jest zakorzeniona nasza wieczność. Oznacza to, że ten człowiek, którego kocha Bóg i który Bogu całkowicie zaufa, już nie przeminie. Takiego człowieka Miłość Boga czyni nieśmiertelnym. Ta zaś Miłość, obdarzająca człowieka nieśmiertelnością, jest Niebem.

2 Niedziela Adwentu

Początkiem wszelkiego dobra jest pokora

Ewangelia (Mk 1, 1-8)

Początek Ewangelii Jezusa Chrystusa, Syna Bożego.

Jak jest napisane u proroka Izajasza: «oto Ja posyłam wysłanica mego przed Tobą; on przygotuje drogę Twoją. Głos wołającego na pustyni: Przygotujcie drogę Panu, prostujcie dla Niego ścieżki», wystąpił Jan Chrzciciel na pustyni i głosił chrzest nawrócenia na odpuszczenie grzechów. Ciągnęła do niego cała judzka kraina oraz wszyscy mieszkańcy Jerozolimy i przyjmowali od niego chrzest w rzece Jordan, wyznając swoje grzechy.

Jan nosił odzienie z sierści wielbłądziej i pas skórzany około bioder, a żywił się szarańczą i miodem leśnym. I tak głosił: «idzie za mną mocniejszy ode mnie, a ja nie jestem godzien, aby schyliwszy się, rozwiązać rzemyk u Jego sandałów. Ja chrzcilem was wodą, on zaś chrzcić was będzie Duchem Świętym».

W Biblii wszystkie, nawet najdrobniejsze, szczegóły, słowa, miejsca, osoby czy wydarzenia są ważne, gdyż są nośnikami treści, które mają charakter zbawczy. Nie ma w Piśmie świętym treści nieważnych i warto nawet nad najdrobniejszymi epizodami, słowami itp. się zatrzymywać i je reflektować, aby wyciągnąć naukę, dzięki której nasze rozumienie Bożego Objawienia i nasza relacja z Bogiem się pogłębią. A dzisiejsza perykopa ewangeliczna takimi wartymi uwagi szczegółami jest nasycona. Pojawiły się w niej bowiem – żeby wymienić tylko te, które pewnie brzmiały nam jeszcze w uszach – takie wyrażenia, jak np.: wysłaniec, głos, pustynia, droga, odzienie z sierści wielbłądziej, pas skórzany, biodra, szarańcza, miód leśny, rzemyk, sandały czy rzeka Jordan. I nad każdym z tych pojęć można byłoby się zatrzymać, wniknąć w jego biblijne znaczenie, po czym odnieść je do własnego życia i swej osobistej relacji z Bogiem. Ale nie ma tu miejsca, aby zreflektować wszystkie te szczegóły. Zatrzymajmy się więc tylko nad jednym: rzeką Jordan.

Długość rzeki Jordan wynosi ok. 330 km, a powierzchnia dorzecza ok. 18 tys. km². Nie są to więc wielkości, które robią jakiegokolwiek wrażenie, jeśli się weźmie je w porównaniu do długości i powierzchni dorzecza rzek najdłuższych na Ziemi. Np. w porównaniu z Amazonką, której długość ocenia się na ok. 7000 tys. km, a powierzchnię dorzecza na ok.

7200 tys. km², rzeka Jordan przedstawia się wręcz niczym większy strumyk. Takich rzek jak Jordan, jeśli chodzi o długość i powierzchnię dorzecza, jest na naszym globie bardzo wiele. Wyjątkowość Jordanu polega na czym innym. Ustalmy więc na czym?

Jordan, co jest oczywiste, jest rzeką, która jest najczęściej wspominana w Biblii. Jest to też największa rzeka Palestyny. Pochodzenie nazwy rzeki Jordan wciąż jeszcze przez badaczy Pisma świętego nie zostało w sposób satysfakcjonujący wyjaśnione. Najczęściej uważa się, że etymologicznym źródłem nazwy rzeki Jordan jest czasownik hebrajski, który oznacza „czynność schodzenia”. Przy takim wyjaśnieniu „Jordan” to „schodzący”, względnie „zstępujący”. I jest to nawiązanie do schodzącego, zstępującego biegu tej rzeki. Jordan ma bowiem swoje źródła na zboczach góry Hermon i spływa z nich („zstępuje”, „schodzi”) z północy na południe Palestyny aż do depresji Morza Martwego, w którym kończy swój bieg. Trzeba też wiedzieć, że Jordan na większej części swej długości płynie znacznie poniżej poziomu morza, co sprawia, iż jest najniżej położoną rzeką na Ziemi i tym samym – pod tym właśnie względem rzeką – całkowicie wyjątkową wśród innych.

I teraz zwróćmy uwagę na to, że w tej najniżej położonej na Ziemi rzece Jan Chrzciciel udzielał chrztu nawrócenia i to jeszcze – jak z wielkim prawdopodobieństwem można przypuszczać – w pobliżu jej ujścia do Morza Martwego, czyli akwenu, którego lustro wody znajduje się w najniższym punkcie na Ziemi, w którym z powodu niezwyklego stężenia soli nie ma życia, jeśli nie uwzględnić nielicznych form bakterii, i który z powodu swej jałowości w ciągu wieków był też nazywany np. Morzem Cuchnącym lub Morzem Diabelskim.

Możemy się domyślać, że Jan Chrzciciel, od tych którzy chcieli przyjąć od niego chrzest nawrócenia, wymagał, aby wyznali swoje grzechy, a także pochylali się i całkowicie zanurzali w wodzie. Można więc powiedzieć, że w tamtych dniach, kiedy Jan Chrzciciel udzielał nad Jordanem chrztu, liczni mieszkańcy całej judzkiej krainy i Jerozolimy, swoje nawrócenie rozpoczynali – uwaga! – od zejścia najniżej jak tylko można było wówczas na Ziemi zejść.

W tym niby drobiazgu możemy jednak doszukać się ogromnie istotnej nauki, jeśli chodzi o rozwój ludzkiego życia duchowego i relacji z Bogiem. A znakomicie tę naukę wyraził św. Jan Chryzostom (zm. w 407 r.), jeden z największych kaznodziejów, wskazując,

że „choćbyś [chrześcijaninie] złączył z sobą post, jałmużnę, czystość i wszelkie inne cnoty, a pokory nie miał, to wszystko się rozsypie w pył i zaginie”, czyli – jak biorąc pod uwagę treści związane z dzisiejszą Ewangelią, można powiedzieć – pogrąży się w nicości, niczym ryba, której przydarzy się wpaść wraz z nurtem Jordanu do śmiercionośnych wód Morza Martwego. A mówiąc inaczej – i znowu przywołując św. Jana Chryzostoma – „jak pycha jest źródłem wszelkiego zła [i śmierci], tak pokora początkiem wszelkiej cnoty [i dobra]” (Jan Chryzostom, *Myśli św. Jana Chryzostoma*, red. Józef Birkenmajer, Poznań 1937, myśl 141 i 142).

3 Niedziela Adwentu

Chrześcijanin to świadek łaskowości Boga

Ewangelia (J 1, 6-8. 19-28)

Pojawił się człowiek posłany przez Boga – Jan mu było na imię. Przyszedł on na świadectwo, aby zaświadczyć o światłości, by wszyscy uwierzyli przez niego. Nie był on światłością, lecz został posłany, aby zaświadczyć o światłości.

Takie jest świadectwo Jana. Gdy Żydzi wysłali do niego z Jerozolimy kapłanów i lewitów z zapytaniem: «Kto ty jesteś?», on wyznał, a nie zaprzeczył, oświadczając: «Ja nie jestem Mesjaszem».

Zapytali go: «Cóż zatem? Czy jesteś Eliaszem?» Odrzekł: «Nie jestem». «Czy ty jesteś prorokiem?» Odparł: «Nie». Powiedzieli mu więc: «Kim jesteś, abyśmy mogli dać odpowiedź tym, którzy nas wysłali? Co mówisz sam o sobie?»

Powiedział: «Jam głos wołającego na pustyni: Prostujcie drogę Pańską, jak rzekł prorok Izajasz». A wysłannicy byli spośród faryzeuszów. i zaczęli go pytać, mówiąc do niego: «Czemu zatem chrzczisz, skoro nie jesteś ani Mesjaszem, ani Eliaszem, ani prorokiem?» Jan im tak odpowiedział: «Ja chrzczę wodą. Pośród was stoi Ten, którego wy nie znacie, który po mnie idzie, a któremu ja nie jestem godzien odwiązać rzemyka u Jego sandała».

Działo się to w Betanii, po drugiej stronie Jordanu, gdzie Jan udzielał chrztu.

Być może słysząc pytanie, jakie zostało dziś zadane Janowi Chrzcicielowi, przypomniały się nam od razu szkolne czasy, kiedy uczyliśmy się na pamięć patriotycznego wiersza autorstwa Władysława Bełzy, wydanego po raz pierwszy w 1900 r. w tomiku „Katechizm polskiego dziecka”. I pewnie wciąż jeszcze bez większego trudu możemy sobie z pamięci wydobyć te proste, patriotyczne treści:

„Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały. Gdzie ty mieszkasz? Między swemi. W jakim kraju? W polskiej ziemi. Czym ta ziemia? Mą Ojczyzną. Czym zdobyta? Krwią i blizną. Czy ją kochasz? Kocham szczerze. A w co wierzysz? W Polskę wierzę. Coś ty dla niej? Wdzięczne dziecię. Coś jej winien? Oddać życie”.

Przypomnijmy jeszcze tylko, że w wersji dziewczęcej/kobiecej pierwsze strofy brzmiały nieco inaczej niż w tej dla chłopców/mężczyzn:

„Kto ty jesteś? Polka mała. Jaki znak twój? Lilia biała”.

Nietrudno dojść do spostrzeżenia, że dzięki swej prostej formule, nawiązującej do dziecięcych wyliczanek, wiersz Bełzy jest znakomitym narzędziem, które pozwala kolejnym pokoleniom Polaków już w dzieciństwie nauczyć się tego, na czym polega tożsamość Polaka, a także zapamiętać podstawowe polskie znaki i symbole narodowe.

I zauważmy, że Jan Chrzciciel został przez przedstawicieli Żydów zapytany właśnie o swoją tożsamość: „Kim ty jesteś?”. A po zaprzeczeniach, gdyż Żydzi sugerowali mu, że być może jest Eliaszem lub jednym z proroków, Jan określił siebie jako „głos wołającego na pustyni: Prostujcie drogę Pańską”. Można więc powiedzieć, że Jan określa samego siebie jako tego, którego jedynym zadaniem jest przygotowanie ludzi na spotkanie z nadchodzącym Bogiem, danie świadectwa o Jezusie jako Bożym Synu i bycie Jego prawdziwym świadkiem.

A na czym polega nasza, moja tożsamość? Kim jesteśmy? Kim ja jestem?

Na pewno jesteśmy Polakami, albo przedstawicielami jakiejś innej nacji. Jesteśmy – w zależności od stanu życia – małżonkami, osobami żyjącymi samotnie, duchownymi itd. Jesteśmy dziećmi, ludźmi młodymi lub w podeszłym wieku. Jesteśmy nauczycielami, kierowcami, sklepikarzami, fryzjerami itd. Wszystkie te określenia owszem definiują naszą osobistą tożsamość, taką bądź inną, ale – zauważmy – w ogóle nie sięgają do jej najgłębszego fundamentu. Od momentu chrztu jesteśmy, ja jestem przede wszystkim CHRZEŚCIJANINEM!!! To jest naszą, moją tożsamością, a wszystko inne jest tylko dodatkiem do niej, jej uzupełnieniem, rozwinięciem itd.

A co to znaczy być chrześcijaninem?

Na to pytanie warto dziś odpowiedzieć, spoglądając na Jan Chrzciciela i wziąć pod uwagę to, co on o sobie powiedział, tzn. jak zdefiniował swoją najgłębszą tożsamość.

Tu zauważmy najpierw, że imię Jan jest pochodzenia hebrajskiego i oznacza tyle, co „Bóg jest łaskawy”. Można więc powiedzieć, że całe przepowiadanie Jana Chrzciciela i wskazywanie przez niego na Jezusa jako Bożego Baranka w gruncie sprowadza się do dawania świadectwa o tym, że Bóg jest łaskawy. A ta łaskawość Boga najpełniej objawiła się

na Golgocie, gdy Miłość została ukrzyżowana, aby wszyscy ludzie, jeśli tylko tego zechcą, mogli mieć udział w wiecznej szczęśliwości.

A teraz przyjrzyjmy się, jak inaczej jeszcze można określić, co oznacza łaskawość Boga. Z pomocą przychodzi nam tutaj „Słownik języka polskiego”, w którym odnajdujemy, że „łaskawość” oznacza tyle, co „wspaniałomyślność”, „wielkoduszność”, „dobroć”, „życzliwość”, „przyjazność”, „łagodność”, „wyzbycie się surowości” czy „nie bycie dokuczliwym”. A zatem łaskawość Boga oznacza, że jest od Dobrocią, Łagodnością, Wspaniałomyślnością, Wielkodusznością, Życzliwością itd.

Skoro zatem naszą, moją najgłębszą tożsamość od momentu chrztu określa bycie chrześcijaninem, to – biorąc pod uwagę treści związane z dzisiejszym fragmentem Ewangelii – można powiedzieć, że jedynym naszym, moim zadaniem jest dawanie świadectwa o łaskawości Boga.

A jak to czynić?

Nic trudniejszego, gdyż chodzi tylko o to, aby być wspaniałomyślnym, wielkodusznym, życzliwym, przyjaznym, łagodnym, wyzbytym z surowości, niedokuczliwym: Polakiem, małżonkiem, dzieckiem, rodzicem, nauczycielem, kierowcą, księdzem itd. Mówiąc inaczej, chrześcijanin to człowiek, który wzorem Ukrzyżowanej Miłości, jest dla ludzi dobry!

4 Niedziela Adwentu

Otwórz się na wielkie niespodzianki Pana Boga!

Ewangelia (Łk 1, 26-38)

Bóg posłał anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do dziewicy poślubionej mężowi imieniem Józef, z rodu Dawida; a dziewicy było na imię Maryja.

Wszedłszy do Niej, Anioł rzekł: «Bądź pozdrowiona, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławiona jesteś między niewiastami ». Ona zmieszała się na te słowa i rozważała, co by miało znaczyć to pozdrowienie.

Lecz anioł rzekł do Niej: «Nie bój się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodysz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie on wielki i zostanie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca».

Na to Maryja rzekła do anioła: «Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?»

Anioł Jej odpowiedział: «Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego okryje Cię cieniem. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym. a oto również krewna Twoja, Elżbieta, poczęła w swej starości syna i jest już w szóstym miesiącu ta, którą miano za nieplodną. Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego».

Na to rzekła Maryja: «Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego».

Wtedy odszedł od Niej Anioł.

Słyszałem kiedyś wspomnienie o pewnym zdarzeniu z czasów II wojny światowej. Działo się to zimą na przełomie bodajże 1942 i 1943 r., kiedy to do drzwi domu na jednej z wsi na Podlasiu zastukał wielce zasapany młody mężczyzna. Poprosił gospodarzy o schronienie, ponieważ był zajadle ścigany przez patrol niemieckich żołnierzy. Gospodarze, dwoje starszków, bez wahania postanowili mu pomóc i umieścili mężczyznę w skrytce pod podłogą w kuchni. Nad wejściem do skrytki położyli dywan, a na nim ustawili ciężki stół otoczony kilkoma krzesłami. Na środku stołu – dla niepoznaki – postawili popielniczkę z tłącymi się niedopałkami papierosów, wokół rozłożyli talerze, sztućce i kubki, a na podłodze

rozzucili jeszcze bezładnie parę gazet. Szczęśliwie się złożyło, że wraz z przybyciem mężczyzny zaczął wiać silny wiatr i sypać bardzo gęsty śnieg. Dzięki temu bowiem w bardzo krótkim czasie zostały zasypane wszystkie ślady, które mogłyby niemieckich żołnierzy naprowadzić na trop zbiega. Kilkanaście minut później do wsi przybyli niemieccy żołnierze i od razu zaczęli chodzić od domu do domu, szukając mężczyzny i grożąc mieszkańcom, że jeśli nie wydają zbiega, a zostanie on w którymś z gospodarstw znaleziony, to wszystkich czeka śmierć. Wkrótce żołnierze dotarli do domu staruszków i weszli na kilka minut do środka. Zagląдали niemal wszędzie. Ponieważ nie zauważyli niczego podejrzanego, wyszli i udali się dalej. Dopiero po kilku godzinach staruszkowie wyciągnęli wciąż przerażonego mężczyznę. Okazało się, że włosy na jego głowie całkowicie posiwiały. Staruszkowie widząc, co się stało, mogli się tylko domyślać, jakie myśli kłębiły się w głowie młodzieńca, gdy słyszał nad sobą skrzypiące ciężkie buty niemieckich żołnierzy. Wszystkie te myśli – jak sądzę – można by śmiało określić jako swego rodzaju mieszaninę zarazem przeraźliwego strachu i wielkiej nadziei, że uda się ocaleć.

Lęk, strach, trwoga, obawa, przerażenie itp. nie są nam obce. Każdy człowiek ich doświadcza, z różnych powodów. Jednego paraliżuje chroniczny strach przed utratą pracy, inny stale się niepokoi o przyszłość dzieci, jeszcze ktoś inny co kilka dni budzi się z krzykiem w środku nocy, bo właśnie poczuł lęk przed nieuleczalną chorobą czy we śnie ujrzał moment własnej śmierci, do której nie zdążył się w ogóle przygotować. Zauważmy, że podczas spotkania z aniołem Gabrielem, o którym usłyszeliśmy w dzisiejszym fragmencie Ewangelii, lęku doświadczyła także Maryja. Anioł zwrócił się przecież do niej słowami: „Nie bój się!”, gdyż poznał, że jego nieoczekiwana wizyta i niezrozumiałe słowa, które właśnie wypowiedział, wprawiły Maryję w bojaźliwe zakłopotanie. Co więcej, nawet samego Jezusa w Ogrodzie Oliwnym na kilkanaście godzin przed oczekiwaną śmiercią ogarnęło z wątpienie, lęk, smutek i przerażenie (por. Mk 14, 33n).

Ale jeśli poddamy się tym naszym ludzkim strachom, na nich się skupimy i zatrzymamy, to nasze życie szybko stanie się gorzkie, smutne, wręcz czarne. Zniknie z naszego życia radość i nadzieja, a zaczną w nim królować niepowodzenia, upadki, klęski czy skrzywdzenia. Nie będzie przyszłości, a nawet jeśli sięgniemy wzrokiem nieco dalej niż te najbliższe kilka godzin, dni, może tygodni, to i tak zobaczymy tam wielką czarną dziurę, z której najmniejszy promyk światła nie może się wychylić choćby tylko na milimetr!

I teraz zwróćmy uwagę, że anioł Gabriel, gdy tylko spostrzegł, że Maryja się lęka, od razu, niezwłocznie, bez chwili nawet oczekiwania powiedział Jej, iż znalazła łaskę u Boga! W ten sposób anioł błyskawicznie swoimi słowami skierował uwagę Maryi w inną stronę niż niepokój, który właśnie przeżywała. Nie na lęku czy niepewności przyszłości Maryja miała się skupiać, ale całe swoje serce miała jeszcze bardziej zakotwiczyć w Bogu, gdyż od tej chwili Jej losy, a przyszłość pokazała, że były naznaczone cierpieniem, miały być już nieodwołanie związane z Bożymi planami. I Maryja, owszem szuka, dopytuje, ale się nie buntuje i z całym zaufaniem wieńczy swoje spotkanie z aniołem słowami: „Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego”.

Od Maryi możemy się dziś uczyć ufego zgodzenia się na życie i to, co ono nam będzie przynosić. A ta zgoda nie oznacza dążenia do zrozumienia wszystkiego: dlaczego utraciłem pracę, dlaczego dziecko mi umarło, dlaczego śmiertelnie zachorowałem, dlaczego... Ta zgoda nie oznacza także chęci przewidzenia dokładnie wszystkiego, co miałyby nas jeszcze w życiu spotkać. Od Maryi możemy się dziś uczyć ufego otwarcia się na wielkie niespodzianki, które Bóg nam jeszcze przygotował. A każdą z tych niespodzianek należałoby przyjmować tak, jak pewnie przyjął swą ów mężczyzna, którego wojenne losy przywołałem na początku.

OKRES BOŻEGO NARODZENIA

Święto Świętej Rodziny

Jezusa, Maryi i Józefa: Ludzie starsi – strażnicy pamięci

Ewangelia (Łk 2, 22-40)

Gdy upłynęły dni ich oczyszczenia według Prawa Mojżeszowego, Rodzice przynieśli Jezusa do Jerozolimy, aby przedstawić Go Panu. Tak bowiem jest napisane w Prawie Pańskim: «Każde pierworodne dziecko płci męskiej będzie poświęcone Panu». Mieli również złożyć w ofierze parę synogarlic albo dwa młode gołębie, zgodnie z przepisem Prawa Pańskiego.

A żył w Jeruzalem człowiek imieniem Symeon. Był to człowiek sprawiedliwy i pobożny, wyczekujący pociechy Izraela; a Duch Święty spoczywał na nim. Jemu Duch Święty objawił, że nie ujrzy śmierci, aż zobaczy Mesjasza Pańskiego. Z natchnienia więc Ducha przyszedł do świątyni.

A gdy Rodzice wnosili dzieciątko Jezus, aby postąpić z Nim według zwyczaju Prawa, on wziął Je w objęcia, błogosławił Boga i mówił: «Teraz, o Władco, pozwalasz odejść służbę Twemu w pokoju, według Twojego słowa. Bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie, które przygotowałeś wobec wszystkich narodów: światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego, Izraela».

A Jego ojciec i Matka dziwili się temu, co o Nim mówiono. Symeon zaś błogosławił ich i rzekł do Maryi, Matki Jego: «Oto Ten przeznaczony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, i na znak, któremu sprzeciwiać się będą – a Twoją duszę miecz przeniknie – aby na jaw wyszły zamysły serc wielu».

Była tam również prorokini Anna, córka Fanuela z pokolenia Asera, bardzo podeszła w latach. Od swego panieństwa siedem lat żyła z mężem i pozostała wdową.

Liczyła już sobie osiemdziesiąt cztery lata. Nie rozstawiała się ze świątynią, służąc Bogu w postach i modlitwach dniem i nocą. Przyszedłszy w tej właśnie chwili, sławiła Boga i mówiła o Nim wszystkim, którzy oczekiwali wyzwolenia Jeruzalem.

A gdy wypełnili wszystko według Prawa Pańskiego, wrócili do Galilei, do swego miasta – Nazaretu. Dziecię zaś rosło i nabierało mocy, napelniając się mądrością, a łaska Boża spoczywała na Nim.

Parę miesięcy temu minęło dokładnie 10 lat od śmierci (09.07.2010) Roberta Butlera, amerykańskiego lekarza geriatry, psychiatry i gerontologa. W 1975 r. Butler założył w USA Narodowy Instytut Starzenia się, jest także autorem książek poświęconych starości i starzeniu się. Butler do języka naukowego wprowadził pojęcie „ageizmu”. Ageizm oznacza – przez analogię do takich określeń jak np. rasizm, seksizm – dyskryminację oraz przyjmowanie nieuzasadnionych poglądów, ocen itp. na temat osób lub całych grup społecznych ze względu na ich wiek. Ageizm najczęściej objawia się w problemach, jakie mają osoby starsze na rynku pracy, a konkretnie chodzi o jej znalezienie lub utrzymanie. Ageizm wiąże się także z lekceważącym traktowaniem osób starszych, zaniedbywaniem ich, nadużywaniem wobec nich siły fizycznej, a skrajnym przejawem ageizmu jest eksterminacja (uśmiercanie) starszków powodowana uznaniem ich za nieprzydatnych. Ageizm jest – jak można ocenić na podstawie wielu badań naukowych – poważnym problemem społecznym w wielu krajach, także w Polsce. Badacze wskazują np., że ok. 90% studentów ma negatywny obraz człowieka starego, szablonowo uważając takie osoby za złośliwe, niedołążne, zagubione, agresywne i bez powodzenia szukające swojego miejsca w życiu.

Podajmy parę przykładów ageizmu (za: Joanna Nicole-Urbanowicz, *Ageizm i dyskryminacja ze względu na wiek*, Niebieska Linia 6/2006).

Pierwszy, w latach 80. XX w. Pat Mooe, amerykańska projektantka mody, przez trzy lata prowadziła ciekawy eksperyment. W tym czasie wielokrotnie wychodziła na ulice Nowego Yorku w przebraniu kobiety w podeszłym wieku. Jej kamuflaż był niemal doskonały, gdyż oprócz odpowiedniego ubrania nakładała: maseczkę z mleka kauczukowego imitującą starą skórę, perukę, okulary, wosk w uszach, by znacząco przytępić słuch i oliwkę do oczu, by osłabić sobie wzrok. Nawet osoby bliskie, gdy spotkały Pat Mooe przypadkowo na ulicy, w tym przebraniu nie były w stanie jej rozpoznać. Jakie były reakcje otoczenia? „Staruszkę” bez najmniejszej krępacji oszukiwano przy wydawaniu reszty, wpychano się przed nią w kolejkach, często wyzywano ją i upokarzano. A już najciekawsze jest to, że ci sami

sklepikarze, którzy „staruszkę” Pat regularnie obśmiewali i zatrzymywali należną jej resztę, w stosunku do „młodziutkiej” Pat, gdy w ich sklepach pojawiła się ona tylko w swej normalnej postaci, byli zawsze szarmanccy i obsługiwali ją cierpliwie.

Drugi przykład, pod koniec 2005 r. w Australii tamtejszy sąd uznał, że kilka kobiet – w wieku pomiędzy 36 a 56 lat – podczas rekrutacji do pracy padło ofiarami dyskryminacji ze względu na wiek. Tym kobietom komisja konkursowa kazała śpiewać i tańczyć, by sprawdzić, czy pasują do wizerunku firmy, a była to australijska linia lotnicza Virgin Blue. Natomiast gdy w ramach tego samego konkursu rekrutacyjnego przed komisją stanęły dwie atrakcyjne dwudziestoparolatki, członkowie komisji bezkrytycznie piali niemalże z zachwytem nad „kompetencjami” tych kobiet.

Trzeci przykład pochodzi z naszego kraju. Można było kiedyś w miejscach publicznych zobaczyć plakat reklamowy. Na żółtym tle był na tym plakacie intensywnym kolorem namalowany znak zakazu wjazdu (dla niezmotoryzowanych wyjaśniam: czerwone koło z dużą białą poprzeczną krechą na środku). Natomiast wewnątrz tego znaku zakazu wjazdu była umieszczona otyła kobieta, uczesana w kok, która trzymała w rękach siatki wypełnione zakupami. A pod obrazkiem był napis: „Za stara na STARA”. Trzeba tu przypomnieć jeszcze, że ów „drugi STAR” to były popularne i uwielbiane przez młodzież w tamtych latach chipsy.

Popatrzmy teraz na dzisiejszy fragment Ewangelii. Spotykamy tu dwoje staruszków: Symeona i Annę. Ten pierwszy wyśpiewuje hymn swojego pożegnania ze światem, w którym jednocześnie wyraża nadzieję, że oto ogląda urzeczywistnienie się swoich nadziei i przeczuwa, że Dziecię, które widzi, otworzy szeroko na oścież ludziom bramy nieba. A Anna w tym samym momencie chwali Boga i mówi napotykanym ludziom o wielkich dziełach, które On czyni.

Ale myliłby się ten, kto w Symeonie i Annie chciałby widzieć owszem pocziwych, ale już bardzo zniedołężniałych staruszków. Obydwoje są potężnymi mistykami, którzy może nie czynią niczego spektakularnego, ale mają to, co jest dla człowieka najważniejsze: ich serca są idealnie dostrojone do częstotliwości, na której nadaje Najwyższy!!! To dzięki temu zestrojeniu Symeon i Anna błyskawicznie rozpoznają w Niemowlaku, którego Maryja i Józef właśnie przynieśli do jerozolimskiej świątyni, Boga-Człowieka.

Jak nauka wypływa z dzisiejszej ewangelicznej perykopy?

Myślę, że w kontekście wspomnianego na początku ageizmu i problemów, które to pojęcie oznacza, jako odpowiedź na powyższe pytanie warto przypomnieć słowa św. Jana Pawła II, wyrażone w 1999 r. w liście *Do moich Braci i Sióstr – ludzi w podeszłym wieku*: „Ludzie starzy pomagają nam mądrzej patrzeć na ziemskie wydarzenia, ponieważ dzięki życiowym doświadczeniom zyskali wiedzę i dojrzałość. Są strażnikami pamięci zbiorowej, a więc mają szczególny tytuł, aby być wyrazicielami wspólnych ideałów i wartości, które są podstawą i regułą życia społecznego. Wykluczyć ich ze społeczeństwa znaczy w imię nowoczesności pozbawionej pamięci odrzucić przeszłość, w której zakorzeniona jest teraźniejszość. Ludzie starsi dzięki swej dojrzałości i doświadczeniu mogą udzielać młodym rad i cennych pouczeń”.

Szanujmy zatem ludzi starszych i korzystajmy z ich życiowej mądrości!

2 Niedziela po Bożym Narodzeniu

Jezus z Nazaretu – Emmanuel

Ewangelia (J 1, 1-18)

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo. ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, z tego, co się stało.

W Nim było życie, a życie było światłością ludzi, a światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła.

Pojawił się człowiek posłany przez Boga – Jan mu było na imię. Przyszedł on na świadectwo, aby zaświadczyć o światłości, by wszyscy uwierzyli przez niego. Nie był on światłością, lecz został posłany, aby zaświadczyć o światłości.

Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi. Na świecie było Słowo, a świat stał się przez Nie, lecz świat Go nie poznał. Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego – którzy ani z krwi, ani z żądzy ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili.

A Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas. I oglądaliśmy Jego chwałę, chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od ojca, pełen łaski i prawdy.

Jan daje o Nim świadectwo i głośno woła w słowach: «Ten był, o którym powiedziałem: Ten, który po mnie idzie, przewyższył mnie godnością, gdyż był wcześniej ode mnie». Z Jego pełni wszyscy otrzymaliśmy – łaskę po łasce.

Podczas gdy Prawo zostało dane za pośrednictwem Mojżesza, łaska i prawda przyszły przez Jezusa Chrystusa. Boga nikt nigdy nie widział; ten Jednorodzony Bóg, który jest w łonie ojca, o Nim pouczył.

Starożytni ludy, w szczególności te żyjące na Bliskim Wschodzie, ogromne znaczenie przywiązywały do imion. Wierzano bowiem, że imiona objawiają charakter, tożsamość i określają egzystencję danej osoby. Według opinii starożytnych imiona pokazywały więc, kim jest dany człowiek, czego można się po nim spodziewać, jak zazwyczaj postępuje, jakie są

cele jego życia itp. Natomiast w odniesieniu do bóstw wierzone, że poznanie imion poszczególnych bóstw umożliwiało ludziom kontakt z nimi, składanie ofiar zgodnie z oczekiwaniami danego bóstwa i dzięki temu uproszenie określonych, potrzebnych łask.

Również imiona pojawiające się w Biblii, która historycznie jest przecież osadzona w środowisku starożytnego Bliskiego Wschodu, obrazują charakter danej osoby, którą oznaczają. I tak np. spotykamy w Biblii bardzo wiele imion teoforycznych, czyli oznaczających osoby „noszące Boga” (określenie „teo-foryczny” pochodzi z języka greckiego: *teo* (Boga) + *foros* (niosący) – tak jak Krzysztof (*Christo-foros*) oznacza „niosący Chrystusa”), np. Daniel (*moim sędzią jest Bóg*), Gabriel (*Bóg jest moją siłą*) czy Tobiasz (*Bóg jest moim bogactwem*). Zaś w odniesieniu do imienia Bożego można w Biblii przeczytać np., że Bóg sam objawił człowiekowi swoje imię (Wj 3, 14). W ten sposób Bóg pozwolił człowiekowi zbliżyć się do swojej tajemnicy i głębokiej zażyłości ze sobą (J 17, 6.26).

Wśród biblijnych imion szczególną wagę ma imię Emmanuel. Należy ono do grupy wspomnianych wyżej imion teoforycznych i wywodzi się od hebrajskiego wyrażenia *'immanu 'el*, czyli „Bóg z nami”. Taką etymologię tego imienia podają nam fragmenty Księgi Izajasza (6, 1 – 9, 6), które zawierają najważniejsze proroctwa dotyczące nadzwyczajnego mesjańskiego Chłopca, Emmanuela. Chrześcijanie odnoszą te proroctwa do Marii z Nazaretu i zrodzonego z niej Syna – Jezusa Chrystusa, który wprowadzie przez swojego ziemskiego opiekuna, św. Józefa, nie został nazwany imieniem Emmanuel (Mt 1, 23), ale poprzez swoje dzieło zmanifestował definitywną obecność Boga pośród ludzi (Mt 28, 20).

Zauważmy, że w dzisiejszym fragmencie Ewangelii pojawia się sformułowanie, które koresponduje ze wspomnianym wyżej Izajaszowym proroctwem o Emmanuelu – Bogu z nami, ludźmi. Jan Ewangelista w swojej wizji przedstawia nam dzisiaj prawdę, że Przedwieczne Słowo (Syn Boży; Druga Osoba Trójcy Świętej), pełne stwórczych mocy, na zawsze i nieodwołalnie zjednoczyło się nierozzerwalnymi więzami z ludźmi, stając się jednym z nich i zamieszkując wśród nich. „Słowo ciałem się stało” oznacza więc, że Syn Boży stał się prawdziwym człowiekiem z tego świata. Dalej, oznacza też, że w momencie Wcielenia Słowa pomiędzy niebem a ziemią, wiecznością a czasem został przerzucony most, który połączył Nieskończonego Boga ze skończonym człowiekiem, Stwórcę ze stworzeniem. A „zamieszkanie Słowa pośród ludzi” grecki tekst dzisiejszej perykopy ewangelicznej oddaje hebraizmem „Słowo rozbiło swój namiot wśród ludzi”. Ojcowie Kościoła (np. św. Grzegorz z

Nyssy) tłumaczą, że Bóg rozbił swój namiot obok naszych ludzkich namiotów po to, aby towarzyszyć w drodze do wieczności każdemu utrudzonemu i poranionemu przez grzech człowiekowi. Dzięki temu nasze życie jest pielgrzymowaniem do Nieba po drodze uświęconej stałą i nieodwołalną obecnością Boga.

Jaka nauka wypływa z tych refleksji?

Na pewno warto sobie uzmysłwić, że okres Bożego Narodzenia, w tym oczywiście i odczytany dzisiaj fragment Ewangelii, corocznie przypominają nam zadziwiający Boży dar, jaki otrzymaliśmy: Bóg na zawsze stał się jednym z ludzi i pośród ludzi zamieszkał. Jezus z Nazaretu jest zapowiadany przez proroka Izajasza Emmanuelem – Bogiem z nami. Warto też sobie przypomnieć, że istnieją podczas sprawowania liturgii gesty, którymi w szczególny sposób zgromadzeni na celebracji czczą Tajemnicę Wcielenia. Chodzi tu o to, że w trakcie wyznania wiary, gdy recytujemy Credo, pochylamy ciało (czyniąc głęboki ukłon) na słowa: „[...] i za sprawą Ducha Świętego przyjął Ciało z Maryi Dziewicy i stał się człowiekiem”, zaś w Uroczystość Zwiastowania NMP i Narodzenia Pańskiego, wypowiadając te słowa klękamy. Również podczas odmawiania modlitwy Anioł Pański pięknym zwyczajem byłoby pochylanie głowy na znak czci wobec uniżenia, jakiego dokonał Syn Boży, stając się człowiekiem, gdy będziemy wypowiadali fragment: „A Słowo ciałem się stało”.

Tak! Wierzmy, że Jezus z Nazaretu jest Emmanuelem, Bogiem z nami, Wcielonym Synem Bożym, naszym Odkupicielem i Zmartwychwstałym Panem. Tylko dzięki Niemu na wskroś otwarły się dla nas, ludzi bramy Nieba.

Chrzest Pański

Nasze groby staną się kiedyś puste

Ewangelia (Mk 1, 7-11)

Jan Chrzciciel tak głosił: «idzie za mną mocniejszy ode mnie, a ja nie jestem godzien, aby schyliwszy się, rozwiązać rzemyk u Jego sandałów. Ja chrzcilem was wodą, On zaś chrzcić was będzie Duchem Świętym».

W owym czasie przyszedł Jezus z Nazaretu w Galilei i przyjął od Jana chrzest w Jordanie. W chwili gdy wychodził z wody, ujrzał rozwierające się niebo i Ducha jak gołębicę zstępującego na Niego. A z nieba odezwał się głos: «Ty jesteś moim Synem umiłowanym, w Tobie mam upodobanie».

Woda zazwyczaj kojarzy się nam z życiem, gdyż prosta obserwacja otaczającego nas świata podpowiada, że tam, gdzie brak jest wody, nie ma również i życia. Nieprzypadkowo więc np. starożytny grecki filozof Tales z Miletu ocenił, że woda jest przasadą (*arche*) rzeczywistości. A również i współcześnie, gdy naukowcy chcą wstępnie ocenić, czy gdzieś poza Ziemią w kosmosie może istnieć życie, to zaczynają zazwyczaj od poszukiwania na danym ciele niebieskim śladów wody.

Ale woda oznacza nie tylko życie, odnosi się bowiem również do śmierci. Są przecież takie wody, które przynoszą śmierć. Takie są np. wezbrane wody powodzi, które dewastują i pochłaniają wszystko, co na swojej drodze napotkają. Nie dziwi więc, że w Biblii woda symbolizuje nie tylko Boską potęgę życia czy moc oczyszczającą człowieka z grzechów, ale także kojarzona jest z niespodziewanym nieszczęściem, śmiercią, a nawet szatańskim niepokojem i przykrym smakiem rozpaczy otchłani. I aby uchwycić przesłanie dzisiejszego fragmentu Ewangelii, warto wodę, o której dziś słyszymy, powiązać ze śmiercią i zwrócić uwagę na to, co się zadziało w momencie, gdy Jezus z Jordanu wychodził.

Zauważmy, że Jezus, aby otrzymać chrzest od Jana, najpierw do wód Jordanu wszedł i w nich się zanurzył. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że wodę Jordanu można tu symbolicznie wiązać ze śmiercią, to jasne stanie się, że moment zanurzenia się Jezusa w wodzie, staje się zapowiedzią Jego śmierci na Krzyżu. Śmierci rzeczywistej, a nie pozornej. Śmierci takiej, jaka jest udziałem każdego człowieka. Słyszymy więc dzisiaj zapowiedź wydarzenia, które

rozegra się za parę lat na Golgocie i w którym w całej pełni ujawnią się konsekwencje, jakie przyjął na siebie Syn Boży w chwili, kiedy to w Nazarecie podczas Zwiastowania Pańskiego stał się jednym z ludzi.

Dalej, zwróćmy uwagę, że po otrzymaniu od Jana chrztu Jezus wynurzył się i wyszedł z wody. Natomiast kiedy to się działo, został napełniony Duchem Świętym. A Ojciec Niebieski złożył świadectwo, że posłał Swojego Syna na świat w tym celu, aby zrealizował plan odkupienia ludzkości, czyli odwrócił konsekwencje grzechu pierworodnego. W wydarzeniu wychodzenia Jezusa z wody widzimy zatem zapowiedź tego, co ma się dokonać po trzech dniach od ukrzyżowania Jezusa. Wówczas to Zmartwychwstały Jezus w mocy Ducha Świętego wyjdzie z grobu, aby tym samym raz na zawsze pokonać śmierć i wyrwać ludzkość ze szponów Szatana. Słyszymy więc dzisiaj zapowiedź tego, że od momentu Zmartwychwstania Pana już nie do śmierci i Szatana będzie należał ostatni głos, jeśli chodzi o wieczny los poszczególnych ludzi.

Biorąc pod uwagę powyższe spostrzeżenia, można powiedzieć, że dzisiejsze ewangeliczne wydarzenia obrazują słowa, które za chwilę wypowiemy w Credo: „On [Bóg z Boga; Światłość ze Światłości; Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego; Zrodzony, a nie stworzony; współistotny Ojcu] to dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba. I za sprawą Ducha Świętego przyjął ciało z Maryi Dziewicy i stał się człowiekiem. Ukrzyżowany również za nas pod Poncjuszem Piłatem został umęczony i pogrzebany. I zmartwychwstał dnia trzeciego, jak oznajmia Pismo. I wstąpił do nieba; siedzi po prawicy Ojca. I powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca”.

Wypowiadając zaś dalsze fragmenty Credo, ożywy nadzieję, że śmierć nie będzie postawieniem ostatecznej kropki w naszym życiorysie. W święto Chrztu Pańskiego w sposób szczególny wyrażmy więc nadzieję, że nasze groby – podobnie jak grób Jezusa, a także dzięki Jego śmierci i powstaniu z martwych – staną się kiedyś puste!!!

WIELKI POST

1 Niedziela Wielkiego Postu

Ile może się we mnie zmienić w ciągu czterdziestu dni?

Ewangelia (Mk 1, 12-15)

Duch wyprowadził Jezusa na pustynię. A przebywał na pustyni czterdzieści dni, kuszony przez Szatana, i był ze zwierzętami, aniołowie zaś Mu służyli.

Gdy Jan został uwięziony, Jezus przyszedł do Galilei i głosił Ewangelię Bożą. Mówił: «Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!»

Wielki Post – jak dobrze wiemy – trwa czterdzieści dni i nocy. Jest to okres liturgiczny, który każdego roku na nowo przygotowuje nas do coraz owocniejszego przeżywania Uroczystości Zmartwychwstania Chrystusa. Nietrudno też – mając chociażby na uwadze dzisiejszą perykopę ewangeliczną – dostrzec, że Wielki Post swoje źródło ma przede wszystkim w czterdziestodniowym pobycie Jezusa na pustyni, kiedy to Pan przygotowywał się do podjęcia dzieła odkupienia ludzkości.

Warto też wspomnieć, że w Biblii liczba czterdzieści, jeśli jest odniesiona do czasu, to zawsze wskazuje na jego szczególny charakter. W Piśmie świętym liczba czterdzieści w związku z upływem czasu pojawia się około 80 razy i za każdym razem określa dzieło (łaskę, doświadczenie itp.), na którego wykonanie (otrzymanie, spełnienie itp.) Bóg wyznacza człowiekowi bądź to czterdzieści dni, bądź czterdzieści lat. Np. Izaak miał czterdzieści lat, gdy za żonę wziął sobie Rebekę (Rdz 25,20). Mojżesz zanim otrzymał Dziesięć Przykazań, przebywał z Bogiem na górze Synaj czterdzieści dni i nocy (Wj 34,28). Po wyjściu z Egiptu czterdzieści lat spędzili na pustyni Izraelici, zanim w końcu weszli do Ziemi Obiecanej (Pwt 8,2). Także przez czterdzieści lat Naród Wybrany, wędrując po pustyni z Egiptu do granic Ziemi Obiecanej, żywił się manną – pokarmem z nieba (Wj 16,35). W trakcie wojny Narodu Wybranego z Filistynami przez czterdzieści dni jeden z Filistynów – Goliat – podrwiwał sobie z wojsk izraelskich, zanim został pokonany przez Dawida, który odniósł zwycięstwo nie dzięki swej sile, ale dlatego, że jego jedyną mocą był Bóg (1 Sm 17,16). Syn Saula, pierwszego króla Izraela, Iszbaal w wieku czterdziestu lat objął tron po ojcu (2 Sm 2,10). Prorok Eliasz szedł do Bożej góry Horeb czterdzieści dni i nocy, a przed wyruszeniem w

drogę posilił się tylko chlebem otrzymanym od Boga (1 Krl 19,8). Wreszcie Apostołowie Piotr i Jan w świątyni w Jerozolimie uzdrowili w imię Jezusa człowieka, który był kulawy od urodzenia, a na łaskę uzdrowienia czekał czterdzieści lat (Dz 4,22).

Mając na uwadze przywołane przykłady i odnosząc je do rozpoczętego przed paru dniami, tzn. w Środę Popielcową, Wielkiego Postu, można powiedzieć, że po raz kolejny otworzył się przed nami czas szczególny: codziennego stawania twarzą w twarz z Bogiem, poznawania prawdy o sobie, podejmowania walki z własnymi słabościami, krzepienia się Boskim pokarmem (w szczególności słowem Bożym, sakramentem pokuty i pojednania, a także Komunią świętą), otwierania się na łaskę Boga i duchowego dojrzewania. A to, co przez te czterdzieści dni dokona się w naszym życiu, tzn. np. na ile staniemy się duchowo dojrzalsi, o ile nasze serce bardziej zjednoczy się z Sercem Zmartwychwstałego Pana, zależy od nas. Bóg bowiem – jak w orędziu na Wielki Post w 2020 r. przypomniał papież Franciszek – na pewno swojej pomocy (łaski) nam nie poskąpi: „Im bardziej damy się zaangażować Jego Słowu, tym bardziej uda się nam doświadczyć Jego bezinteresownego miłosierdzia względem nas” (<https://www.vaticannews.va/pl/papiez/news/2020-02/przeslanie-papieskie-na-wielki-post.html>, 2021-01-22).

A na zakończenie jako przykład, że czterdzieści dni, odpowiednio i z Bożą pomocą przeżyte, jest wystarczającym czasem do tego, aby odmienić swoje życie i stać się nowym, tzn. prawdziwie Bożym człowiekiem, można przywołać kapitalną książkę autorstwa maltańskiego pisarza Antoine Cassara (ur. 1978 r.). „Czterdzieści dni” (2017 r.) to zbiór wierszy (w 2018 r. tom ten otrzymał m.in. Krajową Nagrodę Książkową Malty), które są poetycką kroniką krzywd – doznanych przez matkę i syna ze strony męża-ojca sadysty – stopniowo przekształcającą się w poruszające świadectwo, w jaki sposób ofiary pracują swoje zmyły z przeszłości. Czytelnik na kolejnych kartach tego dzieła wraz z bohaterami wędruje z piekielnych czeluści ropiejących ran doznanych w przeszłości ku coraz czystszy, a także coraz bardziej życiodajnym wodom litości i przebaczenia krzywdzicielowi. W efekcie „Czterdzieści dni” okazuje się być drogą od nienawiści do miłosierdzia. I to drogą zarówno w sensie metaforycznym, jak i całkiem dosłownym, gdyż czytelnik na stronach książki razem z jej bohaterami przez kolejne czterdzieści dni pokonuje uporczywie kilometry – podziwiając w tym czasie krajobrazy, wracając do różnych dzieł literackich, cierpiąc jak Hiob i towarzysząc Jezusowi podczas czterdziestodniowego postu na

pustyni. A kresem tej drogi jest wybaczenie winowajcy i to winowajcy nie byle jakiemu, ale mężowi-ojcu sadyście!

A zatem, dziś – u progu Wielkiego Postu – być może zadajemy sobie pytanie, ile w naszym życiu może się zmienić podczas tych czterdziestu wielkopostnych dni. Odpowiedź zaś jest jasna: z Bożą pomocą może się zmienić wszystko, o ile tylko na nią się otworzymy!

2 Niedziela Wielkiego Postu

Obcowanie ze słowem Bożym nas przebóstwa

Ewangelia (Mk 9, 2-10)

Jezus wziął z sobą Piotra, Jakuba i Jana i zaprowadził ich samych osobno na górę wysoką. Tam się przemienił wobec nich. Jego odzienie stało się lśniąco białe, tak jak żaden na ziemi folusznik wybielić nie zdoła. I ukazał się im Eliasz z Mojżeszem, którzy rozmawiali z Jezusem.

Wtedy Piotr rzekł do Jezusa: «Rabbi, dobrze, że tu jesteśmy; postawimy trzy namioty: jeden dla Ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza». Nie wiedział bowiem, co powiedzieć, tak byli przestraszeni.

I zjawił się obłok, osłaniający ich, a z obłoku odezwał się głos: «To jest mój Syn umiłowany, Jego słuchajcie!» I zaraz potem, gdy się rozejrzeli, nikogo już nie widzieli przy sobie, tylko samego Jezusa.

A gdy schodzili z góry, przykazał im, aby nikomu nie rozpowiadali o tym, co widzieli, zanim Syn Człowieczy nie powstanie z martwych. Zachowali to polecenie, rozprawiając tylko między sobą, co znaczy „powstać z martwych”.

We wszystkich trzech Ewangeliach Synoptycznych znajdujemy opis przemienienia Jezusa na górze (Mt 17, 1-13; Mk 9, 2-8; Łk 9, 28-36). Wzmiankę o tym wydarzeniu możemy też znaleźć w Drugim Liście św. Piotra Apostoła (2 P 1, 16-18). I chociaż w przekazie biblijnym Góra Przemienienia jest określana tylko mianem „góra”, „góra wysoka” czy „góra święta”, co oznacza, że nie zostaje skojarzona z żadną nazwą geograficzną, dzięki czemu moglibyśmy dokładnie określić miejsce przemienienia Jezusa, to jednak zgodnie z prądową chrześcijańską tradycją opisane w dzisiejszym fragmencie wydarzenia należy wiązać z górą Tabor. Dlatego też od wieków treść ewangelicznego przekazu o przemienieniu Jezusa rozważa się właśnie na Taborze i tam też znajdują się sanktuaria poświęcone temu misterium.

Tabor jest samotną górą o wysokości 588 m n.p.m., a na tle równinnej okolicy wyraźnie odznacza się swym majestatycznym kształtem. W starożytności w pobliżu Taboru krzyżowały się ważne szlaki komunikacyjno-handlowe, a ślady osadnictwa na tej górze

sięgają siedemdziesięciu tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa. Góra Tabor do dziś jest uznawana za niezwykle ważny punkt strategiczny w Palestynie i nie może tym samym dziwić, że w przeszłości w pobliżu tej góry rozegrało się wiele ważnych bitew. W czasach biblijnych północne pokolenia Izraela (tzn. Zabulona, Neftalego i Issachara) Tabor uważały za górę świętą, tzn. szczególnie wybraną przez Boga i miejsce, gdzie człowiek może doświadczyć Jego obecności. Natomiast przez Arabów od połowy XII w. Tabor jest nazywany „Dżabal at-Tur”, co dosłownie oznacza „Góra święta” („Góra wysoka”).

Można więc powiedzieć, że na miejsce swojego przeznaczenia Jezus świadomie wybrał górę nie byle jaką, ale taką, która w oczach starożytnych mieszkańców Ziemi Świętej uchodziła za górę wyjątkową. A skoro miejsce wydarzeń przedstawiało się w oczach uczniów wyjątkowo, to i wydarzenia, których byli świadkami, bez wątpienia także uznali potem za szczególnie istotne, tzn. takie, które znacząco wpłynęły na ich dalsze życie. Stąd też przesłanie, jakie w dzisiejszym fragmencie Ewangelii możemy odnaleźć, ma również dla nas znaczenie kluczowe, jeśli chodzi o jakość naszego chrześcijańskiego życia. O jakim przesłaniu mowa?

Otóż, czytając kiedyś wybrane dzieła starożytnych pisarzy chrześcijańskich, natknąłem się na poruszający komentarz do ewangelicznych opisów przemienienia Jezusa, którego autorem jest Orygenes (zmarł w 254 r.), jeden z najbardziej płodnych komentatorów Biblii z czasów patrystycznych. Orygenes zwraca uwagę, że przemienienie Pańskie jest dla nas lekcją właściwego podejścia do Pisma świętego. Autor ten wskazuje, że na bazie ewangelicznych opisów tego, co się wydarzyło na górze Tabor, można wskazać trzy podstawowe zasady czytania tekstów biblijnych.

I tak, pierwsza zasada: Pismo święte trzeba czytać jako jedną księgę świętą, ponieważ wszystko w niej jest ukierunkowane na Jezusa. Chodzi tu przede wszystkim o to, że Stary Testament staje się zrozumiały dopiero w świetle Nowego Testamentu. Zauważmy, że Jezus rozmawia dziś z Mojżeszem i Eliaszem, wielkimi prorokami Starego Przymierza, co można interpretować w taki sposób, iż ich oświeca, tzn. wyjaśnia im znaczenie swojej Osoby i dzieła, jakiego dokonuje. A dalej, ci dwaj mężowie (Mojżesz i Eliaż) są świadkami Jezusa jako Syna Bożego, podobnie jak księgi Starego Testamentu zapowiadały to, co się miało stać, gdy Bóg pošle na świat obiecane Mesjasza.

Zasada druga: Biblię należy czytać i postrzegać przede wszystkim w kontekście liturgii. Tę zasadę podpowiada motyw namiotu, jaki jest obecny w dzisiejszym fragmencie Ewangelii. Odkąd Bóg zamieszkał wśród Izraelitów, wędrujących po pustyni z Egiptu do Ziemi Obiecanej w Namiocie Spotkania, namiot stał się w Biblii symbolem obecności Boga pośród swojego ludu. A liturgia chrześcijańska jest czasem i miejscem szczególnej obecności Boga, tzn. obecności tu i teraz, w przestrzeni i momencie sprawowania celebracji, której istotnym elementem jest czytanie słowa Bożego. Dlatego też chrześcijanie powinni żyć i odnosić do swojego życia przede wszystkim to słowo Boże (tzn. dane fragmenty Pisma świętego), które są czytane w trakcie liturgii, w jakiej uczestniczą.

I wreszcie zasada trzecia – chyba najważniejsza: rozważając teksty święte, bezpośrednio obcujemy z chwałą Boga. Zauważmy, że podczas przemienienia Jezusa Piotr, który w tym momencie reprezentuje cały Kościół, wyraża zadowolenie z tego, iż on i jego dwaj towarzysze są tak blisko Pana. Oznacza to, że do tego, aby człowiek przemieniał swoje serce i wiązał się coraz mocniej z Bogiem, wystarczy samo modlitewne czytanie Pisma świętego. Nie ma tu potrzeby spekulacji czy wnikliwych naukowych analiz. Samo trwanie w świetle Pana i Jego słowa człowieka przebóstwia.

Sumując te spostrzeżenia Orygenesusa i nawiązując do myśli św. Jana Pawła II z encykliki *Fides et ratio*, można powiedzieć, że przesłanie, jakie wypływa dla nas z tajemnicy przemienienia Jezusa, jest takie: ludzki duch unosi się do Boga na dwóch skrzydłach, którymi są wiara i rozum, a „paliwem” jest mu (ludzkiemu duchowi) słowo Boże!

3 Niedziela Wielkiego Postu

Wypędzenie przekupniów ze świątyni – cud Jezusa

Ewangelia (J 2, 13-25)

Zbliżała się pora Paschy żydowskiej i Jezus przybył do Jerozolimy. W świątyni zastał siedzących za stolami bankierów oraz tych, którzy sprzedawali woły, baranki i gołębie. Wówczas, sporządziwszy sobie bicz ze sznurów, powypędzał wszystkich ze świątyni, także baranki i woły, porzrzucał monety bankierów, a stoły powywracał. Do tych zaś, którzy

sprzedawali gołębie, rzekł: «Zabierzcie to stąd i z domu mego Ojca nie róbcie targowiska!» Uczniowie Jego przypomnieli sobie, że napisano: «Gorliwość o dom Twój pochłonie Mnie».

W odpowiedzi zaś na to Żydzi rzekli do Niego: «Jakim znakiem wykażesz się wobec nas, skoro takie rzeczy czynisz?» Jezus dał im taką odpowiedź: «Zburzcie tę świątynię, a Ja w trzy dni wzniosę ją na nowo».

Powiedzieli do Niego Żydzi: «Czterdzieści sześć lat budowano tę świątynię, a Ty ją wzniesiesz w przeciągu trzech dni?»

On zaś mówił o świątyni swego ciała. Gdy zmartwychwstał, przypomnieli sobie uczniowie Jego, że to powiedział, i uwierzyli Pismu i słowu, które wyrzekł Jezus.

Kiedy zaś przebywał w Jerozolimie w czasie Paschy, w dniu świątecznym, wielu uwierzyło w Jego imię, widząc znaki, które czynił. Jezus natomiast nie zawierzał im samego siebie, bo wszystkich znał i nie potrzebował niczyjego świadectwa o człowieku. Sam bowiem wiedział, co jest w człowieku.

Człowiek – spróbujmy się wczuć w jego przeżycia – który pierwszy raz w swoim życiu z uwagą słucha chronologicznie ułożonych kolejnych fragmentów Ewangelii, tzn. np. poczynając od sceny zwiastowania Najświętszej Maryi Pannie przez archaniola Gabriela w Nazarecie wieści, że zostanie Matką Syna Bożego, poprzez narodzenie Jezusa w Betlejem, Jego chrzest w Jordanie, nauczanie i cuda itd., gdy natrafi wreszcie w tym ciągu na opisane dziś przez św. Jana Ewangelistę wydarzenie, bez wątpienia przeżywa szok, niedowierzanie, a może nawet zwątpienie w Jezusa. W głowie takiego człowieka pojawia się mętlik myśli: jak to możliwe, że ten sam Jezus, który np. tak pięknie mówił o niewystarczalności siedmiokrotnego przebaczenie winowajcy i zachęcał do wybaczenia aż po siedemdziesiąt siedemkroć (czyli zawsze), a także za wzór do naśladowania w bezgranicznie ufnyim przyjmowaniu Królestwa Bożego postawił swoim uczniom niewinne dzieci czy opowiedział wzruszającą przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, teraz – bez najmniejszych skrupułów i oporów – bierze w ręce bicz, wywraca na terenie jerozolimskiej świątyni wszystko do góry nogami i rozpędza znajdujących się w pobliżu ludzi na cztery wiatry. Ów człowiek, który dopiero co poznaje historię Jezusa, może mieć też wątpliwość i się zastanawiać: a może Jan Ewangelista pomylił Jezusa z kimś innym? Przecież Jezus nauczał owszem z mocą, Jego

nauka jest wymagająca i nieraz gwałtownie wypędzał złe duchy z ludzi, ale wobec ludzi zachowywał się łagodnie, taktownie, grzecznie itd. A tu – tzn. w dzisiejszym fragmencie Ewangelii – Jezus zdaje się aż kipieć ze złości, a może nawet brutalności!!! Jak to pojąć? O co chodzi?

Z pomocą przychodzi refleksja św. Hieronima (zmarł ok. 420 r. w Betlejem), doktora Kościoła, apologety (obrońcy) chrześcijaństwa i tłumacza Biblii z języków oryginalnych (hebrajskiego i greckiego) na łacinę. Św. Hieronim zauważył: „To prawdziwy cud, że jeden człowiek rozpędził cały ten tłum. Jakiś blask i ogień Boży musiał bić z Jego oczu, Jego oblicze zapewne jaśniało wtedy majestatem boskości”.

Tak!!! Na opisane dziś przez św. Jana Ewangelistę wydarzenie, które znamy pod tytułem „Wypędzenie przekupniów ze świątyni”, należy spojrzeć przede wszystkim jako na cud dokonany przez Jezusa. A może nawet więcej, jest to jeden z kluczowych cudów Jezusa, gdyż Pan – jak usłyszeliśmy przed chwilą – powiązał to, co zrobił ze swoim przyszłym zmartwychwstaniem, czego w tamtej chwili świadkowie jeszcze oczywiście nie pojęli. Przecież – wyobraźmy sobie – gdyby wówczas na teren jerozolimskiej świątyni wtargnęła kilkudziesięcioosobowa banda wyposażona w kije, harpuny, biczę itp. narzędzia przemocy, to skutkiem takiego najścia raczej byłyby zamieszki, które być może przeniosłyby się potem na ulice miasta i dalej, niż przebudzenie duchowe i refleksja, że z Bożego domu nie godzi się czynić bazaru. A Jezus, działając tylko w pojedynkę, oczyścił dom Boży z tego, co narusza świętość tego miejsca. Wypędzenie przekupniów ze świątyni jest bez wątpienia przede wszystkim cudem uczynionym przez Jezusa!

Wspomniany wyżej św. Hieronim zauważył także, że dzięki modlitewnej lekturze kolejnych fragmentów Pisma świętego, a w szczególności Ewangelii, poznajemy coraz lepiej Chrystusa. I mając na uwadze to spostrzeżenie św. Hieronima, można powiedzieć, że dzięki dzisiejszemu fragmentowi Ewangelii poznajemy bliżej Jezusa, tzn. poznajemy Go jako jedynego Pana i całkowicie suwerennego Władcę jerozolimskiej świątyni!

Tak, w dzisiejszej perykopie ewangelicznej Jezus odsłania przed nami swoje Oblicze! On jest jedynym Panem ziemi i nieba! On jest Początkiem i Końcem, Alfą i Omega, tylko Jego własnością jest czas i wieczność (por. *Mszał Rzymski*, przygotowanie paschału)!!!

4 Niedziela Wielkiego Postu

Ukrzyżowanie Jezusa to nie oznaka Jego słabości, ale manifestacja Boskiej wszechmocy

Ewangelia (J 3, 14-21)

Jezus powiedział do Nikodema:

«Jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak trzeba, by wywyższono Syna Człowieczego, aby każdy, kto w Niego wierzy, miał życie wieczne. Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne. Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony. Kto wierzy w Niego, nie podlega potępieniu; a kto nie wierzy, już został potępiony, bo nie uwierzył w imię Jednorodzonego Syna Bożego.

A sąd polega na tym, że światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki. Każdy bowiem, kto źle czyni, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby jego uczynki nie zostały ujawnione. Kto spełnia wymagania prawdy, zbliża się do światła, aby się okazało, że jego uczynki zostały dokonane w Bogu».

Aby dostrzec paradoksalną, a nawet na swój sposób nieco sprzeczną, wymowę dzisiejszej Ewangelii, warto przypomnieć najpierw to, co Jezus powiedział o sobie parę wersetów wcześniej, a czego nie usłyszeliśmy w dzisiejszym ewangelicznym fragmencie. Dzisiejsza perykopa ewangeliczna wchodzi bowiem w skład większej całości, którą jest rozmowa Jezusa z Nikodemem, podczas której Jezus objawia Nikodemowi, a dzięki temu także nam, swoją tożsamość i los.

Otóż, zanim Jezus porównał siebie do miedzianego węża, utożsamił się z zapowiadaną w starotestamentalnych pismach chwalebnią postacią Syna Człowieczego, który zstąpił z nieba (zaświatów, wieczności, mieszkania Boga) i jako jedyny z mieszkańców doczesności ma moc potrzebną do tego, aby tam o własnych siłach powrócić. A w dzisiejszej perykopie ewangelicznej, która następuje w tekście Ewangelii według św. Jana zaraz po tym porównaniu, Jezus zestawia swoją tożsamość i los z wydarzeniami, jakie rozegrały się wiele wieków wcześniej na pustyni, kiedy Naród Wybrany po wyjściu z niewoli egipskiej zmierzał

do Ziemi Obiecanej. Przypomnijmy, że wówczas Izraelici zwątpili w Boga i Jego opiekę, ponieważ w którymś momencie zaczęło im brakować jedzenia i wody. Zaczęli więc narzekać przeciwko Bogu i Mojżeszowi. Za karę na Izraelitów Bóg zesłał wtedy plagę jadowitych węży, które śmiertelnie pokąsały wielu Żydów. I dopiero kiedy Mojżesz zainterweniował u Boga, Ten ocalił tych Izraelitów, którzy pozostali jeszcze przy życiu i w skrusze serca spojrzeli na miedzianego węża, którego sporządził Mojżesz i zawiesił na wysokim palu.

Paradoksalność dzisiejszej Ewangelii ujawnia się, gdy zauważymy, że ledwie parę wersetów wcześniej Jezus mówił o sobie w kontekście obrazów pełnych chwały, mocy i potęgi. A chwilę potem przyrównuje siebie do węża, czyli zwierzęcia, które było przez ówczesnych Izraelitów uważane przede wszystkim za symbol śmierci i pohańbienia, a także z uwagi na swój sposób życia, tzn. czołganie się po piachu, było pogardzane. Ale paradoksalność dzisiejszego fragmentu Ewangelii jeszcze wzrasta, gdy uświadomimy sobie, że wąż dla ludów ościennych, z którymi Izraelici w tamtych czasach się często kontaktowali, był oznaką życia i siły. Symbolika dzisiejszej perykopy ewangelicznej, w której centrum znajduje się znak węża, jest więc pełna paradoksów, żeby nawet nie powiedzieć sprzeczności.

Teraz zauważmy, że dzisiejsza Ewangelia powoli już nas wprowadza i przygotowuje do przeżywania okresu Męki Pańskiej, która będzie głównym tematem liturgii dwóch ostatnich tygodni Wielkiego Postu. Zobaczymy wówczas m.in. krzyże i obrazy Ukrzyżowanego zasłonięte na znak smutku i żałoby. Po raz kolejny w naszym życiu odkryjemy wtedy w wywyższeniu Jezusa na krzyżu podobną paradoksalność, a nawet na swój sposób sprzeczność, do tej, którą zauważyliśmy w dzisiejszym fragmencie Ewangelii. Z jednej bowiem strony, przeżyjemy ponownie, że na Golgocie Jezus został w najwyższym stopniu pohańbiony, gdyż zrównano Go z pospolitymi rzezimieszkami, a także zabito w sposób skrajnie okrutny. A przecież jeszcze wcześniej – co też warto wspomnieć, gdyż dopełnia to tylko obrazu upokorzenia Jezusa przez ludzi – został On sprzedany za pieniądze, zdradzony i opuszczony przez uczniów, cierniem ukoronowany, rozebrany do naga, wyśmiany itd. Ale też równocześnie – z drugiej strony – ponownie doświadczymy misterium, że na Golgocie ujawnił się szczyt chwały Jezusa i Jego Boska potęga, gdyż Ukrzyżowany Pan po trzech dniach powstał z martwych.

To jednak jeszcze nie wszystko, ponieważ w dzisiejszej Ewangelii słyszymy, że wobec tajemnicy ukrzyżowania Jezusa człowiek musi zająć stanowisko. Albo wzorem wielu Izraelitów, którzy chcąc ratować życie, spoglądali na miedzianego węża, przylgnie do Ukrzyżowanego. Albo też uzna to, co się na Golgocie rozegrało za głupstwo, którym nie warto sobie w ogóle zaprzętać głowy. Albo... albo... – innej możliwości nie ma.

A jeśli się wciąż wahamy, jakiego wyboru dokonać i jakie stanowisko wobec Ukrzyżowanego zająć, przed podjęciem decyzji rozważmy jeszcze chociażby następującą refleksję św. Jana Chryzostoma (zm. 407 r.), w której – zauważmy – pojawia się symbolika węża, kluczowa w dzisiejszej Ewangelii: „Podobnie jak wąż porzuca wszystko, nawet część swojego ciała, byle tylko ocalić głowę, tak i ty, z wyjątkiem wiary, porzuć wszystko: bogactwo, ciało, a nawet życie. Wiara jest głową i korzeniem. Gdy wiarę ocalisz, to choćbyś wszystko inne postradał, odzyskasz w daleko większym stopniu”. Albowiem – jak z kolei naucza św. Tomasz z Akwinu (1225-1274) – na Golgocie objawiła się nie słabość Boga, ale jest to góra, na której Bóg zmanifestował swoją wszechmoc!

5 Niedziela Wielkiego Postu

Trzy góry są źródłem naszej europejskiej tożsamości: Golgota, Akropol i Kapitol

Ewangelia (J 12, 20-33)

Wśród tych, którzy przybyli, aby oddać pokłon Bogu w czasie święta, byli też niektórzy Grecy. Oni więc przystąpili do Filipa, pochodzącego z Betsaidy Galilejskiej, i prosili go, mówiąc: «Panie, chcemy ujrzeć Jezusa». Filip poszedł i powiedział Andrzejowi. Z kolei Andrzej i Filip poszli i powiedzieli Jezusowi.

A Jezus dał im taką odpowiedź: «Nadeszła godzina, aby został otoczony chwałą Syn Człowieczy. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeśli ziarno pszenicy, wpadłszy w ziemię, nie obumrze, zostanie samo jedno, ale jeśli obumrze, przynosi plon obfity. Ten, kto kocha swoje życie, traci je, a kto nienawidzi swego życia na tym świecie, zachowa je na życie wieczne. Kto zaś chciałby Mi służyć, niech idzie za Mną, a gdzie Ja jestem, tam będzie i mój sługa. A jeśli ktoś Mi służy, uczci go mój Ojciec.

Teraz dusza moja doznała lęku i cóż mam powiedzieć? Ojcze, wybaw Mnie od tej godziny. Ależ właśnie dlatego przyszedłem na tę godzinę. Ojcze, wsław imię Twoje!»

Wtem rozległ się głos z nieba: «Już wsławiłem i jeszcze wsławię». Stojący tłum to usłyszał i mówił: «Zagrzmiało!» Inni mówili: «Anioł przemówił do Niego». Na to rzekł Jezus: «Głos ten rozległ się nie ze względu na Mnie, ale ze względu na was. Teraz odbywa się sąd nad tym światem. Teraz władca tego świata zostanie wyrzucony precz. A Ja, gdy zostaną nad ziemię wywyższony, przyciągnę wszystkich do siebie».

To mówił, oznaczając, jaką śmiercią miał umrzeć.

Dzisiejszy fragment Ewangelii rozpoczyna się niby niewiele znaczącym wtrętem uczynionym przez św. Jana Ewangelistę, że przebywający akurat w tamtym czasie w Jerozolimie Grecy chcieli się spotkać z Jezusem. Być może do Jerozolimy przywiodła ich tylko chęć zobaczenia Jezusa, o którego mądrości i cudach wcześniej wiele już zdążyli usłyszeć. A być może Grecy w Jerozolimie załatwiali jakieś inne, np. handlowe sprawy i niejako przy okazji, jaka akurat im się nadarzyła, zapragnęli spotkać się z Mistrzem z Nazaretu. Tego nie wiemy, co było zasadniczym powodem pobytu wspomnianych przez

Ewangelistę Greków w Jerozolimie. Nie jest to jednak istotne. Ważne jest, że Grecy byli tamtego dnia w Jerozolimie, ich pragnienie bardzo poruszyło uczniów Jezusa, a ci poszli z tą wieścią do Mistrza. Zapamiętajmy więc na razie tyle, że Grecy w dzisiejszej Ewangelii są obecni i odgrywają w niej istotną rolę, ponieważ poprzez swoje pragnienie poznania Jezusa skłaniają Go do wynurzenia (wyznania, odsłonięcia tajemnicy). Jakiego wynurzenia?

Otóż, gdy Jezus usłyszał o pragnieniu Greków, od razu zapowiada bliską już i zarysowującą się na horyzoncie „godzinę Syna Człowieczego”. Jezus wskazuje, że będzie to czas, w którym zostanie On otoczony przez Boga chwałą. Zauważmy, że Jezus, ogłaszając nadejście „godziny Syna Człowieczego” wobec Greków, kieruje też do nich dyskretne wezwanie, aby zostali Jego sługami i obiecuje im nagrodę, tzn. przebywanie razem z Nim i uczestnictwo w Bożej chwale. Dalej zwróćmy uwagę, że rozmówcy Jezusa natychmiast pojmują, iż Jego chwała objawi się w śmierci, ponieważ Pan ilustruje nadejście „godziny Syna Człowieczego”, przywołując obraz pszenicznego ziarna, które tylko wtedy wydaje plon, gdy wcześniej umiera w ziemi. W ten sposób w dzisiejszym fragmencie Ewangelii jest też na swój sposób obecna Golgota, bo przecież na tej górze ma za jakiś czas rozegrać się zapowiadana przez Jezusa „godzina Syna Człowieczego”.

Zauważmy ponadto, że wspomniane i zapowiadane w dzisiejszej perykopie ewangelicznej wydarzenia rozgrywały się na terenie Jerozolimy, która wówczas znajdowała się – tak jak przeogromna część znanego wtedy świata – pod panowaniem Cesarstwa Rzymskiego. Zresztą, w wypełnieniu się zapowiadanej dziś przez Jezusa „godziny Syna Człowieczego” Rzymianie też odegrają swoją rolę. Przecież rzymski prefekt Judei Piłat wyda wyrok śmierci na Jezusa, a ukrzyżują Go rzymscy żołnierze. Możemy powiedzieć, że Rzym także jest bohaterem – choć w sposób nieco ukryty – dzisiejszej Ewangelii.

Zbierzmy teraz wspomniane wątki w całość. Przypomnijmy, że w dzisiejszej perykopie ewangelicznej zwróciliśmy uwagę na trzech bohaterów: Golgotę, Greków i Rzymian. A jeśli dwóch ostatnich bohaterów chcemy wyrazić tą samą kategorią, co pierwszego, tzn. nazwami gór symbolicznych odpowiednio dla starożytnych Greków i Rzymian, to można by powiedzieć, że dzisiejsza Ewangelia kieruje nasz wzrok na trzy góry: Golgotę, ateński Akropol i rzymski Kapitol.

Dzisiejsza Ewangelia staje się więc znakomitą okazją do tego, abyśmy sobie przypomnieli źródła kultury europejskiej, o których to źródłach coraz częściej wielu współczesnych Europejczyków zapomina, porzuca i lekceważy je, albo nawet z nimi walczy. A trzeba tu wiedzieć, że Europa jest dziedzictwem, a mówiąc bardziej poetycko, wyrosła – jak w 2003 r. w adhortacji *Ecclesia in Europa* przypominał św. Jan Paweł II (numer 19) – ze światła płynącego właśnie przede wszystkim z jerozolimskiej Golgoty, ateńskiego Akropolu i rzymskiego Kapitolu. Oznacza to, że europejską tożsamość kulturową i cywilizacyjną zasadniczo ukształtowało: 1) judeochrześcijańskie Objawienie, w którego centrum jest ukrzyżowanie i zmartwychwstanie Jezusa; 2) personalistyczna filozofia grecka, która czyniła człowieka miarą wszystkiego; 3) rzymskie prawo, które można streścić sentencją: „Żyj godnie, nikogo nie krzywdź, oddawaj każdemu to, co się jemu należy” (autorem tej myśli jest Ulpian Domicjusz, rzymski prawnik żyjący na przełomie II i III w. po Chr.).

Stąd też – znów nawiązując do wspomnianej adhortacji św. Jana Pawła II (numer 7) – można powiedzieć, że wokół nas, na kontynencie europejskim wciąż nie brak cennych symboli wskazujących na źródła naszej europejskiej tożsamości, ale wraz z powolnym, stopniowo wkraczającym ich lekceważeniem, zapominaniem o nich, odrzucaniem ich itd., należy się liczyć z realnym niebezpieczeństwem, że staną się one wyłącznie martwymi pamiątkami z przeszłości. Zatrószmy się zatem o źródła naszej europejskiej tożsamości, która jest osadzona na trzech górach: Golgocie, Akropolu i Kapitolu.

Niedziela Palmowa

czyli Męki Pańskiej

Gałązka palmowa, czy różga?

Ewangelia (Mk 11, 1-10)

Gdy się zbliżali do Jerozolimy, do Betfage i Betanii na Górze Oliwnej, posłał dwóch spośród swoich uczniów i rzekł im: «Idźcie do wsi, która jest przed wami, a zaraz przy wejściu do niej znajdziecie uwiązane ośłę, którego jeszcze żaden człowiek nie dosiadał. Odwiążcie je i przyprowadźcie tutaj. A gdyby was kto pytał, dlaczego to robicie, powiedzcie: „Pan go potrzebuje i zaraz odeśle je tu z powrotem”».

Poszli i znaleźli ośłę przywiązane do drzwi z zewnątrz, na ulicy. Odwiązali je, a niektórzy ze stojących tam pytali ich: «Cóż to ma znaczyć, że odwiązujecie ośłę?» Oni zaś odpowiedzieli im tak, jak Jezus polecił. I pozwolili im.

Przyprowadzili więc ośłę do Jezusa i zarzucili na nie swe płaszcze, a On wsiadł na nie. Wielu zaś słało swe płaszcze na drodze, a inni gałązki ścięte na polach. Ci zaś, którzy Go poprzedzali i którzy szli za Nim, wołali:

«Hosanna!

Błogosławiony Ten, który przychodzi w imię Pańskie!

Błogosławione królestwo ojca naszego, Dawida,

które nadchodzi.

Hosanna na wysokościach!».

Któregoś roku pewien chłopiec w Niedzielę Palmową na Mszę świętą przyniósł pięknie ozdobioną gałązkę. Był to drugoklasista. Razem z innymi dziećmi ustawił się przy wejściu do kościoła, aby wziąć udział w procesji. Cała grupka razem ze mną i ze swoimi rodzicami przeszła wewnątrz kościoła, wymachując do góry przyniesionymi gałązkami i śpiewając „Hosanna, hosanna”. Przyniesione przez dzieci gałązki po zakończeniu Mszy świętej miały wziąć udział w konkursie na najpiękniejszą palmę. Gałązka owego chłopca wydawała mi się najpiękniejsza. Mogły się może z nią jeszcze równać co najwyżej dwie lub trzy inne. Już oczyma wyobraźni widziałem, jak ów chłopiec cieszy się z wygranej. Jednak to, co stało się w trakcie Mszy świętej sprawiło, że konkurs wygrał ktoś inny. Otóż, na końcu Mszy świętej okazało się, że z owej przepięknej gałązki ostał się tylko nagi badył. Jak to się

stało? Całkiem zwyczajnie. W trakcie Mszy świętej widziałem, jak ów drugoklasista, zapewne ogromnie nudząc się, powolutku odrywał ze swojej gałązki piękne zielone listki i ozdoby. I tak z przepięknej zielonej gałązki kolorowo ozdobionej zrobił się zupełnie nagi kij. Szkoda mi było tego chłopca, gdyż jedną z głównych nagród - moim zdaniem - miał murowaną.

W najbliższą niedzielę będziemy wspominali dzień uroczystego wjazdu Jezusa do Jerozolimy. Tamtego dnia Jezusowi towarzyszył tłum ludzi, którzy z gałązkami w rękach wyszli mu na spotkanie. Jak czytamy w Ewangelii ludzie śpiewali i wiwatowali na cześć Jezusa, krzyżąc „Hosanna, hosanna”. Gdyby owego dnia ktoś powiedział, że wokół Jezusa za kilka dni także będzie zgromadzony tłum ludzi, nikt by się temu z pewnością nie dziwił. Gdyby jednak ktoś wtedy powiedział, że ów tłum będzie krzychał nie „Hosanna”, ale „Precz z Nim”, każdy by powiedział, że to nie możliwe. A jednak, jak wiemy, okazało się to możliwe. Zapewne w większości ci sami ludzie, którzy wcześniej śpiewali „Hosanna”, kilka dni później krzyżeli „Na krzyż z Nim”.

Zapewne wielu z nas w niedzielę przyniesie do kościoła palmy na pamiątkę owego wjazdu. Będziemy śpiewali „Hosanna, hosanna Synowi Bożemu”. Warto się przy tym zastanowić, czy przypadkiem nie jest zbyt często tak, że w Niedzielę Palmową przynosimy Jezusowi piękną ozdobioną gałązkę. Natomiast w Wielki Piątek smagamy go różgą. Być może w naszym życiu jest podobnie, jak w przypadku tamtego chłopca, że nasza gałązka staje się z czasem zwykłym badylem. Być może jest tak, że jednego razu mam ogromny zapal, aby faktycznie zmienić swoje życie. Natomiast gdy przychodzi do odrzucenia konkretnej słabości, to zwlekam, mówiąc „może zacznę się zmieniać jeszcze nie od dziś, ale od jutra to już na pewno”. Albo też może w niedzielę gorliwie się modłę na Mszy świętej. Natomiast w tygodniu jestem opieszalały i niedbały w pracy. Albo też może z wielkim zaangażowaniem śpiewam „Wszystko Tobie oddać pragnę i dla Ciebie tylko żyć”. Natomiast swoim najbliższym nie okazuję życzliwości lub nawet jeszcze gorzej wprost ich poniżam. Jeśli tak jest, to biada nam! Nie łudźmy się! W niczym bowiem nie różnimy się od tamtego tłumu. Wprawdzie przynosimy Jezusowi piękną zieloną gałązkę. Jednak w rzeczywistości okazuje się ona dotkliwie Go smagającą różgą!!!

OKRES WIELKANOCNY

Niedziela Wielkanocna Zmartwychwstania Pańskiego

„Śmierć została pokonana” - to nie jest żart *primaaprilisowy*

Ewangelia (J 20, 1-9)

Pierwszego dnia po szabacie, wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, Maria Magdalena udała się do grobu i zobaczyła kamień odsunięty od grobu. Pobiegnęła więc i przybyła do Szymona Piotra oraz do drugiego ucznia, którego Jezus kochał, i rzekła do nich: «Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono».

Wszedł więc Piotr i ów drugi uczeń i szli do grobu. Biegli obydwoj razem, lecz ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i przybył pierwszy do grobu. A kiedy się nachylił, zobaczył leżące płótna, jednakże nie wszedł do środka.

Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą w jednym miejscu. Wtedy wszedł do wnętrza także i ów drugi uczeń, który przybył pierwszy do grobu. Ujrzał i uwierzył. Dotąd bowiem nie rozumieli jeszcze Pisma, które mówi, że On ma powstać z martwych.

Czasem się zdarza (ostatni raz było tak w 2018 r.), że Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego przypada dokładnie 1 kwietnia, czyli *prima aprilis* - dzień, w którym robimy sobie nawzajem różne żarty itp. Zestawienie ze sobą tych dwóch okoliczności może prowadzić do pouczającej refleksji.

Otóż, praktyki *primaaprilisowe*, według niektórych badaczy, nawiązują do starożytnych zwyczajów rzymskich związanych z kultem bogini Ceres, której święto obchodzono na początku kwietnia. Według jednej z legend bogini, poszukując swej zaginionej córki, została - jak to obrazowo mówimy - „wywiedziona w pole”. Z kolei inni autorzy wskazują, że dzisiejsze *primaaprilisowe* żarty są pochodną podobnego mitu, tyle że greckiego, o Demeter i Persefonie. Jak pamiętamy, Persefona została porwana do Hadesu, krainy umarłych, na początku kwietnia. Zaś Demeter, szukając córki, kierowała się echem jej głosu, ale echo ją zawiodło.

W kontekście wspomnianych prawdopodobnych źródeł *primaaprilisowych* dowcipów, można powiedzieć, że wszyscy ci, którzy mówią, że człowiekowi do szczęścia nie jest potrzebny Bóg, gdyż w zupełności tu wystarczą dobra materialne, są oszustami. Chodzi o to, że człowiek, który całą swą nadzieję położy w zasobności konta w banku czy też, jak to się mówi, dążąc do sukcesu w życiu będzie „rozpychał się łokciami”, zostanie ostatecznie przez bogactwo czy nawet osiągnięty własny sukces „wystrychnięty na dudka”, dokładnie tak samo, jak to stało się z mitycznymi boginiami rzymską Ceres lub grecką Demeter. „Portem docelowym” człowieka nie jest bowiem cmentarz, ale wieczność, w której los człowieka bezpośrednio zależy od przyjęcia bądź odrzucenia Ukrzyżowanej Miłości.

Dalej, może i owszem częściej przychodzi nam iść przez życie niczym gąsienica, krok po kroku, rozwiązując przeróżne problemy, niejednokrotnie na przemian upadając i podnosząc się, może też i w naszym życiu więcej jest smutku czy cierpienia niż radości i szczęścia, ale pamiętajmy: doczesność to tylko most, po którym mamy przejść na drugą stronę, gdzie czeka na nas Zmartwychwstały Pan! Kiedyś wszystkie „gąsienice”, które sercem przylgnęły do Zmartwychwstałego, staną się pięknymi motylami! „Śmierć została pokonana” i nie jest to żart *primaaprilisowy*!

2 Niedziela Wielkanocna

czyli Miłosierdzia Bożego

Boże Miłosierdzie granic nie ma, poza jedną - ludzką wolą

Ewangelia (J 20, 19-31)

Wieczorem w dniu zmartwychwstania, tam gdzie przebywali uczniowie, choć drzwi były zamknięte z obawy przed Żydami, przyszedł Jezus, stanął pośrodku i rzekł do nich: «Pokój wam!» A to powiedziawszy, pokazał im ręce i bok. Uradowali się zatem uczniowie, ujrzawszy Pana.

A Jezus znowu rzekł do nich: «Pokój wam! Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam». Po tych słowach tchnął na nich i powiedział im: «Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane».

Ale Tomasz, jeden z Dwunastu, zwany Didymos, nie był razem z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Inni więc uczniowie mówili do niego: «Widzieliśmy Pana!»

Ale on rzekł do nich: «Jeżeli na rękach Jego nie zobaczę śladu gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i ręki mojej nie włożę w bok Jego, nie uwierzę».

A po ośmiu dniach, kiedy uczniowie Jego byli znowu wewnątrz domu i Tomasz z nimi, Jezus przyszedł, choć drzwi były zamknięte, stanął pośrodku i rzekł: «Pokój wam!» Następnie rzekł do Tomasza: «Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włoż w mój bok, i nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym».

Tomasz w odpowiedzi rzekł do Niego: «Pan mój i Bóg mój!»

Powiedział mu Jezus: «Uwierzyłeś dlatego, że Mnie ujrzałeś? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli».

I wiele innych znaków, których nie zapisano w tej księdze, uczynił Jezus wobec uczniów. Te zaś zapisano, abyście wierzyli, że Jezus jest Mesjaszem, Synem Bożym, i abyście wierząc, mieli życie w imię Jego.

Przed laty, gdy byłem na tzw. wakacyjnym zastępstwie na parafii w Syke k. Bremen w północnych Niemczech, jednego dnia przeżyłem swego rodzaju szok, z jakim niewiele innych

wydarzeń w moim życiu mogłoby się jeszcze równać. Otóż, przed wieczorną mszą św., którą miałem sprawować, podeszła do mnie nieznana mi wcześniej starsza pani, Niemka w wieku ok. osiemdziesięciu lat, i podała mi na kartce zapisaną intencję, w jakiej mieliśmy się podczas wieczornej celebracji modlić. I teraz uwaga: na kartce było napisane, że mamy prosić Miłosiernego Boga o przebaczenie win niemieckim zbrodniarzom wojennym z czasów II wojny światowej. I dalej z imienia i nazwiska byli wymienieni Adolf Hitler, Heinrich Himmler, Alfred Jodl, Wilhelm Keitel, Hans Frank i jeszcze paru innych. Gdy starsza pani dostrzegła, że na mojej twarzy pojawiło się zmieszanie, powiedziała: „Niech ksiądz na początku mszy św. nie czyta tej intencji na głos, ale zwyczajnie powie, że modlimy się dzisiaj w intencji Bogu wiadomej”. Parę dni później miałem okazję być w domu tej starszej Niemki na drobnym poczęstunku i wówczas zobaczyłem, że na ścianie ma zawieszony ogromny obraz Jezusa Miłosiernego. Staruszka wyjaśniła też, że codziennie przed tym obrazem o godz. 15.00 modli się na Koronce do Bożego Miłosierdzia o radość wieczną do wszystkich ofiar i zbrodniarzy z czasów II wojny światowej.

W niedzielnym fragmencie ewangelicznym jest m.in. mowa o tym, że Jezus dał Kościołowi władzę odpuszczania grzechów. Jednocześnie zauważmy, że przekazania Kościołowi tej władzy przez Pana nie można odrywać od Jego Męki na Krzyżu. Ewangelista wyraźnie wspomina bowiem, że Jezus nosi na sobie jej trwałe ślady.

I teraz, grzech zamyka człowiekowi bramy nieba, zaś Chrystusowy Krzyż je na oścież otwiera. I nie ma takich win, których by nie zmyła przelana na Golgocie Krew Bożego Syna. Stąd właśnie płynęła nadzieja wspomnianej wyżej starszej pani na to, że w niebie mogą się też znaleźć tak wielcy zbrodniarze. Nie wiemy przecież, co też się dokonało w ich serach w ostatniej chwili życia. Być może, dostrzegając ogrom własnych przewin, choć ciut ciut za nie pożałowali i zapragnęli nieba, a Boże Miłosierdzie nie ma przecież miary.

Choć jednocześnie ostrzegawczo brzmi polecenie Pana skierowane do św. Faustyny Kowalskiej: „Napisz to: nim przyjdę jako Sędzia sprawiedliwy, przychodzę wpierw jako Król miłosierdzia”. A nieco dalej Apostołka Bożego Miłosierdzia w *Dzienniczku* wyjaśnia, że „Dla tej duszy zatracenie, która chce się zatracić – bo kto pragnie zbawienia, dla tego jest niewyczerpane morze miłosierdzia Pańskiego”.

3 Niedziela Wielkanocna

Nieznajomość Ewangelii jest nieznajomością Chrystusa

Ewangelia (Łk 24, 35-48)

Uczniowie opowiadali, co ich spotkało w drodze i jak poznali Jezusa przy łamaniu chleba.

A gdy rozmawiali o tym, On sam stanął pośród nich i rzekł do nich: «Pokój wam!»

Zatrwożonym i wylękłym zdawało się, że widzą ducha. Lecz On rzekł do nich: «Czemu jesteście zmieszani i dlaczego wątpliwości budzą się w waszych sercach? Popatrzcie na moje ręce i nogi: to Ja jestem. Dotknijcie Mnie i przekonajcie się: duch nie ma ciała ani kości, jak widzicie, że Ja mam». Przy tych słowach pokazał im swoje ręce i nogi.

Lecz gdy oni z radości jeszcze nie wierzyli i pełni byli zdumienia, rzekł do nich: «Macie tu coś do jedzenia?» Oni podali Mu kawałek pieczonej ryby. Wziął i spożył przy nich.

Potem rzekł do nich: «To właśnie znaczyły słowa, które mówiłem do was, gdy byłem jeszcze z wami: Musi się wypełnić wszystko, co napisane jest o Mnie w Prawie Mojżesza, u Proroków i w Psalmach». Wtedy oświecił ich umysły, aby rozumieli Pisma.

I rzekł do nich: «Tak jest napisane: Mesjasz będzie cierpiał i trzeciego dnia zmartwychwstanie; w imię Jego głoszone będzie nawrócenie i odpuszczenie grzechów wszystkim narodom, począwszy od Jeruzalem. Wy jesteście świadkami tego».

Do biblioteki w dużym mieście przyszedł starszy mężczyzna. Pewnym krokiem poszedł w kierunku jednej z półek. Sięgnął po jedną ze stojących na niej książek i udał się do bibliotekarza, by tę książkę wypożyczyć. Była to Biblia. Po powrocie do domu mężczyzna otworzył wypożyczoną Biblię na przypadkowo wybranej stronie. Okazało się, że między kartki był wciśnięty banknot o nominale 100 dolarów. Mężczyzna zaczął przeglądać Biblię uważnie i co kilka kartek odkrywał kolejne 100-dolarowe banknoty. Na myśl nam pewnie przychodzi, że ów człowiek miał wielkie szczęście i zupełnie niespodziewanie trafiło mu się ogromne bogactwo. Nic jednak z tych rzeczy. Mężczyzna, przeglądając Biblię, sam do siebie bowiem z nieukrywaniem rozczarowaniem powiedział: „No tak, nikt tu nie zaglądał od 25 lat.

Wszystkie banknoty znajdują się dokładnie w tych samych miejscach, w których je niegdyś umieściłem!”.

Zapewne w naszych domach znajdują się egzemplarze Pisma św. Warto byśmy się im uważnie przyglądali, czy są one podniszczone czy też może do dzisiaj pachną świeżością farby drukarskiej. Gdyby się okazało, że mimo upływu wielu lat od ich zakupu wciąż są niemal nowiutkie, byłby to bardzo zły znak. Oznaczałoby to, że zwyczajnie do naszych Biblii w ogóle bądź prawie wcale nie zaglądamy. A może nawet jest jeszcze gorzej? Może wiemy, że gdzieś w naszym domu znajduje się Pismo św., ale gdzie, tego nawet najstarsi domownicy już nie pamiętają.

W niedzielnym fragmencie Ewangelii Pan mówi, że wszystko, co było o Nim zapisane „w Prawie Mojżesza, u Proroków i w Psalmach”, musiało się wypełnić. Jednocześnie Jezus oświeca umysły uczniów, aby rozumieli Pisma. Warto byśmy zwrócili uwagę na ten moment, ponieważ jest on wyraźną zachętą do codziennej lektury Biblii. Niezwykle dosadnie niezbędność takiej lektury wyraził św. Hieronim, jeden z Ojców Kościoła, zauważając, że „Nieznajomość Pisma świętego jest nieznajomością Chrystusa”.

4 Niedziela Wielkanocna

Bóg jest Dobry

Ewangelia (J 10, 11-18)

Jezus powiedział:

«Ja jestem dobrym pasterzem. Dobry pasterz daje życie swoje za owce. Najemnik zaś i ten, kto nie jest pasterzem, którego owce nie są własnością, widząc nadchodzącego wilka, opuszcza owce i ucieka, a wilk je porywa i rozprasza; najemnik ucieka, dlatego że jest najemnikiem i nie zależy mu na owcach.

Ja jestem dobrym pasterzem i znam owce moje, a moje Mnie znają, podobnie jak Mnie zna Ojciec, a Ja znam Ojca. Życie moje oddaję za owce. Mam także inne owce, które nie są z tej zagrody. I te muszę przyprowadzić, i będą słuchać głosu mego, i nastanie jedna owczarnia, jeden pasterz.

Dlatego miłuje Mnie Ojciec, bo Ja życie moje oddaję, aby je znów odzyskać. Nikt Mi go nie zabiera, lecz Ja sam z siebie je oddaję. Mam moc je oddać i mam moc je znów odzyskać. Taki nakaz otrzymałem od mojego Ojca».

Zapadła mi kiedyś głęboko w pamięć bajka autorstwa słynnego włoskiego salezjanina, pisarza, dziennikarza i pedagoga Bruno Ferrero. Opowiada ona historię małego dziecka, rysującego jakiś obrazek. Do dziecka podchodzi nauczyciel i zapytuje: „Ooo, jaki interesujący rysunek. Co tworzysz?”. Maluch wówczas odpowiada: „Będzie to portret samego Boga”. Nauczyciel z kolei dodaje: „Przecież nikt nie wie, jak Bóg wygląda i jaki jest”. A dziecko, niewybite zupełnie z pantałyku, odparowuje: „Hmmm, kiedy skończę swój obrazek, wtedy wszyscy będą już wiedzieć, jaki jest Bóg”. Wreszcie opowiedzianą historię włoski duchowny wieńczy interesującym morałem: „Dzieci wiedzą, jaki jest Bóg, ale przychodzą na świat, który czyni wszystko, by zapomniały o Nim jak najprędzej”.

Może i my wciąż jeszcze zadajemy sobie pytanie: Jaki jest Bóg? A może też sobie wyrobiliśmy na własne potrzeby jakiś Jego obraz, który już nam od dłuższego czasu towarzyszy w życiu. Bez względu jednak na to, czy dalej poszukujemy czy też już mamy „gotowe” wyobrażenie o tym, jak Bóg wygląda, warto uwzględnić niedzielną Ewangelię. Św. Jan Ewangelista poszukującym podpowiada, w jakim kierunku powinny zmierzać ich wyobrażenia. Natomiast w przypadku tych, którzy już wypracowali sobie własny obraz Boga, niedzielny urywek ewangeliczny jest znakomitą próbką porównawczą.

Otóż, w czytanej w niedzielę perykopie Jezus, Boży Syn, mówi o sobie, że jest Dobry. Każde zatem nasze wyobrażenie Boga, na którym nie będzie On nakreślony jako Dobry, jest fałszywe.

I chociaż nie widziałem obrazka namalowanego przez dziecko z bajki, wspomnianej na początku, to jednak jestem głęboko przekonany, że została na nim sportretowana Osoba, z której Dobro wręcz tryska. A to moje przekonanie nie wydaje się być bezpodstawne. Gdy niegdyś z moimi dwoma chrześniakami, Martusią i Hubercikiem, próbowaliśmy narysować Boga, to chociaż nasze malunki były nieco niezgrabne i koślawe, to jednak maluchy zawsze

upierały się, aby Boże oczy i buzia były uśmiechnięte. Zaś na moje pytania, dlaczego tak ma być, każdorazowo odpowiadały: „Przecież Bóg jest Dobry”.

5 Niedziela Wielkanocna

Jezus zawsze dotrzymuje złożonych obietnic

Ewangelia (J 15, 1-8)

Jezus powiedział do swoich uczniów:

«Ja jestem prawdziwym krzewem winnym, a Ojciec mój jest tym, który go uprawia. Każdą latorośl, która nie przynosi we Mnie owocu, odcina, a każdą, która przynosi owoc, oczyszcza, aby przynosiła owoc obfitszy. Wy już jesteście czysti dzięki słowu, które wypowiedziałem do was. Trwajcie we Mnie, a Ja w was będę trwać. Podobnie jak latorośl nie może przynosić owocu sama z siebie – jeśli nie trwa w winnym krzewie – tak samo i wy, jeżeli we Mnie trwać nie będziecie.

Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić. Ten, kto nie trwa we Mnie, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. Potem ją zbierają i wrzucają w ogień, i płonie. Jeżeli we Mnie trwać będziecie, a słowa moje w was, to proście, o cokolwiek chcecie, a to wam się spełni. Ojciec mój przez to dozna chwały, że owoc obfity przyniesiecie i staniecie się moimi uczniami».

Wiele lat temu uczestniczyłem w odbywającym się w Krościenku nad Dunajcem dniu wspólnoty oaz wakacyjnych Ruchu Światło-Życie. W trakcie tzw. godziny odpowiedzialności usłyszałem wówczas świadectwo jednego z oazowiczów, które poruszyło mnie do głębi.

Starszy mężczyzna opowiadał o swoich doświadczeniach związanych z uczestnictwem w Krucjacie Wyzwolenia Człowieka. Wspominał, że podjął się abstynencji od napojów alkoholowych w intencji kolegi z pracy, który coraz wyraźniej nie radził sobie ze swoim problemem alkoholowym. Podczas jednego z zakładowych rautów oazowicz wyznał owemu pijakowi, że właśnie w jego intencji zrezygnował z korzystania z napojów „wyskokowych”. Po pijaku to wyznanie spłynęło wtedy tak, jak woda po kacze. Wkrótce drogi obydwu się rozeszły. Jeden dalej pracował w firmie, natomiast drugi – ten pijak – został zwolniony z pracy za jakieś rażące zaniedbania. Oazowicz przyznał, że chociaż stracił „podopiecznego” z pola widzenia, to dalej trwał w swoim przyrzeczeniu i nie korzystał z alkoholu. Dopiero po

kilku latach zupełnie przypadkowo obydwaj się spotkali. Abstynent zapytał wówczas: „Panie Tomku – bo tak ów mężczyzna się nazywał – co u pana?”. Ten zaś odpowiedział: „Cóż, pracuję teraz jako kierowca busika. Ale dziękuję panu, bo od miesiąca nie piję już alkoholu i uczestniczę w spotkaniach Anonimowych Alkoholików. Tamto pańskie wyznanie na biwaku było dla mnie tak, jak walnięcie obuchem w głowę. Wprawdzie dopiero po kilku latach, ale jednak podziałało”.

I gdy nam, słuchającym tego świadectwa, wydawało się, że oazowicz już skończył, on z załamującym się powoli głosem ciągnął dalej. Powiedział, że dwa tygodnie potem od tamtego spotkania natrafił na mieście na nekrolog informujący o tragicznej śmierci pana Tomka. Zaś lokalna gazeta w tamtym dniu w krótkim tekście poinformowała, że kierowca busika, niebędący pod wpływem alkoholu, zginął w niezawinionym przez siebie wypadku samochodowym. Gdy oazowicz przestał mówić, przez dłuższą jeszcze chwilę na placu panowała wymowna cisza.

Przywołane wyżej wspomnienie – jak myślę – jest dobrą ilustracją fragmentu niedzielnej Ewangelii, w którym Jezus uczy, że ten, kto w Nim trwa, zawsze przyniesie obfity owoc. Albowiem właśnie wierne trwanie w zobowiązaniu podjętym w imię Jezusa przez starszego oazowicza w intencji wyzwolenia z nałogu drugiego człowieka „opłaciło się” – pan Tomek w trzeźwości odszedł z tego świata.

My zaś może, kombinując po ludzku, chcielibyśmy by historia, zasłyszana przeze mnie podczas tamtych wakacji w Krościenku nad Dunajcem, miała inne zakończenie, że np. ów pijak na długie lata stał się przykładnym ojcem, pracownikiem czy chrześcijaninem. Ale finał losów pana Tomka był taki, jaki był i mogą nas one wiele nauczyć. Otóż, bez wątplenia niejednokrotnie owoce próśb kierowanych przez nas do Pana są zaskakujące lub poznajemy je po wielu latach. Może też w ogóle tu na ziemi ich nie dostrzeżemy, gdyż odsłonią się one przed nami dopiero w wieczności. Jednego jednak możemy być absolutnie pewni: Jezus zawsze dotrzymuje złożonych obietnic!

6 Niedziela Wielkanocna

Jezus wzywa do miłości, a nie do anoreksji

Ewangelia (J 15, 9-17)

Jezus powiedział do swoich uczniów: «Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowałem. Trwajcie w miłości mojej! Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej, tak jak Ja zachowałem przykazania Ojca mego i trwam w Jego miłości.

To wam powiedziałem, aby radość moja w was była i aby radość wasza była pełna.

To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem. Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich.

Wy jesteście przyjaciółmi moimi, jeżeli czynicie to, co wam przykazuję. Już was nie nazywam sługami, bo sługa nie wie, co czyni jego pan, ale nazwałem was przyjaciółmi, albowiem oznajmiłem wam wszystko, co usłyszałem od Ojca mego.

Nie wy Mnie wybraliście, ale Ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili, i by owoc wasz trwał – aby Ojciec dał wam wszystko, o cokolwiek Go poprosicie w imię moje. To wam przykazuję, abyście się wzajemnie miłowali».

W ostatnim czasie w ramach akcji promocyjnej Wydziału Teologii UWM w Olsztynie prowadziłem lekcje w kilku szkołach ponadpodstawowych w Bartoszycach, Ostródzie, Braniewie i Kętrzynie. Zajęcia miały charakter pogadanki, która była poświęcona odmiennościom człowieka w stosunku do zwierząt. Mówiłem m.in., że jedną z najbardziej istotnych naszych ludzkich właściwości, spośród tych, które odróżniają nas od zwierząt, jest posiadanie przez nas wolnej woli. Wskazywałem też, że wymownym potwierdzeniem dysponowania przez człowieka wolną wolą jest to, iż jako jedyna istota na ziemi może on zagłodzić się na śmierć. Chodzi o to, że wyłącznie człowiek może dokonać wyboru i następnie konsekwentnie go zrealizować o tym, że umrze śmiercią głodową. Zwierzęta, o ile nie są oczywiście chore, nie są zdolne do tego, aby całkowicie „zrezygnować” z przyjmowania pożywienia. Jedynie my, ludzie, powodowani mniej lub bardziej wzniosłym motywem, możemy świadomie doprowadzić do własnej śmierci głodowej.

We wszystkich klasach, w których prowadziłem wspomniane zajęcia, prosiłem też uczniów, aby podali przykład kogoś, kto motywowany chęcią osiągnięcia jakiegoś celu, najlepiej szczytnego, zrezygnował z jedzenia i picia, co wreszcie doprowadziło do jego śmierci. Najczęstsze skojarzenie, jakie uczniowie wówczas podawali, nieco mnie dziwiło. Decydowanie się na poniesienie śmierci głodowej młodym ludziom kojarzyło się bowiem zazwyczaj z anoreksją, tzn. powstrzymywaniem się od przyjmowania pożywienia w celu utraty wagi ciała.

Mnie natomiast stwierdzenie „poniesienie przez kogoś świadomej śmierci głodowej z wzniosłych motywów” przywołuje od razu na myśl św. Maksymiliana Marię Kolbego. A warto sobie jego postać przywołać, bo zawsze w kwietniu obchodzimy kolejne rocznice przyjęcia przez niego święceń kapłańskich (28 kwietnia 1918 r.).

Jak pamiętamy, w obozie w Oświęcimiu w lipcu 1941 r. z bloku, w którym był więziony o. Kolbe, uciekł jeden z więźniów. Za karę z tegoż właśnie bloku skazanych zostało przez Niemców na śmierć głodową dziesięciu innych kajdaniarzy. I w zamian za jednego z nich, Franciszka Gajowniczka, dobrowolnie na śmierć głodową w bloku nr 13, zwanym blokiem śmierci, zgłosił się o. Maksymilian. Zakonnik, przyzwyczajony życiem obozowym do głodu, jeszcze przez dwa tygodnie pozostał żywy bez kruszyny nawet chleba i kropli wody. Wreszcie dobito go zastrzykiem fenolu. Stało się to 14 sierpnia 1941 r., czyli była to wigilia uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Ciało św. Maksymiliana zostało spalone w krematorium.

Przywołując sobie, w jaki sposób zakończyło się życie o. Maksymiliana Marii Kolbego, nie można nie wykrzyknąć, że to był człowiek, który bardzo dosłownie potraktował słowa Jezusa z niedzielnego fragmentu Ewangelii: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”.

Wniebowstąpienie Pańskie

W niebie się przekonamy, że warto było

Ewangelia (Mk 16, 15-20)

Jezus, ukazawszy się Jedenastu, powiedział do nich:

«Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony; a kto nie uwierzy, będzie potępiony. Te zaś znaki towarzyszyć będą tym, którzy uwierzą: w imię moje złe duchy będą wyrzucać, nowymi językami mówić będą; węże brać będą do rąk, i jeśli by co zatrutego wypili, nie będzie im szkodzić. Na chorych ręce kłaść będą, a ci odzyskają zdrowie».

Po rozmowie z nimi Pan Jezus został wzięty do nieba i zasiadł po prawicy Boga. Oni zaś poszli i głosili Ewangelię wszędzie, a Pan współdziałał z nimi i potwierdzał naukę znakami, które jej towarzyszyły.

Przed laty podczas wakacji byłem z blisko trzydziestoosobową grupą dzieci i młodzieży z Dywit – małej miejscowości pod Olsztynem, gdzie mieszkam i co nieco duszpastersko wspieram miejscowego proboszcza ks. Kazimierza – w Krynicy Zdrój, zwanej też czasami Krynica Górską. Nasz pobyt tam trwał niecałe dwa tygodnie. W tym czasie zwiedzaliśmy okolice, podziwiając piękno krajobrazu Beskidu Sądeckiego. Jednego dnia wybraliśmy się na Jaworzynę Krynicką (1114 m n.p.m.), która jest najwyższą górą w okolicy. W paru też miejscach na trasie prowadzącej na szczyt można „posmakować” choć namiastki znacznie większych i trudniejszych do zdobycia gór. Owszem, na zaprawionych w górskich wędrownkach wysokość i skala trudności zdobycia Jaworzyny Krynickiej bez wątpienia nie zrobiłaby żadnego wrażenia. Jednak w naszej grupie jedynie parę osób miało już na koncie jakieś, chociażby tylko drobne, górskie „zdobycze”. Zdecydowaną większość stanowili absolutni górcy nowicjusze.

Na wspomnianą wyprawę ruszyliśmy zaraz po śniadaniu. Pogoda nam sprzyjała, więc wyprawa zapowiadała się wspaniale. Początkowo wszyscy wędrowali dziarsko, nawet sobie czasem podśpiewywaliśmy. Ale im dłużej trwała nasza wędrownka, tym coraz częściej i coraz więcej uczestników podpytywało, czy jeszcze daleko do celu. Potem zaczęły się narzekania

na bolące nogi, na bezsens przedsięwziętej wyprawy. Aż wreszcie nawet kilku młodych ludzi, choć do mety było już zupełnie blisko, zaproponowało, abyśmy zawrócili i czym prędzej z powrotem znaleźli się w ośrodku, w którym byliśmy zakwaterowani. Na szczęście po licznych namowach, zdecydowanie przydługich odpoczynkach robionych przez nas po drodze, wszyscy dotarliśmy na szczyt. A tam naszym oczom – kto był kiedyś podczas sprzyjającej pogody na Jaworzynie Krynickiej to wie – ukazała się precudowna panorama, pełna dolin, wzniesień i lasów. W oddali, na horyzoncie, nieśmiało majaczyły też Tatry. Jeden zaś z chłopców, zachwycony krajobrazem, powiedział do mnie: „Księżo, choć nogi jeszcze mnie bolą, to jednak widzę, że warto było się trudzić, aby tu się wdrapać”.

Przeżywana dzisiaj uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego kieruje nasz wzrok ku niebu. W przewidzianym też na ten dzień fragmencie Ewangelii słyszymy, że „Pan Jezus został wzięty do nieba i zasiadł po prawicy Boga”. Oczywiście wyobraźni możemy więc zobaczyć Jezusa jako Tego, Który oczekuje na nas w niebie.

Opowiedziana natomiast wyżej wakacyjna historia – jak sądzę – odzwierciedla w znacznym stopniu nasz ludzki los. Póki bowiem żyjemy, jesteśmy podobni do wędrowców zmierzających na szczyt, tyle że naszym właściwym celem nie jest wdrapanie się na jakąś górę, ale osiągnięcie wiecznej szczęśliwości z Bogiem w niebie. I jednak, jak górcy wspinać się zmagamy się z przeciwnościami losu, naszymi słabościami itd. Może nawet czasem chcemy zrezygnować i zawrócić z drogi, na którą weszliśmy w momencie przyjęcia chrztu. W trudnych zwłaszcza jednak chwilach pamiętajmy, że jeśli zaufamy Jezusowi bez zastrzeżeń i dochowamy – z Jego oczywiście pomocą – wierności Ewangelii, to po przekroczeniu bram wieczności, przekonamy się, że było warto. Tam w niebie naszym udziałem będzie Piękno nieskończenie przewyższające widoki, które rozciągają się ze szczytu Jaworzyny Krynickiej i jakiegokolwiek zresztą innej góry.

Zesłanie Ducha Świętego

Nasze ziemskie radości są tylko mglistym przedświtem Nieba

Ewangelia (J 15, 26-27; 16, 12-15)

Jezus powiedział do swoich uczniów:

«Gdy przyjdzie Paraklet, którego Ja wam pošlę od Ojca, Duch Prawdy, który od Ojca pochodzi, On zaświadczy o Mnie. Ale wy też świadczycie, bo jesteście ze Mną od początku.

Jeszcze wiele mam wam do powiedzenia, ale teraz znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy. Bo nie będzie mówił od siebie, ale powie wszystko, cokolwiek usłyszy, i oznajmi wam rzeczy przysze. On Mnie otoczy chwałą, ponieważ z mojego weźmie i wam objawi. Wszystko, co ma Ojciec, jest moje. Dlatego powiedziałem, że z mojego weźmie i wam objawi».

Z czasów dzieciństwa mam wiele wspomnień, ale dwa spośród nich są do dzisiaj niezwykle miłe i żywe. Obydwa pochodzą z przełomu czerwca i lipca 1982 r. Kibice bez trudu odgadują zapewne, że jedno z nich odnosi się do odbywających się wtedy w Hiszpanii mistrzostw świata w piłce nożnej, podczas których nasza reprezentacja została trzecią drużyną świata. I bez wątplenia to właśnie towarzysząca temu sukcesowi Polski moja dziecięca ówczesna radość sprawiły, że do dzisiaj bez najmniejszego błędu potrafię wymienić większość wyników meczów, jakie się podczas tamtego mundialu odbyły, a rezultaty w spotkaniach naszej reprezentacji to pamiętam nawet dokładnie ze strzelcami kolejnych bramek.

Także to drugie wspomnienie jest po części związane z hiszpańskimi mistrzostwami, ponieważ przywołuje mi na pamięć smakowite chwile rozpoczynających się wówczas wakacji, kiedy to z kolegami, rozprawiając o golach Smolarka, Laty, Buncola, Ciołka, Szarmacha, Majewskiego, Kupcewicza i przede wszystkim Bońka, rozkoszowaliśmy się przepyszną watą cukrową. Pamiętam, jak w kolejnych dniach pojawiał się u nas wówczas na podwórku późnymi popołudniami sprzedawca, a my za parę miedziaków kupowaliśmy watę cukrową, siadaliśmy na trzepaku i rozprawialiśmy długimi minutami o szansach poszczególnych zespołów w zbliżających się meczach.

Dzisiaj, spoglądając na tamte dni, a także wiele innych im podobnych, mogę tylko powiedzieć, że, choć wciąż żywe i miłe w pamięci, to jednak minęły już bezpowrotnie. Zresztą myślę, że na symbol każdego mojego ziemskiego szczęścia, tzn. tego przeszłego i tego jeszcze oczekiwanego, doskonale nadaje się tamta wata cukrowa, która dość szybko rozpływała się w ustach. Tu na ziemi bowiem, chociażby nasze radości były przeogromne, to jednak zawsze prędzej czy później przemina.

W powyższym kontekście warto spojrzeć na niedzielny fragment Ewangelii. Słyszemy w nim, że Jezus obiecuje Apostołom posłać Ducha Świętego, którego nazywa Parakletem, mającym pozostać z nimi już na zawsze. W wielu tłumaczeniach Biblii to greckie określenie zostało oddane jako Pocieszyciel. I chociaż, jak np. zauważa bp Kazimierz Romaniuk, takie tłumaczenie może być traktowane jako etymologicznie nieprecyzyjne, to jednak nie wydaje się być też i bezpodstawne. Wystarczy tylko przywołać, że w Liście do Galatów czytamy, iż człowiek, który pozwala, aby przeniknął go Duch Święty, napęlnia się m.in. radością (Ga 5, 22-23). Słusznie więc Ducha Świętego można nazwać Pocieszycielem.

Oczywiście, radość, która jest owocem Ducha Świętego, jest radykalnie innego rodzaju niż ta, którą sprawia np. zwycięstwo ukochanej drużyny czy przeżycia kulinarne. Boża radość w nas może nie zostać również nawet odrobinę uszczknięta mimo zobaczenia przez nas klęski drużyny, której kibicujemy, czy też doświadczenia jakichś innych, dużo poważniejszych niż sportowe nieszczęść.

Ale - jak sądzę - warto, abyśmy przywoływali sobie w pamięci choć od czasu do czasu te nasze, wydawałoby się prozaiczne, doczesne radości, gdyż wprowadzie bardzo mgliście, ale jednak są one dla nas przedświtem tego, jak wielkie rzeczy przygotowane nam zostały przez Boga w Niebie.

OKRES ZWYKŁY

2 Niedziela Zwykła

Ten, kto spotkał Jezusa i poszedł za Nim, odnalazł wszystko, co warte jest odnalezienia!

Ewangelia (J 1, 35-42)

Jan stał wraz z dwoma swoimi uczniami i gdy zobaczył przechodzącego Jezusa, rzekł: «Oto Baranek Boży». Dwaj uczniowie usłyszeli, jak mówił, i poszli za Jezusem.

Jezus zaś, odwróciwszy się i ujrzawszy, że oni idą za Nim, rzekł do nich: «Czego szukacie?» Oni powiedzieli do Niego: «Rabbi! – to znaczy: Nauczycielu – gdzie mieszkasz?»

Odpowiedział im: «Chodźcie, a zobaczycie». Poszli więc i zobaczyli, gdzie mieszka, i tego dnia pozostali u Niego. Było to około godziny dziesiątej.

Jednym z dwóch, którzy to usłyszeli od Jana i poszli za Nim, był Andrzej, brat Szymona Piotra. Ten spotkał najpierw swego brata i rzekł do niego: «Znaleźliśmy Mesjasza» – to znaczy: Chrystusa. I przyprowadził go do Jezusa.

A Jezus, wejrzawszy na niego, powiedział: «Ty jesteś Szymon, syn Jana; ty będziesz nazywał się Kefas» – to znaczy: Piotr.

Niemiecki pisarz Johann Wolfgang von Goethe (1749-1832) podczas podróży po Italii prowadził dziennik, w którym na bieżąco notował swoje wrażenia i doświadczenia, jakie w trakcie odwiedzania kolejnych włoskich miejscowości były jego udziałem. A ponieważ Italia to miejsce przeurocze pod względem krajobrazowym, ze względu na swoje kulinarne przysmaki wyjątkowe, a także przepełnione pamiątkami z burzliwej oraz ważnej dla ludzkości przeszłości, czytelnika wspomnień Goethego nie dziwi, że co rusz daje on wyraz swoim zachwytom nad tym, co zjadł, wypił, zobaczył, przeżył, czego dotknął, powąchał w czasie podróży po Włoszech. Pod datą 27 lutego 1787 r. Goethe zanotował swoje wrażenia z wizyty w Neapolu:

„Można o tym wszystkim mówić i opowiadać, można malować, ale to, co się widzi, przekracza wszelkie wyobrażenia. Brzegi, zatoki, Wezuwiusz, miasta, przedmieścia, zamki, wille! Wieczorem wybraliśmy się jeszcze do grotty Posilippo [każdy, kto miał okazję odwiedzić to miejsce, zgodnie przyznaje, że jest to przyrodnicze i archeologiczne чудо; Z.K.]

i trafiliśmy na chwilę, gdy słońce, zachodząc z przeciwnej strony, oświetlało jej wnętrze. Wybaczam wszystkim, którzy w Neapolu odchodzą od zmysłów. Przypominam sobie ze wzruszeniem mego ojca, który zachował na zawsze niezatarte wrażenie po obejrzeniu tego wszystkiego, co dziś widziałem po raz pierwszy. Mówią, że człowiek, który widział ducha, nigdy już nie będzie wesoły. O moim ojcu można by powiedzieć coś wręcz przeciwnego: nigdy nie poddawał się bez reszty ponurym nastrojom, bo zawsze mógł wspominać Neapol. Zachowuję niewzruszony spokój, co zresztą leży w moim usposobieniu, ale szeroko, bardzo szeroko otwieram oczy, kiedy widzę cuda [Neapolu]" (*Podróż włoska*, Państwowy Instytut Wydawniczy 1980, s. 168-169).

I po przeczytaniu tych wspomnień nie może dziwić, że Goethe podsumował swoje wrażenia z pobytu w Neapolu stwierdzeniem, które dziś funkcjonuje już niemalże jako samodzielny aforyzm: „Zobaczyć Neapol i umrzeć!”. A mając na uwadze przywołane zachwyty niemieckiego pisarza, można powiedzieć, że tym stwierdzeniem zasugerował on, iż ten, kto zobaczył wspaniałości Neapolu, widział już na ziemskim padole wszystko, co warte było zobaczenia!

Popatrzmy teraz na dzisiejszy fragment Ewangelii. Usłyszeliśmy świadectwo, jakie składają o Jezusie Jego pierwsi uczniowie. Kluczowych jest tu kilka momentów, na które chcę zwrócić uwagę. Oddają one dynamikę i przede wszystkim ogromną doniosłość wydarzeń, jakie się w tamtych godzinach rozegrały.

Pierwszy moment to chwila, kiedy Jan Chrzciciel, widząc nadchodzącego Jezusa, określa Go jako Bożego Baranka, czym zwraca uwagę swoich dwóch towarzyszy (uczniów) na Niego, po czym ci za Jezusem zaczynają iść. Drugi moment to chwila, gdy Jezus, widząc idących za Nim dwóch uczniów Chrzciciela, pyta ich o to, czego szukają, a ci odpowiadają, że interesuje ich, gdzie On mieszka. Jezus – moment trzeci – zaprasza więc uczniów Jana, aby za Nim poszli i zobaczyli, czyli na własne oczy przekonali się, gdzie On mieszka. Uczniowie Jana zatem idą za Jezusem. Oglądają, gdzie Jezus mieszka. I – czwarty moment – pozostają u Niego. A być może już następnego dnia jeden z nich – Andrzej – odszukał swego brata – Szymona Piotra i obwieścił mu, że oto znaleźli Tego, którego od dawna poszukiwali: Mesjasza, Chrystusa Pana – to moment piąty.

Zauważmy jeszcze, że pomiędzy relacją z tych wydarzeń pojawia się drobna, na pozór mało znacząca informacja, w której dzisiejszy Ewangelista (a właśnie on oprócz Andrzeja był tym drugim uczniem Chrzciciela, który poszedł za Jezusem) podaje dokładny czas rozegrania się tych wydarzeń: „Działo się to około godziny dziesiątej” (J 1, 39). Ten niby wtręt wskazuje jednak, że doświadczenia, jakie w tamtych chwilach stały się udziałem Jana Apostoła były tak wielkie, że nawet po wielu latach, jakie upłynęły od ich przeżycia, mógł sobie, gdy pisał swoją „wersję” Ewangelii, bez kłopotu przypomnieć porę pierwszego spotkania z Jezusem. Było to bowiem spotkanie, które na trwale wryło się w pamięć Jana Apostoła, przeorało jego świadomość, ukształtowało późniejszą tożsamość, zdeterminowało dalsze życie i przede wszystkim było dla Jana Ewangelisty początkiem drogi, której kresem jest Niebo.

Jakie przesłanie dla nas wypływa z dzisiejszego fragmentu Ewangelii?

Myszę, że odpowiadając na to pytanie, warto wykorzystać analogicznie przywołany wyżej zachwyty Goethego nad Neapolem. Goethe, zachwycając się Neapolem, zauważył, że jeśli ktoś odwiedził to miejsce, już żadnego innego piękniejszego, urokliwszego czy cudowniejszego w doczesnym świecie nie znajdzie. Analogicznie można powiedzieć, że Jan Apostoł i Ewangelista tym drobnym dopowiedzeniem odnośnie do pory dnia, w której po raz pierwszy spotkał Jezusa, zaświadcza wobec nas, iż na ziemskim padole dla człowieka liczy się tylko spotkanie z Jezusem. Mówiąc inaczej, Jan Ewangelista daje nam dziś świadectwo, że człowiek, który spotkał Jezusa i poszedł za Nim, odnalazł wszystko, co warte jest odnalezienia!

3 Niedziela Zwykła

Nie odkładajmy naśladowania Jezusa *ad Kalendas Graecas*

Ewangelia (Mk 1, 14-20)

Gdy Jan został uwięziony, Jezus przyszedł do Galilei i głosił Ewangelię Bożą. Mówił: «Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!»

Przechodząc obok Jeziora Galilejskiego, ujrzał Szymona i brata Szymonowego, Andrzeja, jak zarzucali sieć w jezioro; byli bowiem rybakami. I rzekł do nich Jezus: «Pójdźcie za Mną, a sprawię, że się staniecie rybakami ludzi». A natychmiast, porzuciwszy sieci, poszli za Nim.

Idąc nieco dalej, ujrzał Jakuba, syna Zebedeusza, i brata jego, Jana, którzy też byli w łodzi i naprawiali sieci. Zaraz ich powołał, a oni, zostawiwszy ojca swego, Zebedeusza, razem z najemnikami w łodzi, poszli za Nim.

Wśród „przykazań” szczęśliwego człowieka, które z łatwością można odnaleźć w Internecie, można przeczytać następujące „zalecenia”:

1. Człowiek rodzi się zmęczony i żyje aby odpoczywać.
2. Kochaj swe łóżko jak siebie samego.
3. Odpoczywaj w dzień, abyś mógł spać w nocy.
4. Jeżeli widzisz kogoś odpoczywającego, pomóż mu.
5. Praca jest męcząca, więc należy jej unikać.
6. Co masz zrobić dziś, zrób pojutrze - będziesz miał dwa dni wolnego.
7. Jeżeli zrobienie czegoś sprawia ci trudność, pozwól zrobić to innym.
8. Nadmiar odpoczynku nikogo nie doprowadzi do śmierci.
9. Kiedy ogarnia cię ochota do pracy, usiądź i poczekaj, aż ci przejdzie.
10. Praca uszlachetnia, lenistwo uszczęśliwia.

Oczywiście, te „zalecenia” mają przede wszystkim charakter żartobliwy i służą temu, aby ich czytelnika rozbawić. Ale zastanówmy się, czy przypadkiem nie opisują one także faktycznego ludzkiego nastawienia do życia, pracy nad sobą, wysiłku itp.

Weźmy np. nad „zalecenie” szóste: „Co masz zrobić dziś, zrób pojutrze - będziesz miał dwa dni wolnego”. I uczciwie przyznajmy, ile to razy zdarzyło się już nam, że odłożyliśmy coś na tzw. później. A w praktyce zazwyczaj sprowadzało się to do tego, że owo coś albo potem zrobiliśmy zupełnie niedbale, w pośpiechu, albo w ogóle tego czegoś już nie zrobiliśmy.

Już starożytni dobrze znali życie, a także ludzką naturę, i wiedzieli, że sprawy, które należałoby pozatwierać dziś, a zostaną odłożone na później, z reguły utkwiają w tzw. świętym nigdy, czyli nie zostaną w ogóle już załatwione. Np. starożytni Rzymianie mawiali o takim odkładaniu spraw na później, że są one odłożone *ad Kalendas Graecas*. Trzeba tu wiedzieć, że Rzymianie dość osobliwie mierzyli czas i dzięki temu zawsze dobrze wiedzieli, który akurat przypada dzień miesiąca. Mierzyli czas odległością danego dnia do *Non*, *Id* i właśnie *Kalend*, które każdy kolejny miesiąc rozpoczynały. Natomiast starożytni Grecy mierzyli czas inaczej i *Kalend* nie stosowali. Stąd też kiedy starożytni Rzymianie mawiali, że coś jest odłożone *ad Kalendas Graecas*, to oznaczało, że jest odłożone do nigdy, bo taki termin w kalendarzu w ogóle nie istnieje.

Przyjrzyjmy się teraz dzisiejszej perykopie ewangelicznej. Słyszymy w niej opowiadanie o tym, jak Jezus powołuje na początku swojej publicznej działalności czterech rybaków, aby byli Jego uczniami. Mają się oni stać „rybakami ludzi”, czyli wzorem Jezusa oddać się Bogu i Jego królestwu. Ewangelista przypomina powołanie Szymona Piotra, Andrzeja, Jakuba i Jana prawdopodobnie z tego powodu, że właśnie ci czterej Apostołowie mają potem w Chrystusowym Kościele odegrać kluczową rolę. W opisie powołania uderza zaś przede wszystkim fakt, że wszyscy czterej na wezwanie Pana odpowiedzieli *natychmiast*, co oznacza, że od razu, momentalnie i w tej właśnie chwili, gdy tylko usłyszeli wezwanie Jezusa, przyjęli styl Jego życia.

Identyczne zaproszenie Jezus kieruje także dzisiaj do nas, gdy mówi: „Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!”. Oznacza to, że zaprasza nas do tego, abyśmy przyjęli Jego styl życia.

A jaka jest na to zaproszenie Jezusa nasza odpowiedź?

Jeśli odpowiadamy Jezusowi: *od jutra, później, kiedy indziej czy innym razem*, to przyjęcie stylu życia Jezusa – zgodnie z mądrością starożytnych Rzymian – w istocie

odkładamy *ad Kalendas Graecas*. Dlatego odpowiedzmy Panu, że od tej właśnie chwili i od razu Jego styl życia będzie na zawsze już także naszym.

4 Niedziela Zwykła

Kafarnaum – miasto Jezusa, gdzie można ucałować Jego ślady

Ewangelia (Mk 1, 21-28)

W Kafarnaum Jezus w szabat wszedł do synagogi i nauczał. Zdumiewali się Jego nauką: uczył ich bowiem jak ten, który ma władzę, a nie jak uczeni w Piśmie.

Był właśnie w ich synagodze człowiek opętany przez ducha nieczystego. Zaczął on wołać: «Czego chcesz od nas, Jezusie Nazarejczyku? Przyszedłeś nas zgubić. Wiem, kto jesteś: Święty Boga».

Lecz Jezus rozkazał mu surowo: «Milcz i wyjdź z niego!» Wtedy duch nieczysty zaczął nim miotać i z głośnym krzykiem wyszedł z niego.

A wszyscy się zdumiali, tak że jeden drugiego pytał: «Co to jest? Nowa jakaś nauka z mocą. Nawet duchom nieczystym rozkazuje i są Mu posłuszne». I wnet rozeszła się wieść o Nim wszędzie po całej okolicznej krainie galilejskiej.

Podczas kilkudniowych konferencji naukowych, oprócz rutynowych referatów, zazwyczaj organizowane są jeszcze dla uczestników spotkania integracyjne. W zależności od aury mogą to być np. wieczorne spotkania przy ognisku, jeśli jest wystarczająco ciepło, lub też spotkania – jeśli jest chłodniej – przy kominku, z którego rozchodzi się miłe ciepło i blask płonącego wewnątrz ognia. Tego typu spotkania są doskonałą okazją do nawiązania nowych naukowych znajomości, powrotu do refleksji podejmowanych wcześniej w trakcie konferencyjnych wystąpień lub też do zwykłych rozmów na przeróżne tematy, poczynając od sportu, poprzez kwestie kulinarne, polityczne, i na egzystencjalnie ważnych kończąc.

I właśnie podczas jednej z takich konferencji naukowych, która przed paru latu została zorganizowana w Pieniężnie, w tamtejszym klasztorze Ojców Werbistów, w trakcie wieczornego integracyjnego spotkania przy ognisku podszedł do mnie jeden z uczestników tej konferencji, profesor wiodącego polskiego uniwersytetu, naukowo zajmujący się socjologią stosunków politycznych, w szczególności w wymiarze międzynarodowym, i zagadnął mnie mniej więcej takimi słowami: „Jak ksiądz sądzi, dlaczego tak wielu ludzi, zwłaszcza niewykształconych, wciąż jeszcze wierzy w te mity o Jezusie? Nie można przecież

zaprzeczyć, że pomiędzy opowiadaniem o Jezusie, a np. mitami greckimi, rzymskimi czy jakimkolwiek innymi nie ma żadnej różnicy”. Na tę „zaczepkę” odpowiedziałem: „Czy pan profesor ma na myśli, że pomiędzy Jezusem a dajmy na to np. Minosem, Dedalem, Achillesem czy Edysem należy postawić znak równości i uznać, że podania o tych postaciach zawierają nieporównywalnie więcej wymyślonych szczegółów niż przekazów prawdziwych?”. Profesor odparł: „Tak. Uważam, że Jezus to bardzo szlachetny bohater, ale nie był postacią historyczną, ponieważ został wymyślony przez pierwszych chrześcijan, aby zgodnie z ich wydumanyimi przekonaniem wyjaśnić zagadkę rzeczywistości, pochodzenie życia, znaczenie śmierci, dobro i zło, a także przeznaczenie człowieka. Na istnienie Jezusa nie ma dowodów, a jeśli nawet istniał ktoś taki, to Ewangelie zawierają minimalną ilość prawdziwych informacji na temat życia Jezusa”.

Wspomniany wyżej profesor nie jest jedynym, ani też pierwszym, który sądzi, że Ewangelie to fikcja literacka. Przed moim rozmówcą było wielu innych. On tylko powtórzył przekonanie znacznie wcześniej od niego umacniane chociażby przez Charlesa-François Dupuisa (1742-1809), Davida Friedricha Straussa (1808-1874) czy Ernesta Renana (1823-1892), że Jezus Ewangelii przedstawia się owszem jako wyjątkowo szlachetna postać, ale nie ma żadnych podstaw historycznych, gdyż jest wynikiem wymysłu, fantazji a może nawet halucynacji pierwszych chrześcijan. Np. ostatni z wymienionych, autor wielokrotnie wydawanego dzieła *Żywot Jezusa*, pisze o Biblii, że jest błędna, błędna i jeszcze raz błędna, a także, że należy powątpiewać, czy kiedykolwiek uda się w tej spustoszonej do cna krainie odnaleźć miejsca, w których ludzkość mogłaby ucałować ślady stóp Jezusa. Renan zuchwale zapytuje też, gdzie się podziały miejsca związane z Jezusem, jak Betsaida, Chorozaim czy Kafarnaum, w którym – zauważmy – rozegrały się wydarzenia opisane w dzisiejszym fragmencie Ewangelii?

I oto któregoś dnia zaczynają coraz liczniej pojawiać się milczący świadkowie z przeszłości. Spod łopat archeologów wylaniają się Betsaida, Chorozaim, Kafarnaum, a także inne miejsca związane z życiem Jezusa. A ponieważ akcja dzisiejszej Ewangelii rozgrywa się w Kafarnaum, to na tym miejscu się zatrzymajmy.

W 1838 r. amerykański podróżnik Edward Robinson odkrywa starożytne ruiny na północnym brzegu Jeziora Genezaret, ale nie skojarza swojego odkrycia z ewangelicznym

Kafarnaum. Dopiero w 1866 r. Brytyjczyk Charles William Wilson, po przeprowadzeniu niewielkich prac archeologicznych, wiąże odkryte ruiny z Kafarnaum. A od początku XX w. w różnych okresach prowadzone są dalsze prace archeologiczne, dzięki którym odkryte zostają miejsca często wspominane w Ewangeliach, gdy jest opisywany pobyt Jezusa w Kafarnaum, czyli dom Piotra Apostoła i synagoga.

Dom Piotra bardzo wczesnie stał się miejscem chrześcijańskiego kultu i przez to otoczony był szczególną opieką wiernych. A ponieważ – według zachowanych dowodów archeologicznych – odkryte ruiny trwały nieprzerwanie od pierwszego wieku, można być pewnym, że w odsłoniętych dziś tam miejscach Jezus postawił swoje stopy. Nie odkryto natomiast jeszcze synagogi z I wieku, w której rozegrały się wydarzenia opisane w dzisiejszej Ewangelii. Ale z dużym prawdopodobieństwem można przypuszczać, że kryje się ona (tzn. oczywiście jej ruiny) po odsłoniętych dzisiaj pozostałościach synagogi z IV w.

Gdy wchodzi się dzisiaj na teren Kafarnaum, to można ujrzeć napis „Miasto Jezusa” (*The Town of Jesus*). A widząc ten napis, pielgrzym może się zadziwić i zapytać, dlaczego akurat Kafarnaum w taki sposób jest określane, a nie Betlejem, gdzie Jezus się urodził, czy Nazaret, gdzie dorastał?

Można przypuszczać, że prawdopodobnie sam Jezus tak nazywał Kafarnaum, tzn. jako swoje miasto (Mt 9,1). Ponadto, według Ewangelii w Kafarnaum Jezus uczynił najwięcej cudów. Wreszcie, zgodnie z prorocstwem Izajasza, na co zwraca uwagę Ewangelista Mateusz (Mt 4, 13-17), Mesjasz swoją misję, wzywając do nawrócenia i ogłaszając nadejście Królestwa Bożego, rozpoczął tam, gdzie rządzi ciemność i śmierć, a takim miejscem w czasach Jezusa było właśnie Kafarnaum, tzn. Kafarnaum było wówczas najbardziej pogańską częścią Ziemi Obiecanej. A swego rodzaju ciekawostką może być jeszcze fakt, że w Nowym Testamencie miastem najczęściej wymienianym jest Jerozolima, a następnym w kolejności jest Kafarnaum.

Dzisiejsza Ewangelia jest więc dla nas zachętą do tego, aby się często zatrzymywać i rozważać dzieła, które Jezus w Kafarnaum uczynił, ze świadomością, że będąc w Kafarnaum, czy chociażby oglądając tylko zdjęcia z tego miejsca, możemy niemalże namacalnie dotykać miejsc, po których chodził Jezus. Tak, możemy dotknąć miejsc, które są świadkami, że Jezus

z Nazaretu – Bóg-Człowiek – wkroczył przed dwoma tysiącami lat w ludzkie dzieje, aby ogłosić bliskość Królestwa Bożego!

5 Niedziela Zwykła

Mając to, co do życia jest niezbędne, bądźmy z tego zadowoleni!

Ewangelia (Mk 1, 29-39)

Po wyjściu z synagogi Jezus przyszedł z Jakubem i Janem do domu Szymona i Andrzeja. Teściowa zaś Szymona leżała w gorączce. Zaraz powiedzieli Mu o niej. On podszedł i podniósł ją, ująwszy za rękę, a opuściła ją gorączka. I usługiwała im.

Z nastaniem wieczora, gdy słońce zaszło, przynosili do Niego wszystkich chorych i opętanych; i całe miasto zebrało się u drzwi. Uzdrowił wielu dotkniętych rozmaitymi chorobami i wiele złych duchów wyrzucił, lecz nie pozwalał złym duchom mówić, ponieważ Go znały.

Nad ranem, kiedy jeszcze było ciemno, wstał, wyszedł i udał się na miejsce pustynne, i tam się modlił. Pośpieszył za Nim Szymon z towarzyszami, a gdy Go znaleźli, powiedzieli Mu: «Wszyscy Cię szukają». Lecz On rzekł do nich: «Pójdźmy gdzie indziej, do sąsiednich miejscowości, abym i tam mógł nauczać, bo po to wyszedłem».

I chodził po całej Galilei, nauczając w ich synagogach i wyrzucając złe duchy.

Gorączka – w medycznym ujęciu – jest stanem termicznym organizmu, który towarzyszy jego chorobie. Polega na zwiększeniu się powyżej normy temperatury ciała danego organizmu. Np. u człowieka umownie mówi się o stanie podgorączkowym wówczas, gdy temperatura ciała wzrasta powyżej 37° C, a jest jeszcze mniejsza niż 38° C. Natomiast jeśli temperatura ciała człowieka przekroczy 38° C, wtedy mamy do czynienia już z (właściwą) gorączką. Gorączka – zwłaszcza wtedy, gdy nie trwa zbyt długo – może być dla organizmu korzystna. Okazuje się być bowiem naturalnym mechanizmem obronnym organizmów, u których występuje. Chodzi o to, że dzięki wyższej niż zwykle temperaturze ciała znacznie skuteczniej działają różne mechanizmy, przy pomocy których organizmy zwalczają określone zagrożenia (np. infekcje). Np. na każdy wzrost temperatury ciała o jeden stopień ponad normalny stan produkcja przez dany organizm przeciwciał również rośnie i to aż o około 10%. Stan gorączki utrudnia także namnażanie patogenów, ponieważ zmniejsza im dostęp do żelaza i innych związków. Wykazano również, że zwierzęta, którym poprzez

podawanie odpowiednich leków uniemożliwiono podwyższenie się ich temperatury ciała w trakcie zakażenia, miały niższą przeżywalność niż te, którym w czasie infekcji leków nie podawano.

Ale gorączka, zwłaszcza wysoka i długotrwała, jest dla organizmu przede wszystkim szkodliwa. Np. w przypadku człowieka, jeśli przekroczy 39° C i utrzymuje się przez dłuższy czas, to człowieka męczy i osłabia. Pojawia się bowiem wówczas wyraźnie szybsza akcja serca. Najbardziej niebezpieczna jest jednak gorączka dla ludzkiego mózgu, który jest bardzo wrażliwy na podwyższenie się temperatury ciała. Gorączka, która utrzymuje się przez dłuższy czas powyżej 41,5° C, może doprowadzić do uszkodzenia białek w komórkach mózgu, a jeśli jej się nie obniży, to może się skończyć nawet śmiercią człowieka. Dlatego też gorączka powinna być możliwie najszybciej obniżana zwłaszcza u dzieci (kiedy temperatura ich ciała skoczy powyżej 39° C, np. poprzez chłodne okłady), gdyż mają one o wiele mniej wydolny niż dorośli układ regulacji temperatury własnego ciała, także u kobiet w ciąży, aby ochronić płód, ponadto u osób z niewydolnym układem krążenia, ponieważ podwyższona temperatura ciała obciąża ich układ krążenia oraz u osób, które dopiero co przeszły operację i ich organizm jest przez to wyczerpany.

Zauważmy, że w dzisiejszym fragmencie Ewangelii Jezus przychodzi w odwiedzinach do domu Szymona Piotra i jego brata Andrzeja. I co tam zastaje? Okazuje się, że chora w łóżku leży matka żony Szymona. I chociaż nie wiemy dokładnie, na co teściowa Szymona chorowała, ponieważ Ewangelista mówi dość ogólnie, że leżała w gorączce, to jednak ze względu na to, iż Jezus zdecydował się na interwencję i chorą natychmiast uzdrowił, możemy przypuszczać, iż jej stan musiał być poważny, być może nawet bezpośrednio zagrażał jej życiu. A po uzdrowieniu przez Jezusa teściowa szybko zajmuje się ogarnięciem domu, przygotowaniami do posiłku itd.

Jaką naukę możemy z tego dzisiejszego, w sumie dość epizodycznego, wydarzenia wyciągnąć dla siebie?

Otóż, zwróćmy uwagę, że oprócz gorączki rozumianej jako stan podwyższonej temperatury ciała organizmu istnieje jeszcze inny stan człowieka, który także określamy mianem gorączki, a który jest o wiele bardziej dla człowieka niebezpieczny niż gorączka w znaczeniu medycznym. Jaki stan człowieka mam tu na myśli?

Mam tu na myśli „gorączkę złota”. Jest to termin, który odnosi się zazwyczaj do znanych z historii wypraw znacznej ilości ludzi, którzy udawali się do miejsc, gdzie mogli się szybko wzbogacić, gdyż odkryto tam obfite złoża cennych kruszców. Takimi słynnymi „gorączkami złota” były np. druga wyprawa Krzysztofa Kolumba (1493), kalifornijska gorączka złota (1848-1849) czy gorączka złota na archipelagu Ziemi Ognistej (1883-1906). Widzowie telewizyjnego kanału Discovery określenie „gorączka złota” powiążą też z nadawanym na tym kanale serialu o takim samym tytule, w którym przedstawiane są losy górników pracujących w kopalniach złota.

Ale mianem „gorączka złota” określa się także pogoń za zyskiem za wszelką cenę, czyli np. stawianie pieniądza, wygody, luksusu itp. ponad wszystko inne. Tak rozumiana gorączka jest o wiele bardziej dla człowieka destrukcyjna niż gorączka w medycznym znaczeniu. Wyraźnie przestrzega przed nieokielznaną pogonią za zyskiem i jej szkodliwymi skutkami św. Paweł w Pierwszym liście do Tymoteusza: „[...] ci, którzy chcą się bogacić, wpadają w pokusę i w zasadzkę oraz w liczne nierozumne i szkodliwe pożądanía. One to pogrążają ludzi w zgubę i zatrącenie. Albowiem korzeniem wszelkiego zła jest chciwość pieniądza. Za nimi to uganiając się, niektórzy zabłąkali się z dala od wiary i siebie samych przeszli wielu boleściami” (1 Tm 6, 9-10).

I gdyby się nam kiedykolwiek przydarzyło, że pieniądz, wygoda, luksus itp. stały się dla nas ważniejsze niż drugi człowiek, czyli np. ofiarowany mu przez nas czas, uczciwość wobec drugiego itp., to czym prędzej zbliżajmy się do Jezusa, aby nas z tak rozumianej „gorączki” uzdrowił. A chodzi tu o uczynienie motywem przewodnim naszego życia nauki wyrażonej przez św. Pawła nieco wcześniej niż przytoczony wyżej fragment z Pierwszego listu do Tymoteusza: „Mając [...] żywność i odzienie, i dach nad głową, bądźmy z tego zadowoleni!” (1 Tm 6, 8).

6 Niedziela Zwykła

„Z kim przestajesz, takim się stajesz”

Ewangelia (Mk 1, 40-45)

Pewnego dnia przyszedł do Jezusa trędowaty i upadłszy na kolana, prosił Go: «Jeśli zechcesz, możesz mnie oczyścić». A Jezus, zdjęty litością, wyciągnął rękę, dotknął go i rzekł do niego: «Chcę, bądź oczyszczony». Zaraz trąd go opuścił i został oczyszczony.

Jezus surowo mu przykazał i zaraz go odprawił, mówiąc mu: «Bacz, abys nikomu nie mówił, ale idź, pokaż się kapłanowi i złożź za swe oczyszczenie ofiarę, którą przepisał Mojżesz, na świadectwo dla nich».

Lecz on po wyjściu zaczął wiele opowiadać i rozgłaszać to, co zaszło, tak że Jezus nie mógł już jawnie wejść do miasta, lecz przebywał w miejscach pustynnych. A ludzie zewsząd schodzili się do Niego.

Przed laty na rekolekcjach Domowego Kościoła, podczas któregoś ze spotkań, jeden z uczestników tych rekolekcji opowiedział mi historię swojego podwórkowego kolegi z dzieciństwa, która zapadła mi głęboko w pamięci. I pozwolę sobie ją tutaj w skrócie przywołać.

Otóż, Tomek był najgrzeczniejszym i najbardziej – jak to się mówi – poukładanym chłopakiem na całym osiedlu. Zawsze do domu wracał parę minut przed umówioną z rodzicami godziną. Nigdy nie zdarzyło się, aby był na lekcjach nieprzygotowany. Nigdy nie mówił brzydkich słów. Na boisku zawsze grał zgodnie z przepisami i bawił się tylko w tzw. dozwolone gry. Rodzice innych dzieci stale stawiali go swoim pociechom za wzór godny do naśladowania, nierzadko mówiąc przy tym, że Tomek na pewno w życiu coś osiągnie i będzie kimś ważnym, może nawet znanym na całym świecie, bo np. wynajdzie lekarstwo na nieuleczalną dotąd chorobę. I jakże wielce się zdziwił ów uczestnik rekolekcji, który mi tę historię opowiadał, gdy po wielu latach już jako dorosły mężczyzna przypadkowo spotkał swojego dawnego kolegę z podwórka Tomka w rodzinnym mieście. Zobaczył wówczas człowieka zniszczonego, ubranego niechlujnie w poszarpany dres, pod pachą niosącego półlitrowkę wódki, w kieszeniach zagrychę i mówiącego co drugie słowo „ku...”. Co się z

Tomkiem stało? Jak to było możliwe, że Tomek, wcześniej wzorowy uczeń i przykładowy chłopak z osiedla, przemienił się – przepraszam za określenie – w lumpa.

Dość łatwo to wytłumaczyć i taka też zresztą była prawda. Tomek po skończeniu szkoły podstawowej wpadł w tzw. złe środowisko. Wcześniejszych zwyczajnych kolegów z osiedla zamienił na osiedlowych opryszków, którzy alkoholem i innymi używkami nie gardzili, a „mięsem” rzucali wokół bez najmniejszego skrępowania. I wystarczyło ledwie kilka lat do tego, że Tomek z przykładowego i dobrze zapowiadającego się na przyszłość chłopaka przemienił się niemalże w wrak człowieka.

Powyższą historię na pewno bez trudu jesteśmy w stanie skojarzyć z mądrym przysłowiem: „Z kim przestajesz, takim się stajesz”. Zarówno choroby ducha, jak i to, co piękne czy dobre, przechodzą z jednego człowieka na drugiego drogą naśladowania. Jeśli zazwyczaj otaczamy się ludźmi, którzy grzeszą na potęgę, grzechów się nie wstydzą, ale co więcej: nimi się chlubią, to z czasem – i to raczej prędzej niż później – sami też zaczniemy tak żyć. Natomiast jeśli w naszym otoczeniu będą przeważali ludzie mądrzy, wrażliwi na dobro i piękno, to dzięki temu i nasza mądrość życiowa, a także wrażliwość na dobro i piękno będą stale rosły. Mechanizm tych zależności jest prosty i dobrze nam znany.

Zauważmy, że trędowaty, o którego uzdrowieniu słyszymy w dzisiejszym fragmencie Ewangelii, myślał zgodnie z tym mechanizmem. Tego człowieka zresztą nawet choroba, na jaką cierpiał, w takim myśleniu utwierdzała. Przecież trędem zaraził się od innych, tzn. kontaktując się i przebywając z trędowatymi, stał się taki jak oni – nieuleczalnie na tamte czasy chory. A słysząc pewnie o cudach, które Jezus już zdążył być uczynić (według relacji św. Marka Ewangelisty Jezus wcześniej uwolnił spod władzy złego ducha człowieka opętanego i dokonał w Kafarnaum licznych uzdrowień), trędowaty rozumował być może tak: „abym mógł zostać uzdrowiony, to jedyną dla mnie szansą jest znalezienie się w pobliżu Jezusa, poprzebywanie z Nim przez jakiś czas i poproszenie Go o zdrowie, a jeśli Jezus tylko zechce mnie uzdrowić, to wreszcie będę wolny od trądu”.

Jaką naukę możemy wyciągnąć z dzisiejszej Ewangelii?

Podobno polscy szlachcice naśladowali zwyczaje, jakie panowały na dworach magnackich. Będąc z wizytą u znacznie od siebie potężniejszych i bogatszych magnatów, zaobserwowali, że na ich dworach macha się czapkami, a na ścianach można podziwiać

piękne obrazy. Potem po powrocie do swoich zagród także zaczęli machać czapkami, a w swoich domostwach wieszać obrazy. Z kolei magnaci chcieli mieć u siebie wszystko tak jak było to urządzone na dworze królewskim. I w ten sposób powoli zwyczaję, sposób urzędowania domów itd. poprawiały się w Polsce od góry: poczynając od króla, poprzez magnatów i szlachtę, a kończąc na obywatelach o nieszlacheckim rodowodzie.

Bardzo podobnie powinno być z naszym postępowaniem, stosunkiem do ludzi itd. Z góry mamy czerpać przykład, na Jezusie się wzorować. A jak to zrobić?

Możliwie najczęściej przebywać w Jego towarzystwie, czyli przyglądać się i rozważać Jego zachowania, wsłuchiwać w Jego naukę i nią żyć. Mówiąc inaczej, zanim podejmiemy jakąś decyzję lub coś zrobimy, trzeba się zastanowić nad tym, jak w naszej sytuacji zachowałby się Jezus i potem tak samemu zdecydować, uczynić itd. Dzięki temu – w myśl przypominanego wyżej przysłowia – stopniowo będziemy się do Jezusa upodabniać. To jest właśnie przesłanie, jakie możemy wyciągnąć z dzisiejszej Ewangelii. Pozostaje teraz jeszcze tylko je systematycznie wypełniać.

Niedziela Najświętszej Trójcy

Pan zawsze jest przy nas

Ewangelia (Mt 28, 16-20)

Jedenastu uczniów udało się do Galilei, na górę, tam gdzie Jezus im polecił. A gdy Go ujrzeli, oddali Mu pokłon. Niektórzy jednak wątpili. Wtedy Jezus podszedł do nich i przemówił tymi słowami:

«Dana Mi jest wszelka władza w niebie i na ziemi. Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Uczcie je zachowywać wszystko, co wam przykazałem. A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata».

Pewien udęczony trudną życiową sytuacją człowiek wyjąkał: „Boże odezwij się do mnie, choć szeptem”. I w tej samej chwili cichuteńko zaśpiewał skowronek. Ale człowiek w ogóle nie zwrócił uwagi na ledwie dosłyszalny śpiew ptaka. Wręcz przeciwnie, gromko wykrzyknął: „Boże przemów wreszcie do mnie!”. I oto cisza wokół została przeszyta gromem, a na niebie pojawiła się błyskawica. Ale i tego biedak ani nie usłyszał, ani nie dostrzegł, gdyż jego myśli były zaprzątnięte czymś innym. Zrozpaczony i przepelniony wyrzutami powiedział do Boga: „Skoro nie chcesz przemówić do mnie, to chociaż pozwól mi, abym Cię zobaczył”. I nagle na niebie nieśmiało zamigotała gwiazda, wcześniej zupełnie niewidoczna. Ale człowiek tego nie spostrzegł, bo wzrok miał skierowany zupełnie w inną stronę. I dalej błagał: „Boże, uczynj jakiś cud”. I oto przechodząca tuż obok niego młoda kobieta, będąca przy nadziei, akurat zaczęła rodzić. I choć nie umknęło to uwagi człowieka, to jednak zaraz się zdenerwował, że płacz nowonarodzonego niemowlęcia zakłóci jego poszukiwania Boga.

Pogrążając się coraz bardziej w rozpacz, uciszając łkającego tuż przy nim malucha, człowiek wykrzyknął: „Boże, teraz, gdy ten bachor wrzeszczy, już nie mogę Cię usłyszeć, więc dotknij mnie, abym poznał, że tu jesteś”. I w tym samym momencie na ramieniu człowieka usiadł maleńki motyl, którego rozzłoszczony człowiek przepędził. Wreszcie człowiek zawołał donośnie: „Boże, potrzebuję Twojej pomocy, czy tego nie widzisz?”. I oto dostał SMS-a z dobrym słowem od dawno niewidzianego kolegi. Ale człowiek, nawet nie

czytając otrzymanej wiadomości, od razu ją skasował i pomyślał, że teraz pozostał mu już tylko płacz i beznadzieja w sytuacji, w jakiej się znalazł.

Bohaterowi opowiedzianej wyżej historii celowo nie nadałem żadnego imienia, gdyż każdy z nas może bez większego trudu wstawić w odpowiednie jej miejsca swoje własne imię i dzięki temu być może odnaleźć w niej samego siebie. Ta opowieść jest bowiem o nas, ludziach, którzy, przeżywając zwłaszcza trudne do zniesienia doświadczenia, stajemy czasem wobec pytania: Czy aby na pewno Bóg nas w tych sytuacjach nie opuścił? I wtedy trzeba nam od razu wracać do słów Jezusa: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata”.

Pan zawsze jest przy nas, a w szczególności wówczas, gdy cierpimy. Tylko, aby tę Jego obecność poczuć, trzeba mieć serce na nią otwarte.

9 Niedziela Zwykła

Jezus wyznacza nieprzekraczalną granicę między dobrem a złem

Ewangelia (Mk 2, 23 – 3, 6)

Pewnego razu, gdy Jezus przechodził w szabat pośród zbóż, uczniowie Jego zaczęli po drodze zrywać kłosa. Na to faryzeusze mówili do Niego: «Patrz, czemu oni czynią w szabat to, czego nie wolno?»

On im odpowiedział: «Czy nigdy nie czytaliście, co uczynił Dawid, kiedy znalazł się w potrzebie i poczuł głód, on i jego towarzysze? Jak wszedł do domu Bożego za Abiatarą, najwyższego kapłana, i jadł chleby pokładne, które tylko kapłanom jeść wolno; i dał również swoim towarzyszom».

I dodał: «To szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu. Zatem Syn Człowieczy jest Panem także szabatu».

Wszedł znowu do synagogi. Był tam człowiek, który miał uschniętą rękę. A śledzili Go, czy uzdrowi go w szabat, żeby Go oskarżyć.

On zaś rzekł do człowieka z uschlą ręką: «Podnieś się na środek!» A do nich powiedział: «Co wolno w szabat: uczynić coś dobrego, czy coś złego? Życie uratować czy zabić?» Lecz oni milczeli. Wtedy spojrzawszy na nich dokoła z gniewem, zasmucony z powodu zatwardziałości ich serc, rzekł do człowieka: «Wyciągnij rękę!» Wyciągnął, i ręka jego stała się znów zdrowa.

A faryzeusze wyszli i ze zwolennikami Heroda zaraz się naradzali przeciwko Niemu, w jaki sposób Go zgładzić.

W ostatnich latach sporą „karierę” w języku polskim robi angielskie słowo *deadline* (dosłownie: *linia śmierci*), które oznacza ostateczny i nieprzekraczalny termin wykonania jakiegoś zadania. Przeglądając chociażby bowiem zaproszenia na różnorakie konferencje, można coraz częściej odnaleźć m.in. informację, że *deadline* potwierdzania uczestnictwa w spotkaniu upływa o północy tego a tego dnia. Swoją zwiększającą się popularność termin *deadline* zawdzięcza zapewne temu, że o wiele prościej jest się nim posłużyć niż zastosować jego polski, znacznie dłuższy odpowiednik. I chociaż znaczenie terminu *deadline* zna obecnie

niemalże każdy, zwłaszcza spośród tych, którzy choć przez moment pracowali w korporacjach czy też placówkach naukowych, to jednak jego pochodzenie wydaje się być mało znane. Stąd też warto je tu nakreślić, tym bardziej, że etymologia *deadline* może posłużyć jako pouczające zobrazowanie dzisiejszego fragmentu Ewangelii.

Otóż, na początku lat 20-tych XX w. w żargonie redakcji amerykańskich czasopism przyjęło się określanie ostatecznego terminu nadsyłania gotowych do druku tekstów mianem *deadline*. I od tego mniej więcej czasu termin ten zaczął się stopniowo rozpowszechniać, w znaczeniu nieprzekraczalnej daty zrobienia czegoś. Jednak źródeł powstania terminu *deadline* należy poszukiwać jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej i są one bezpośrednio już związane z dosłownym jego znaczeniem. Mianowicie, w roku 1864 podczas amerykańskiej wojny domowej, zwanej też secesyjną, w miejscowości Andersonville, w stanie Georgia, konfederaci zorganizowali obóz, w którym uwięzili żołnierzy federalnych. Warunki w obozie były przerażające, głównie z uwagi na jego przeludnienie. Dość powiedzieć, że obóz został zaprojektowany na około 10 tysięcy jeńców, tymczasem przetrzymywano w nim w szczytowym momencie blisko 35 tysięcy uwięzionych. I właśnie w tym obozie – jak się przypuszcza – pojawił się po raz pierwszy termin *deadline* w swoim dosłownym znaczeniu – *linia śmierci*. Mianem *linii śmierci*, dodajmy dość symbolicznie, nazwano metrowy płot ogradzający teren, wewnątrz którego mogli znajdować się jeńcy. Przekroczenie płotu groziło natychmiastowym zastrzeleniem uciekiniera przez strażnika. I jak się szacuje w Andersonville życie straciło niecałe 13 tysięcy więźniów, spośród których znaczna część z powodu przekroczenia *deadline*.

Reflektując niedzielny fragment Ewangelii, można zauważyć, że Jezus podobnie jednoznacznie nakreślił granicę, którą w kontekście opowiedzianej wyżej historii moglibyśmy ilustrująco nazwać ewangeliczną *deadline* i której przekroczenie sprowadza na człowieka śmierć, tym bardziej od doczesnej złowrogą, gdyż wieczną. Chodzi tu o scenę, gdy Jezus, wskazując na człowieka z uszłą ręką, zapytał zgromadzonych w synagodze, co należy zrobić: „Życie uratować czy zabić?”. Dalsza zaś postawa Mistrza z Nazaretu nie pozostawia nam najmniejszych nawet złudzeń, po której stronie tak wzniesionej ewangelicznej *deadline* należy się usytuować, by życia wiecznego na zawsze nie stracić.

10 Niedziela Zwykła

Pan mówi „Oceniajcie po owocach”

Ewangelia (Mk 3, 20-35)

Jezus przyszedł z uczniami swoimi do domu, a tłum znów się zbierał, tak że nawet posilić się nie mogli. Gdy to posłyszeli Jego bliscy, wybrali się, żeby Go powstrzymać. Mówiono bowiem: «Odszedł od zmysłów».

A uczeni w Piśmie, którzy przyszedli z Jerozolimy, mówili: «Ma Belzebuba i mocą władcy złych duchów wyrzuca złe duchy».

Wtedy przywołał ich do siebie i mówił im w przypowieściach: «Jak może Szatan wyrzucać Szatana? Jeśli jakieś królestwo jest wewnętrznie skłócone, takie królestwo nie może się ostać. I jeśli dom wewnętrznie jest skłócony, to taki dom nie będzie mógł się ostać. Jeśli więc Szatan powstał przeciw sobie i jest z sobą skłócony, to nie może się ostać, lecz koniec z nim. Nikt nie może wejść do domu mocarza i sprzęt mu zagrabić, jeśli mocarza wpierw nie zwiąże, i dopiero wtedy dom jego ograbi.

Zaprawdę, powiadam wam: Wszystkie grzechy i bluźnierstwa, których by się ludzie dopuścili, będą im odpuszczone. Kto by jednak zbluźnił przeciw Duchowi Świętemu, nigdy nie otrzyma odpuszczenia, lecz winien jest grzechu wiecznego». Mówili bowiem: «Ma ducha nieczystego».

Tymczasem nadeszła Jego Matka i bracia i stojąc na dworze, posłali po Niego, aby Go przywołać.

A tłum ludzi siedział wokół Niego, gdy Mu powiedzieli: «Oto Twoja Matka i bracia na dworze szukają Ciebie».

Odpowiedział im: «Któż jest moją matką i którzy są moimi braćmi?»

I spoglądając na siedzących dookoła Niego, rzekł: «Oto moja matka i moi bracia. Bo kto pełni wolę Bożą, ten jest Mi bratem, siostrą i matką».

Treść niedzielnej Ewangelii przywodzi mi na myśl dawno już temu przeczytaną powieść *Władca much*, której autorem jest angielski pisarz, laureat nagrody Nobla w roku 1983, William Golding. Akcja tej książki rozgrywa się na pewnej tropikalnej wyspie podczas

bliżej czasowo nieokreślonego konfliktu nuklearnego. Bohaterami powieści są chłopcy, którzy przeżyli katastrofę ewakuującego ich z Londynu samolotu. Fabuła książki opisuje stopniowe, ale stałe i coraz głębsze pograżanie się rozbitków w przerażającym barbarzyństwie. Chłopcy bowiem, chociaż co do jednego wywodzili się z tzw. dobrych domów, gdy zostali pozostawieni sami sobie, coraz bardziej dziczeli i systematycznie degradował się ich system wartości. Choć w rzeczywistości wyspa była dla dzieci bezpieczna, to jednak przez jakiś czas żyły one na niej w nieustannym strachu przed rzekomym potworem, bestią, która - według opinii chłopców - miała mieszkać w głębi wyspy. I któregoś dnia jeden z bohaterów podczas polowania kolejno zbija ogromniastą maciorę, odcina jej łeb, nadziewa go na kij, po czym kłamliwie wmawia pozostałym chłopcom, że oto właśnie mają przed sobą pozostałość po monstrum, którego się tak dotąd bali. Następnie zgromadzeni wokół trofeum chłopcy oddają zatkniętemu na pal czerepowi hołd. Zaś czytelnik odkrywa potem, że właśnie ten odcięty łeb jest tytułowym „władcą much”, gdyż z czasem w koło rozkładającego się ścierwa gromadzą się coraz liczniejsze roje much. Ale nie tylko to: okazuje się jeszcze, że odcięty świński ryj jako „władca much” staje się również symboliczną manifestacją zła, które coraz wyraźniej od tamtego polowania uwidacznia się w zachowaniach pozostałych przy życiu na wyspie chłopców.

Moje skojarzenie przywołanej wyżej książki z niedzielnym fragmentem Ewangelii wpływa z tego, że Jezus zostaje w nim oskarżony o związki z wodzem demonów, noszącym imię Belzebub. A to semickie imię, biorąc je dosłownie, oznacza właśnie „pana much” (i też komarów).

I teraz tak: w przywoływanym dzisiaj ewangelicznym wydarzeniu widzimy, że Jezus skutecznie zbija podniesione wobec siebie oskarżenie, zwracając uwagę, że nie może mieć żadnych związków z Belzebubem, ponieważ działa przeciwko niemu. Ponadto, Jezus zdaje się słuchaczom sugerować, że jeśli chcą odkryć, kto jest kim, powinni też oceniać owoce czyjegoś działania!

Patrząc zatem uważnie na wszystkie dzieła Jezusa, można zauważyć, że nieustannie owocują one tylko dobrem. Owszem, trzeba przyznać, że czasem rodzi się ono w bólach, ale zawsze jest to na końcu tylko dobro. Natomiast każda robota Belzebuba, nawet jeśli początkowo ładnie i pociągająco wygląda, prędzej lub później niezawodnie sprowadza się do

chaosu, makabry, terroru, grozy itp. A mówiąc inaczej: Władca Much rodzi tylko fetor; zaś Ukrzyżowany Pan jest samym Życiem.

11 Niedziela Zwykła

Zawsze trzeba głosić Jezusa

Ewangelia (Mk 4, 26-34)

Jezus mówił do tłumów: «Z królestwem Bożym dzieje się tak, jak gdyby ktoś nasienie wrzucił w ziemię. Czy śpi, czy czuwa, we dnie i w nocy, nasienie kielkuje i rośnie, sam nie wie jak. Ziemia sama z siebie wydaje plon, najpierw źdźbło, potem kłos, a potem pełne ziarno w kłosie. Gdy zaś plon dojrzeje, zaraz zapuszcza sierp, bo pora już na żniwo».

Mówił jeszcze: «Z czym porównamy królestwo Boże lub w jakiej przypowieści je przedstawimy? Jest ono jak ziarnko gorzycy; gdy się je wsiewa w ziemię, jest najmniejsze ze wszystkich nasion na ziemi. Lecz wsiane, wyrasta i staje się większe od innych jarzyn; wypuszcza wielkie gałęzie, tak że ptaki podniebne gnieźdzą się w jego cieniu».

W wielu takich przypowieściach głosił im naukę, o ile mogli ją rozumieć. A bez przypowieści nie przemawiał do nich. Osobno zaś objaśniał wszystko swoim uczniom.

Jedną z moich ulubionych lektur z czasów młodości jest powieść angielskiego pisarza Daniela Defoe *Przypadki Robinsona Crusoe*. Jak pamiętamy, bo może i sami się w tym dziele swego czasu zaczytywaliśmy, Robinson, główny bohater książki, był synem angielskiego kupca i miał po ojcu objąć rodzinny biznes. Robinsonowi marzyły się jednak morskie wojaże. Z kolei jego ojciec był im przeciwny, gdyż wcześniej stracił na morzu już dwóch synów. Niemniej w Robinsonie zwyciężyło pragnienie przygód i jako 18-latek opuścił rodzinne strony. Następnie, służąc na paru okrętach, uczył się sztuki żeglowania, prowadził interesy i wreszcie trafił do mauretańskiej niewoli. Po dwóch latach z niej uciekł i został brazylijskim plantatorem. W Brazylii Robinson usatkwował się na cztery lata, ale po tym czasie zdecydował się na uczestnictwo w nielegalnym rejsie po niewolników do Afryki. Podczas tej wyprawy statek, na którym bohater podróżował, natrafił na huragan. Doszło do katastrofy, a jedynym z niej ocalałym był Robinson, który znalazł ratunek na bezludnej wyspie. Na wyspie Robinson spędził 13 lat, 11 miesięcy i 7 dni. W tym czasie w trudzie i znoju uczynił ją swoim królestwem, a także przeżył wiele perypetii. I właśnie nad jedną z nich chcę się zatrzymać, ponieważ dobrze – jak myślę – obrazuje ona przesłanie niedzielnego fragmentu Ewangelii.

Otóż, Robinson, gdy po katastrofie okrętu szczęśliwie znalazł się już na brzegu wyspy, przeszukał swoje kieszenie z nadzieją, że znajdzie w nich coś, co może mu się przydać. Okazało się, że w kieszeniach był m.in. niewielki woreczek z ziarnem, a dokładnie, o ile dobrze pamiętam, z jęczmieniem. Bohater stwierdził jednak, że ziarno na nic mu się nie przyda, bo jest go zbyt mało, i ze złością cisnął woreczek w morze. Po czym Robinson wziął się intensywnie do prac, mających na celu wybudowanie bezpiecznego schronienia itd. I o całej sprawie z ziarnem zapomniał. W tym czasie morskie fale, obijając się o skały, wyrzuciły nasiona na brzeg. Nasiona same się zasiały i wkrótce zakiełkowały. Po paru dniach wyrosło z nich całkiem wysokie zboże. I któregoś dnia Robinson, nie wierząc we własne szczęście, odkrył zboże na brzegu. Dopiero potem pokorzył, skąd się ono tu wzięło i uznał całą historię za zrządzenie Bożej Opatrzności. A znacznie później, po wielu innych mozolnych zabiegach, Robinson z wielką radością podniósł do ust chleb i ugryzł pierwszy od wielu miesięcy przepyszny kąsek.

A teraz wróćmy do niedzielnego fragmentu Ewangelii. Jezus porównuje w nim królestwo Boże do nasienia i ziarnka gorczycy. Pan w nakreślonych obrazach zwraca też uwagę, że królestwo Boże wzrasta podobnie, jak dzieje się to z nasieniem i ziarnkiem gorczycy, tzn. rośnie własną mocą, czyli samo z siebie. I to jest właśnie ten szczegół, na który warto spojrzeć z uwagą i zreflektować go w powiązaniu z przywołaną przygodą Robinsona.

Otóż, być może zastanawiamy się czasami, czy warto podejmować wysiłek głoszenia Ewangelii ludziom wówczas, jeśli nie okazują oni większego lub nawet żadnego nią zainteresowania. I po ludzku wydawać by się mogło, że faktycznie większego sensu to nie ma, bo szkoda trudu, a całe natężenie lepiej skierować ku tym, którzy z uwagą słuchają. Ale pouczeniem przed ewentualnym zbyt pochopnym zrezygnowaniem z głoszenia Dobrej Nowiny tym, którzy nie poświęcają jej należytej uwagi, niech będą dla nas przypadki Robinsona.

Crusoe też odrzucił – i to nawet ze złością – woreczek z ziarnem, uznając je za zupełnie nieprzydatne. Ale przecież potem te niechciane nasiona same wzrosły, a Robinson „przypadkowo” jedynie je odnalazł już jako niemalże owocujące, po czym nimi się dalej zajął i wreszcie zjadał się przepyszny pieczywem.

I całkiem podobnie może być też z tymi, którzy teraz nie chcą słuchać o Jezusie, a nawet Go wprost odrzucają. Im też trzeba prawdę o Nim przekazywać. W takich przypadkach – z uwagi na to, że zgodnie z ewangelicznym obrazem w sercu danego człowieka Boże królestwo kiełkuje i rośnie w taki sposób, iż on sam nie wie, jak się to dzieje – trzeba mieć nadzieję, że nawet ci, dla których dzisiaj Jezus jest kimś obojętnym lub nawet Go odrzucają, kiedyś też uznają Go za osobistego Mistrza. Chodzi o to, że jeśli ludzie dzisiaj o Jezusie w ogóle niczego nie usłyszą, tym samym nie otrzymają szansy, by w ich sercach zasiane zostało ziarno królestwa Bożego. A w konsekwencji nie będą mieli najmniejszej nawet możliwości, by w przyszłości do Chrystusa przyjść. Wszak Robinson Crusoe też znalezione w kieszeni ziarno najpierw wyrzucił i dopiero długo potem, dzięki Bożemu zrządzeniu i własnej pracy, cieszył się przepysznym chlebem. Ale nietrudno zauważyć, że rozbitek z książki Daniela Defoe nie miałby żadnej szansy na upieczenie kiedyś pieczywa, gdyby wpierw w jego kieszeni nie znalazły się niechciane ziarna.

Narodzenie św. Jana Chrzciciela

Spod jakiego znaku jesteś?

Ewangelia (Łk 1, 57-66. 80)

Dla Elżbiety nadszedł czas rozwiązania i urodziła syna. Gdy jej sąsiedzi i krewni usłyszeli, że Pan okazał tak wielkie miłosierdzie nad nią, cieszyli się z nią razem. Ósmego dnia przyszli, aby obrzezać dziecię, i chcieli mu dać imię ojca jego, Zachariasza.

Jednakże matka jego odpowiedziała: «Nie, lecz ma otrzymać imię Jan».

Odrzekli jej: «Nie ma nikogo w twoim rodzie, kto by nosił to imię». Pytali więc znakami jego ojca, jak by go chciał nazwać.

On zażądał tabliczki i napisał: «Jan będzie mu na imię». I wszyscy się dziwili. A natychmiast otworzyły się jego usta, język się rozwiązał i mówił, wielbiąc Boga. I padł strach na wszystkich ich sąsiadów. W całej górskiej krainie Judei rozpowiadano o tym wszystkim, co się zdarzyło. A wszyscy, którzy o tym słyszeli, brali to sobie do serca i pytali: «Kimże będzie to dziecię?» Bo istotnie ręka Pańska była z nim.

Chłopiec zaś rósł i wzmacniał się duchem; a żył na pustkowiu aż do dnia ukazania się przed Izraelem.

Podczas homilii zadałem kiedyś słuchaczom pytanie: „Spod jakiego znaku jesteście?”. Od razu wyrósł przede mną las dziecięcych rąk. I tak, mały piegowaty Tomek chwalił się, że jest „bykiem”. Chwilę potem Zosia, dziewczynka z długimi warkoczami, powiedziała, że jest „panną” – oczywiście tą zodiakalną, bo co do tego, że wciąż jest niezamężna nie można mieć było nawet najmniejszych wątpliwości, gdyż na oko miała co najwyżej dziesięć lat. Jako trzeci zabrał głos mały Krzysio. On z kolei był „strzelcem”, też tym zodiakalnym – choć może kiedyś pójdzie w ślady naszego najlepszego obecnie piłkarza Roberta Lewandowskiego i stanie się prawdziwym snajperem również na boisku, bo w krótkiej rozmowie Krzysio przyznał się zaraz, że jego ulubionym zajęciem jest gra w piłkę nożną i jest najlepszym strzelcem na podwórku. Zaraz po dzieciach głos zabrali rodzice. Oni też mówili, że są „skorpionami” czy „lwami”. A dwie panie powiedziały, że są „bliźniakami” i to nie tylko

zodiakalnymi, ale takimi prawdziwymi. I co do tego nikt nie miał wątpliwości, bo były podobne do siebie tak, jak dwie krople wody.

Nikt z odpowiadających nie zorientował się, że postawione przeze mnie na początku pytanie było podchwytliwe... Dopiero, gdy na zadane przez jednego z chłopców zapytanie sam odpowiedziałem, że jestem spod znaku „krzyża”, można było zauważyć na wielu twarzach osłupienie. Tak, od momentu chrztu świętego moje życie jest nierozzerwalnie i na wieki złączone z Jezusem, który, umierając na Golgocie, a po trzech dniach zmartwychwstając, otworzył mi niebo. A mówiąc inaczej, chrzest święty był najważniejszym wydarzeniem w moim życiu, gdyż właśnie wówczas Zmartwychwstały Pan zadzierzgnął ze mną nierozzerwalną więź.

Obchodzona dzisiaj Uroczystość Narodzenia św. Jana Chrzciciela jest doskonałą okolicznością do tego, abyśmy uzmysłowili sobie, że od chwili naszego chrztu nie jesteśmy już „bykami”, „lwami” czy też „skorpionami”, ale jesteśmy spod znaku Chrystusowego Krzyża, który nie jest znakiem klęski, ale zwycięstwa Zmartwychwstałego nad grzechem i śmiercią. A do takiej właśnie refleksji – jak sądzę – w szczególności skłania wybrane przez Elżbietę i Zachariasza imię ich nowonarodzonego syna.

Otóż, imię Jan, po hebrajsku *Jochanan*, można by, w wolnym oczywiście tłumaczeniu, przełożyć jako *cieszący się Boskimi darami*. Zaś to, co się dzieje w momencie chrztu, można by obrazowo przedstawić nie tylko jako nałożenie przez Boga na człowieka pięknej szaty weselnej, ale także jako „wywiercenie” przez Boga w ludzkim sercu nieustannie bijącego źródła, z którego tryska żywa woda. I jeśli tylko tą tryskającą od chwili przyjęcia chrztu żywą wodą dany człowiek się krzepi, to można powiedzieć, że oprócz np. imienia Piotr, Krzysztof, Alina, Monika itd. nosi on także imię *Jochanan*, gdyż cieszy się czy też, mówiąc inaczej, pełnymi garściami korzysta z zalewających go Boskich darów.

Dlatego zachęcam gorąco do tego, aby do naszych rodzinnych tradycji oprócz chociażby świętowania imienin czy urodzin wprowadzić także zwyczaj uroczystego wspominania dnia naszego chrztu, np. poprzez uczestnictwo najpierw w rocznicowej mszy dziękczynnej, a następnie zorganizowanie okolicznościowego spotkania z najbliższą rodziną. Będzie to zarówno wobec innych piękne świadectwo naszej przynależności do Jezusa, jak i

znakomita okazja do coraz pełniejszego korzystania z darów otrzymanych od Boga w sakramencie chrztu świętego.

13 Niedziela Zwykła

Człowiek nigdy nie jest tak wielki jak wtedy, gdy klęczy przed Bogiem

Ewangelia (Mk 5, 21-43)

Gdy Jezus przepłynął się z powrotem łodzią na drugi brzeg, zebrał się wielki tłum wokół Niego, a On był jeszcze nad jeziorem. Wtedy przyszedł jeden z przełożonych synagogi, imieniem Jair. Gdy Go ujrzał, upadł Mu do nóg i prosił usilnie: «Moja córeczka dogorywa, przyjdź i połóż na nią ręce, aby ocalała i żyła». Poszedł więc z nim, a wielki tłum szedł za Nim i zewsząd na Niego napierał.

A pewna kobieta od dwunastu lat cierpiała na upływ krwi. Wiele wycierpiała od różnych lekarzy i całe swe mienie wydała, a nic jej nie pomogło, lecz miała się jeszcze gorzej. Posłyszawszy o Jezusie, więc weszła z tyłu między tłum i dotknęła się Jego płaszcz. Mówiła bowiem: «Żebym choć dotknęła Jego płaszcz, a będę zdrowa». Zaraz też ustał jej krwotok i poczuła w swym ciele, że jest uleczona z dolegliwości.

A Jezus natychmiast uświadomił sobie, że moc wyszła od Niego. Obrócił się w tłumie i zapytał: «Kto dotknął mojego płaszcz?» Odpowiedzieli Mu uczniowie: «Widzisz, że tłum zewsząd Cię ściska, a pytasz: Kto Mnie dotknął». On jednak rozglądał się, by ujrzyć tę, która to uczyniła. Wtedy kobieta podeszła zalekniona i drżąca, gdyż wiedziała, co się z nią stało, padła przed Nim i wyznała Mu całą prawdę.

On zaś rzekł do niej: «Córko, twoja wiara cię ocaliła, idź w pokoju i bądź wolna od swej dolegliwości».

Gdy On jeszcze mówił, przyszli ludzie od przełożonego synagogi i donieśli: «Twoja córka umarła, czemu jeszcze trudzisz Nauczyciela?» Lecz Jezus, słysząc, co mówiono, rzekł do przełożonego synagogi: «Nie bój się, wierz tylko!» I nie pozwolił nikomu iść z sobą z wyjątkiem Piotra, Jakuba i Jana, brata Jakubowego.

Tak przyszli do domu przełożonego synagogi. Widząc zamieszanie, płaczących i głośno zawodzących, wszedł i rzekł do nich: «Czemu podnosicie wrzawę i płaczecie? Dziecko nie umarło, tylko śpi». I wyśmiewali Go.

Lecz On odsunął wszystkich, wziął z sobą tylko ojca i matkę dziecka oraz tych, którzy z Nim byli, i wszedł tam, gdzie dziecko leżało. Ująwszy dziewczynkę za rękę, rzekł do niej:

«*Talitha kum*», to znaczy: «*Dziewczynko, mówię ci, wstań!*» Dziewczynka natychmiast wstała i chodziła, miała bowiem dwanaście lat. I osłupieli wprost ze zdumienia. Przykazał im też z naciskiem, żeby nikt o tym się nie dowiedział, i polecił, aby jej dano jeść.

W wydanej w 2000 r. książce *Duch liturgii (Der Geist der Liturgie)*, w Polsce książka ta ukazała się dwa lata później, ówczesny kardynał Joseph Ratzinger, późniejszy papież Benedykt XVI, powołując się na zbiory sentencji i budujące przykłady z życia ojców pustyni, wspomina opowieść o tym, jak diabeł został przymuszony przez Boga do tego, aby ukazał się niejakiemu opatowi Apollonowi. Wspomniana historia opowiada, że stanął przed mnichem diabeł w całej swej krasie, a raczej należałoby bez żadnych ogródek powiedzieć: szpetocie. Postać demona była bowiem czarna, wstrętna, o przerażająco cherlawych członkach. Ale nie to rzucało się przede wszystkim w oczy. Apollon spostrzegł, że diabeł nie miał kolan. Stąd też mnich wysunął wniosek, że niezdolność klęczenia należy uznać za główną charakterystykę diabła.

I jakże tak uchwycona przez starożytnego opata istota elementu diabolicznego kontrastuje z ukazaną w niedzielnym fragmencie Ewangelii postawą przełożonego synagogi. Człowiek ten przecież, zupełnie nie bacząc na zajmowane przez siebie wysokie stanowisko, upadł Jezusowi do nóg, aby Go prosić o uzdrowienie swej śmiertelnie chorej córki.

Nie bez znaczenia w powyższym kontekście wydaje się być również zanotowane przez Ewangelistę imię przełożonego synagogi – Jair. Jest to imię hebrajskie i tłumaczone na język polski oznacza tego, który świeci (*on świeci*). Uwzględniając takie znaczenie tego imienia, można powiedzieć, że opisane przez Ewangelistę zachowanie Jaira jest dla nas wzorem, jaka powinna być nasza postawa wobec Pana. A wykorzystując znany związek frazeologiczny i mając na uwadze swego rodzaju grę słów, można nawet zauważyć, że Jair z niedzielnej perykopy ewangelicznej świeci nam przykładem, jak należałoby się do Jezusa odnosić.

Nieprzypadkowo więc św. Jan XXIII stwierdził, że „Człowiek nigdy nie jest tak wielki jak wtedy, gdy klęczy przed Bogiem”. I oby te słowa papieża dobroci i uśmiechu, bo tak nazywa się też czasami św. Jana XXIII, nie pozostały dla nas tylko pięknym aforyzmem, ale stały się rzeczywistością.

14 Niedziela Zwykła

Im bliżej Jezusa, tym niekoniecznie zawsze łatwiej, ale na pewno jest więcej miłości

Ewangelia (Mk 6, 1-6)

Jezus przyszedł do swego rodzinnego miasta. A towarzyszyli Mu Jego uczniowie. Gdy zaś nadszedł szabat, zaczął nauczać w synagodze; a wielu, przysłuchując się, pytało ze zdziwieniem: «Skąd to u Niego? I co to za mądrość, która Mu jest dana? I takie cuda dzieją się przez Jego ręce! Czy nie jest to cieśla, syn Maryi, a brat Jakuba, Józefa, Judy i Szymona? Czyż nie żyją tu u nas także Jego siostry?» I powątpiewali o Nim.

A Jezus mówił im: «Tylko w swojej ojczyźnie, wśród swoich krewnych i w swoim domu może być prorok tak lekceważony».

I nie mógł tam działać żadnego cudu, jedynie na kilku chorych położył ręce i uzdrowił ich. Dziwił się też ich niedowiarstwu. Potem obchodził okoliczne wsie i nauczał.

Na początek pozwolę sobie opowiedzieć uroczą anegdotkę. Wyobraźmy sobie, że w szpitalnej poczekalni nerwowo chodzi tam i z powrotem mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Mężczyzna czeka na wiadomość o przebiegu porodu, który kilka pomieszczeń dalej przeżywa jego żona. I ponieważ sprawa się najwyraźniej już zbyt przeciąga, mężczyzna robi się coraz bardziej niespokojny i lęka się, czy przypadkiem coś złego się nie stało z jego żoną lub spodziewaną dwójką noworodków. Aż wreszcie otwierają się drzwi, przez które wchodzi położna i niesie na rękach nie oczekiwaną dwójkę, ale trójkę oseków. I pyta, z nutą niepewności, nieco zaskoczonego ojca:

- Nie przeraża pana, że tyle ich jest?

- Nie! Myślę, że z Bożą pomocą damy z żoną radę – odpowiada świeżo upieczony tatuś.

- No to niech teraz pan trzyma tę trójkę, a ja szybciotką lecę po resztę maluszków!

A na te ostatnie słowa pielęgniarki młody ojciec – i mam nadzieję, że my również – już tylko szeroko się uśmiechnął...

Przytoczona historyjka nie tylko może nas nieco rozweselić, ale także nadaje się na zobrazowanie przesłania, jakie wypływa z dzisiejszego fragmentu Ewangelii. Przyglądnijmy się więc najpierw biblijnemu urywkowi.

W dzisiejszej perykopie ewangelicznej czytamy, że Jezus nie mógł działać w swoim rodzinnym mieście żadnego cudu. Zaś bezpośrednim powodem tej niemożności, jak sugeruje św. Marek Ewangelista, było niedowiarstwo (powątpiewanie, lekceważenie) mieszkańców Nazaretu odnośnie do tego, Kim Jezus jest. Jedynie paru chorych skorzystało z obecności Jezusa w mieście i zostało uzdrowionych. A z kontekstu opisanych przez św. Marka wydarzeń możemy się domyślać, że pewnie tylko ci uzdrowieni ludzie, w odróżnieniu od innych mieszkańców Nazaretu, Jezusowi zawierzyli.

Niedzielny fragment Ewangelii wyraźnie zatem zachęca do tego, abyśmy nie zamykali przed Jezusem własnego serca. On jest bowiem szczodroblivy i chce nas obficie obdarzać swoimi wsparciem. Ale – jak pokazuje dzisiejsza ewangeliczna historia – jest jeden niezbędny warunek, który spełnić nam trzeba. Nie możemy się na Jezusa zamknąć. Jeśli bowiem własne serce na Pana zamkniemy, On, choć jest wszechmocny, to jednak będzie tu „bezzradny”.

A teraz, mając na uwadze to przesłanie niedzielnego fragmentu Ewangelii, wróćmy jeszcze do opowiedzianej na początku anegdotki. Czyż nie jest w niej urzekająca postawa świeżo upieczonego ojca, który w obliczu stojącego przed nim i jego żoną wyzwania – w postaci wychowania „nadplanowej” ilości maluchów – od razu odwołuje się do Bożej pomocy? I takiej właśnie otwartości Jezus od nas oczekuje. Wówczas – jak poświadcza niedzielna perykopa ewangeliczna – Pan nie pozostawi nas nigdy bez wsparcia. Chodzi o to, że może i owszem nie zawsze im bliżej będziemy Jezusa, tym łatwiej nam będzie, ale na pewno zawsze będzie w nas więcej miłości. I właśnie dzięki pomocy Pana ta miłość w naszym sercu będzie rosła, abyśmy po Bożemu mogli mierzyć się z życiowymi wyzwaniami.

15 Niedziela Zwykła

Słowo Jezusa wciąż przemienia ludzkie serca

Ewangelia (Mk 6, 7-13)

Jezus przywołał do siebie Dwunastu i zaczął rozsyłać ich po dwóch. Dał im też władzę nad duchami nieczystymi.

I przykazał im, żeby nic z sobą nie brali na drogę prócz laski: ani chleba, ani torby, ani pieniędzy w trzosie. «Ale idźcie obuci w sandały i nie wdziewajcie dwóch sukien».

I mówił do nich: «Gdy do jakiego domu wejdziecie, zostańcie tam, aż stamtąd wyjdziecie. Jeśli w jakim miejscu was nie przyjmą i nie będą was słuchać, wychodząc stamtąd strząśnijcie proch z nóg waszych na świadectwo dla nich».

Oni więc wyszli i wzywali do nawrócenia. Wyrzucali też wiele złych duchów oraz wielu chorych namaszczeni olejem i uzdrawiali.

W roku 2003 w kinach sporą popularnością cieszył się film zatytułowany *Bruce Wszchemogący*. Jest to komedia fantasy produkcji USA. Film opowiada historię niejakiego Bruce'a Nolana, reportera telewizji lokalnej w Buffalo. W początkowych scenach tej produkcji tytułowy jej bohater przeżywa wyjątkowo nieudany dzień: traci pracę, kłóci się z własną dziewczyną, zostaje pobity i uczestniczy w wypadku samochodowym. Za wszystkie te swoje nieszczęścia Bruce oskarża Boga. Wkrótce potem sam Bóg się z nim kontaktuje. I ponieważ Stwórca – jak Bruce'owi komunikuje – ma w swoich planach tygodniowy urlop, zleca filmowemu głównemu bohaterowi opiekę nad całym światem, przekazując jednocześnie potrzebne ku temu kompetencje, władzę, moc itd. Zaskoczony tym wszystkim Bruce przyjmuje zlecenie, ale dość szybko się przekonuje, że jednak nie jest tak łatwo – jak mu się to zawsze wydawało – być Bogiem.

Z wspomnianego tu filmu jedna ze scen głęboko utkwiała mi w pamięci. Otóż, Bruce, dysponując Boską mocą, sprawia, że nalana do talerza zupa rozdziela się na dwoje. Bohater jest zachwycony, że oto właśnie uczynił cud. Ale w tym samym momencie zupełnie nieoczekiwanie staje przed nim Bóg i poucza go słowami: „Rozstąpienie zupy to nie cud, tylko sztuczka. Samotna matka na dwóch etatach, która znajduje czas dla dziecka – to jest

cud. Nastolatek mówiący >>nie<< narkotykom i >>tak<< wykształceniu – to jest cud”. I dalej Bóg tłumaczy Bruce’owi, że zazwyczaj udziela ludziom swej mocy niezwykle dyskretnie.

W czytanim w niedzielę fragmencie Ewangelii słyszymy, że Jezus wysłał Dwunastu, aby głosili Jego orędzie. A z ostatniego zdania niedzielnej perykopy ewangelicznej dowiadujemy się, że posłani uczniowie dokonywali mocą udzielonej im przez Jezusa władzy wielkich rzeczy. I być może, gdy słuchamy o dziejących się wówczas cudach, żalujemy np. takimi słowami: „Oj, jaka szkoda, że nie mogliśmy być naocznymi świadkami tego wszystkiego”.

Ale nic bardziej mylnego. Dzisiaj też możemy być świadkami mocy Chrystusowej Ewangelii. Wystarczy tylko, że rozejrzemy się uważnie dokoła, a także spojrzymy na własne życie. Iluż to ludzi nieustannie odwraca się od zła, znajduje siłę do godnego stawiania czoła rozmaitym przeciwnościom czy też wytrwale, choć dyskretnie, czyni dobro itd. To są właśnie te prawdziwe cuda, na które Bóg zwrócił uwagę Bruce’owi w przywołanej wyżej scenie z amerykańskiego filmu, a dzieją się one dlatego, że któregoś dnia dany człowiek usłyszał i od tego momentu stale się krzepi Bożym słowem. Ono wciąż przemienia ludzkie serca!

16 Niedziela Zwykła

Ostrz „duchową siekierę”, bo tępą nic nie działasz

Ewangelia (Mk 6,30-34)

Apostołowie zebrali się u Jezusa i opowiedzieli Mu wszystko, co działali i czego nauczali. A On rzekł do nich: „Pójdźcie wy sami osobno na miejsce pustynne i wypocznijcie nieco”. Tak wielu bowiem przychodziło i odchodziło, że nawet na posiłek nie mieli czasu.

Odplynęli więc łodzią na miejsce pustynne osobno. Lecz widziano ich odpływających. Wielu zauważyło to i zbiegli się tam pieszo ze wszystkich miast, a nawet ich uprzedzili.

Gdy Jezus wysiadł, ujrzał wielki tłum i zdjęła Go litość nad nimi; byli bowiem jak owce nie mające pasterza. I zaczął ich nauczać.

W trakcie oglądania – na marginesie odnotujmy, że wyśmienitego pod względem sportowym – meczu Portugalia-Hiszpania (3:3) rozgrywanego podczas piłkarskich Mistrzostw Świata, które odbyły się w Rosji w 2018 r., siedząc sobie wygodnie w fotelu przed telewizorem, zjadałem się krówkami. Okazało się, że na papierkach, w które zawinięte były poszczególne cukierki, nadrukowane były rozmaite obrazkowe historyjki. A ponieważ cukierki były wyśmienite, a historyjki ciekawe i czasami zabawne, to w ciągu całego piłkarskiego widowiska krówek zjadłem całkiem sporo. Z jednej bowiem strony „poniosły” mnie walory smakowe łakoci i nie mogłem się im oprzeć, a z drugiej strony ciekawiło mnie, co też jest przedstawione na kolejnych papierkach. I stąd też zjadałem cukierka, po czym oglądałem historyjkę, znów jadłem i oglądałem, i tak aż do wyczerpania się wszystkich zapasów. W konsekwencji na stoliku przede mną zgromadziła się dość pokaźna sarta papierków. I na jednym z nich przedstawiona była historyjka, która kojarzmy mi się z przesłaniem niedzielnego fragmentu Ewangelii.

Otóż, na rzeczonym „krówkowym” opakowaniu byli narysowani dwaj pracujący drwale. Obok tego z prawej znajdowała się wyraźnie większa sarta porąbanego drewna niż obok tego z lewej. Ten pierwszy był też wyraźnie mniej zmęczony niż drugi. Widać również było, że ostrze siekiery pierwszego było znacznie ostrzejsze niż ostrze drugiego. Zaś cały obrazek był podsumowany mottem skierowanym strzałeczką w stronę tego drwa z nieco

tępawą siekierą, ociekającego potem i mającego obok siebie niewielką tylko kupkę drzazg. I to hasło głosiło: „Jest tak zapracowany, że nawet nie ma czasu, aby naostrzyć siekierę”.

Przy pierwszym spojrzeniu ta historyjka wydała mi się nawet nieco zabawna, ale od tamtego dnia im częściej ją wspominam, tym bardziej przywodzi mi na myśl smutną prawdę o nas współczesnych chrześcijanach. Jakże wielu spośród nas uważa, że może sobie znakomicie poradzić z codziennymi wyzwaniami bez zginania kolan przed Bogiem. A wśród nas pewnie są i tacy, którzy uważają niedzielną mszę świętą, codzienną modlitwę, comiesięczną spowiedź itd. za czas zupełnie zmarnowany, bo bezproduktywny.

Nic jednak bardziej mylnego! Bez regularnego, codziennego klękania przed Bogiem nic znaczącego, zwłaszcza patrząc w perspektywie wieczności, nie zdziałamy.

I właśnie takie przesłanie można odkryć w dzisiejszym ewangelicznym opowiadaniu. Zauważmy bowiem, że Jezus nie tylko wysyłał Apostołów na miejsce pustynne, aby odpoczęli i nabrali sił do dalszej pracy, ale także sam z nimi się tam udał. Zlecony odpoczynek nie miał więc być nieróbstwem, a uczniowie na ten czas nie mieli stać się wałkoniami, ale mieli nabierać sił do zmierzenia się z kolejnymi zadaniami w towarzystwie Pana. Każde więc trwanie przed Jezusem na modlitwie, nawiązując do owej historyjki z papierka, w który była zawinięta jedna ze zjedzonych przeze mnie krówek, można by sobie wyobrazić jako ostrzenie „duchowej siekiery”, przy pomocy której mierzymy się z codziennymi wyzwaniami wyrastającymi przed nami niczym mniejsze bądź większe drzewa.

17 Niedziela Zwykła

Eucharystia – Boża moc dla słabych i grzeszników

Ewangelia (J 6,1-15)

Jezus udał się za Jezioro Galilejskie, czyli Tyberiadzkie. Szedł za Nim wielki tłum, bo widziano znaki, jakie czynił na tych, którzy chorowali. Jezus wszedł na wzgórze i usiadł tam ze swoimi uczniami. A zbliżało się święto żydowskie, Pascha.

Kiedy więc Jezus podniósł oczy i ujrzał, że liczne tłumy schodzą się do Niego, rzekł do Filipa: „Skąd kupimy chleba, aby oni się posilili?” A mówił to wystawiając go na próbę. Wiedział bowiem, co miał czynić.

Odpowiedział Mu Filip: „Za dwieście denarów nie wystarczy chleba, aby każdy z nich mógł choć trochę otrzymać”.

Jeden z uczniów Jego, Andrzej, brat Szymona Piotra, rzekł do Niego: „Jest tu jeden chłopiec, który ma pięć chlebów jęczmiennych i dwie ryby, lecz cóż to jest dla tak wielu?”

Jezus zatem rzekł: „Każcie ludziom usiąść”. A w miejscu tym było wiele trawy. Usiedli więc mężczyźni, a liczba ich dochodziła do pięciu tysięcy.

Jezus więc wziął chleby i odmówiwszy dziękczynienie, rozdał siedzącym; podobnie uczynił i z rybami rozdając tyle, ile kto chciał. A gdy się nasycili, rzekł do uczniów: „Zbierzcie pozostałe ułamki, aby nic nie zginęło”. Zebrali więc i ułomkami z pięciu chlebów jęczmiennych, które zostały po spożywających, napełnili dwanaście koszów.

A kiedy ci ludzie spostrzegli, jaki cud uczynił Jezus, mówili: „Ten prawdziwie jest prorokiem, który miał przyjść na świat”.

Gdy więc Jezus poznał, że mieli przyjść i porwać Go, aby Go obwołać królem, sam usunął się znów na górę.

Jednym z pierwszych skojarzeń, jakie przychodzi nam do głowy, gdy słuchamy dzisiejszego ewangelicznego opowiadania, jest pewnie powiązanie cudownego rozmnożenia przez Jezusa pięciu chlebów i dwóch ryb z wydarzeniem, które chronologicznie rozegrało się nieco później. Chodzi tu o Ostatnią Wieczerzę, podczas której Jezus ustanowił Eucharystię. To zestawianie rozmnożenia pięciu chlebów i dwóch ryb z Eucharystią jest jak najbardziej

zasadne. Gdybyśmy czytali tekst Ewangelii według św. Jana dalej, to bez trudu zauważylibyśmy, że Apostoł jednoznacznie dzisiejszy cud traktuje w kategoriach eucharystycznych. Odkrylibyśmy, że przewidziany na bieżącą niedzielę fragment jest bezpośrednim wprowadzeniem do tematów eucharystycznych, które św. Jan rozwija i pogłębia w następnych wersetych szóstego rozdziału. Zresztą wypada nadmienić, że nie tylko św. Jan Apostoł „cud pięciu chlebów i dwóch ryb” odnosi do Eucharystii. Czynią to również pozostali Ewangeliści, gdyż w sporządzonych przez siebie opisach dzisiejszego cudu i Ostatniej Wieczery celowo posługują się podobnymi czasownikami, stosują te same konstrukcje narracyjne, zbliżone komentarze itp. Warto też nieco na marginesie nadmienić, że jedynym, oprócz zmartwychwstania, cudem uczynionym przez Jezusa opisanym we wszystkich czterech kanonicznych Ewangeliach jest właśnie rozmnożenie pięciu chlebów i dwóch ryb.

Sumując przywołane impulsy, można zreflektować, że dzisiejszy fragment Ewangelii skłania nas do zastanowienia się nad rolą Eucharystii w naszym życiu.

I znakomitą wskazówką są tu dla nas słowa papieża Franciszka, wypowiedziane w czwartkowe późne popołudnie 4 czerwca 2015 r., w uroczystość Bożego Ciała. Tamtego dnia przed rzymską bazyliką św. Jana na Lateranie Ojciec Święty odprawił mszę św. i podczas wygłoszonej homilii powiedział m.in.: „[...] Eucharystia nie jest nagrodą dla dobrych, ale jest mocą dla słabych, dla grzeszników. Jest przebaczeniem, jest wiatykiem, który nam pomaga iść, wędrować”.

Ilustracją tej papieskiej wskazówki odnośnie do tego, czym jest dla nas Eucharystia, może być z kolei opowiadanie zasłyszane niegdyś przeze mnie od jednego ze starszych księży – było to tak dawno, że już nawet nie pomnę jego personaliów.

Otóż, pewien człowiek z uwagą obserwował ludzi wchodzących do kościoła. Szczególnie przy tym dawał wyraz swojemu zgorszeniu, gdy widział, że na mszę św. przychodzą notoryczni plotkarze. Krzyczał wówczas: „Jak te pleciuchy mają czelność pojawiać się w kościele!”. Przypadkowo usłyszał te słowa zakonnik, przechodzący akurat w pobliżu, i od razu zripostował: „Syneczku, może ci, których zachowaniem się teraz tak oburzasz, tylko dzięki temu, że przychodzą na mszę św., nie stają się jeszcze gorsi. Pomyśl,

jak nisko mogliby upaść i z tego upadku się już nie podnieść, gdyby w ogóle tu nie przychodzili?”.

Tak! Skoro dla podtrzymywania i rozwoju naszego doczesnego życia regularnie musimy jeść i pić, to o ileż bardziej potrzebujemy mocy słowa Bożego oraz Ciała i Krwi Jezusa, by wytrwale pokonywać własne słabości i powstawać z grzechu. Dalej, nie po to nam Bóg podczas mszy św. obficie zastawia stół swojego słowa i stół Eucharystyczny, by się Jego dary „marnowały”, ale abyśmy z nich pełnymi garściami korzystali.

18 Niedziela Zwykła

„Karteczkowe” chrześcijaństwo

Ewangelia (J 6,24-35)

Kiedy ludzie z tłumu zauważyli, że na brzegu jeziora nie ma Jezusa, a także Jego uczniów, wsiedli do łodzi, przybyli do Kafarnaum i tam Go szukali. Gdy zaś Go odnaleźli na przeciwległym brzegu, rzekli do Niego: „Rabbi, kiedy tu przybyłeś?”

Odpowiedział im Jezus: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Szukacie Mnie nie dlatego, że widzieliście znaki, ale dlatego, że jedliście chleb do sytości. Troszczcie się nie o ten pokarm, który ginie, ale o ten, który trwa na wieki, a który da wam Syn Człowieczy; Jego to bowiem pieczęcią swą naznaczył Bóg Ojciec”.

Oni zaś rzekli do Niego: „Cóż mamy czynić, abyśmy wykonywali dzieła Boże?”

Jezus odpowiadając rzekł do nich: „Na tym polega dzieło zamierzone przez Boga, abyście uwierzyli w Tego, którego On posłał”.

Rzekli do Niego: „Jakiego więc dokonasz znaku, abyśmy go widzieli i Tobie uwierzyli? Cóż działasz? Ojcowie nasi jedli mannę na pustyni, jak napisano: «Dał im do jedzenia chleb z nieba»”.

Rzekł do nich Jezus: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Nie Mojżesz dał wam chleb z nieba, ale dopiero Ojciec mój da wam prawdziwy chleb z nieba. Albowiem chlebem Bożym jest Ten, który z nieba zstępuje i życie daje światu”.

Rzekli więc do Niego: „Panie, dawaj nam zawsze tego chleba”.

Odpowiedział im Jezus: „Jam jest chleb życia. Kto do Mnie przychodzi, nie będzie łaknął; a kto we Mnie wierzy, nigdy pragnąć nie będzie”.

Kilkanaście lat temu, kiedy pracowałem w olsztyńskiej parafii św. Józefa, często spacerowałem w sutannie wokół kościoła. Któregoś dnia przed wieczorną mszą świętą podszedł do mnie młody człowiek i zapytał: „Księżo, gdzie tu można zaliczyć kurs przed bierzmowaniem?”. Chociaż nie podejrzewałem go o złą wolę ani też ton jego wypowiedzi nie był specjalnie prowokacyjny, to jednak pozwoliłem sobie na odpowiedź z wyraźną ironią w tonie: „Przepraszam, ale nie bardzo wiem, o co Panu chodzi. Jaki kurs ma Pan na myśli?”.

Młody człowiek powiedział wówczas: „Ksiądz rozumie, mam być ojcem chrzestnym na chrzcie córki mojego brata. Potrzebne pewnie będą jakieś papiery. No, ażeby je otrzymać, to podobno mam przejść jakiś kurs albo coś w tym stylu. Czy wie ksiądz, gdzie taki kurs można w miarę szybko zaliczyć? Czas nagli, już w przyszłym tygodniu ma być ten chrzest”. Na te słowa odpowiedziałem: „Owszem, słyszałem o szybkich kursach języka niemieckiego albo pisania na komputerze. Podobno można je rozpocząć w każdej chwili i szybko zdobyć potrzebne zaświadczenia”. Młody człowiek, uśmiechając się rzekł: „O! Właśnie, taki kurs mam na myśli. Tyle tylko, że – ksiądz rozumie – na bierzmowanie!”.

Nie będę przywoływał dalszej części naszej rozmowy. Powiem tylko tyle, że ów młody człowiek był wielce zaskoczony, kiedy powiedziałem mu, że jego podejście do sakramentu bierzmowania już w punkcie wyjścia wskazuje, iż niewiele rozumie z istoty sprawy.

W niedzielnym fragmencie Ewangelii słyszymy, jak Jezus strofuje przychodzących do Niego ludzi. Jezus wyrzuca tłumom, że nie szukają Go ani z powodu czynionych przez Niego znaków, ani też z powodu Jego nauki. Pana najwyraźniej boli, że ludzie zgromadzili się wokół Niego jedynie w tym celu, by stale mieć zapewnione pożywienie. Wcześniej bowiem Jezus, rozmnażając chleb i ryby, nakarmił do syta kilka tysięcy ludzi. Słyszeliśmy o tym cudownym rozmnożeniu pokarmu we fragmencie Ewangelii czytany przed tygodniem. A dzisiaj dowiadujemy się, że Jezus oczekuje od ludzi czegoś więcej: nawiązania z Nim przyjaźni, uznania Go za osobistego Zbawiciela itd.

Sytuacja, którą na początku nakreśliłem, wydaje się dobrze ilustrować, jak wielu spośród nas traktuje bycie chrześcijaninem. Czyż nie ma wśród nas takich, którzy każdego roku owszem „zaliczają” wielkanocną spowiedź, ale bez żadnej niemalże głębszej refleksji nad własnym życiem i nawet odrobiną wysiłku, aby je mozolnie zmieniać w świetle nauczania Jezusa? Czyż nie ma wśród nas takich, którzy przynoszą do chrztu swoje dziecko, gdyż taka jest tradycja w danej rodzinie czy okolicy, a zupełnie nie pojawia się tu motywacja wpływająca z głębokiego osobistego związku rodziców z Jezusem? Iluż z nas przyjmuje sakramenty zupełnie bezwiednie? A ilu wśród nas jest takich, którzy przyjęli sakrament bierzmowania tylko po to, aby zdobyć świstek papieru i w przyszłości uniknąć „problemów” przy ślubnych formalnościach w kancelarii parafialnej?

Nietrudno zreflektować, że wyżej postawione pytania – i oczywiście wiele innych im podobnych – ostatecznie sprowadza się do jednego. I wprawdzie w dzisiejszej perykopie ewangelicznej bezpośrednio ono z ust Jezusa nie pada, ale zostaje nam zadane przez Niego „między wierszami”: Kim dla Ciebie jestem?

I szukając odpowiedzi na to pytanie, weźmy pod uwagę, że Jezus nie chce, abyśmy nasze chrześcijaństwo traktowali niczym broszkę, którą w zależności od okoliczności i potrzeb raz się przypina, innym razem się zdejmuje. Jezus pragnie, abyśmy byli Jego uczniami 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. Pamiętajmy też, że w chrześcijaństwie nie chodzi o to, aby odbyć taki czy inny kurs i uzyskać certyfikat odpowiedniej kościelnej instytucji. Prawdziwe bycie chrześcijaninem oznacza trwanie w osobistej relacji z Jezusem z Nazaretu.

19 Niedziela Zwykła

Nie rańmy naszą nieczulością Jezusa!

Ewangelia (J 6,41-51)

Żydzi szemrali przeciwko Jezusowi, dlatego że powiedział: „Jam jest chleb, który z nieba zstąpił”, i mówili: „Czyż to nie jest Jezus, syn Józefa, którego ojca i matkę znamy? Jakżeż może On teraz mówić: «Z nieba zstąpiłem»?”

Jezus im odpowiedział: «Nie szemrajcie między sobą. Nikt nie może przyjść do Mnie, jeżeli go nie pociągnie Ojciec, który Mnie posłał; Ja zaś wskreszę go w dniu ostatecznym. Napisane jest u Proroków: «Oni wszyscy będą uczniami Boga». Każdy, kto od Ojca usłyszał i nauczył się, przyjdzie do Mnie. Nie znaczy to, aby ktokolwiek widział Ojca; jedynie Ten, który jest od Boga, widział Ojca. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto we Mnie wierzy, ma życie wieczne.

Jam jest chleb życia. Ojcowie wasi jedli manę na pustyni i pomarli. To jest chleb, który z nieba zstępuje: kto go spożywa, nie umrze.

Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata”.

Przed wielu laty, kiedy byłem wikariuszem w parafii św. Józefa w Olsztynie, podczas pierwszo piątkowych odwiedzin chorych, jeden z nich podzielił się ze mną bolesnym dla siebie doświadczeniem. Ów starszy mężczyzna ubolewał nad tym, że jego dorosły syn, będąc przed paroma tygodniami w Olsztynie i załatwiając jakieś sprawy zawodowe, w ogóle nie odwiedził ojca. Sprawa wydawała się być poważna, ponieważ syn od bardzo dawna mieszkał w Niemczech, a ojca w domu w Olsztynie odwiedzał najwyżej raz w roku, zazwyczaj przy okazji Bożego Narodzenia lub Wielkanocy. Schorowanego starszego człowieka bolało szczególnie to, że jego syn wygadał się mu o swej rzeczonyj wizycie w Olsztynie zupełnie przypadkowo i już „po fakcie”, tzn. w trakcie rozmowy telefonicznej, którą niedawno obydwaj odbyli. Ojciec wydawał się więc cierpieć zwłaszcza dlatego, że jego syn nawet nie uwzględnił w swych planach spotkania z nim podczas swej służbowej wizyty w rodzinnym mieście.

Przywołane wspomnienie kojarzy mi się z treścią dzisiejszego fragmentu Ewangelii. Dlaczego?

Zauważmy najpierw, że Jezus mówi, iż wiara w Niego jest warunkiem życia wiecznego. Jeśli więc chcemy osiągnąć życie wieczne, tym samym musimy sobie zadać pytanie: Co to znaczy wierzyć w Jezusa? Na szczęście w poszukiwaniach odpowiedzi na to pytanie Jezus nie pozostawia nas dzisiaj bez pomocy, ale wyraźnie sugeruje odpowiedź. Tej sugestii możemy się doszukać w wypowiedzi Jezusa, gdy mówi, że każdy, kto prawdziwie posłyszyna Boga, do Niego (Jezusa) przychodzi. Innymi słowy, w świetle dzisiejszej Ewangelii można postawić znak równoznaczności pomiędzy „wierzyć w Jezusa” i „do Jezusa przychodzić”.

Dostrzeżona równoznaczność ma wielką wagę, jeśli chodzi o naszą codzienność. Zapewne przecież niemal każdego dnia, załatwiając różne sprawy, idąc do pracy lub z niej wracając itd., przechodzimy obok jakiegoś kościoła czy kaplicy, w których w tabernakulum jest Najświętszy Sakrament. Tym samym trzeba byśmy byli świadomi tego, że, przechodząc w pobliżu świątyni, przestrzennie zawsze znajdujemy się blisko Pana. A skoro nasz Odkupiciel jest już od nas tylko o krok, to ogromnym niedopatrzaniem z naszej strony byłoby minięcie Go zupełnie bez zaangażowania i nie wejście do świątyni, by się choć przez krótką chwilę Mu pokłonić. A jeśli już z jakiegoś powodu nie możemy do domu Bożego zajść, to wskazane byłoby wówczas przynajmniej pozdrowienie Mistrza z Nazaretu np. skinieniem głowy i odmówieniem jakiegoś aktu strzelistego.

Niech zatem nasze serca będą zawsze wrażliwe na obecność Pana w tabernakulum. On bez wątpienia pragnie, abyśmy Go odwiedzali. I pewnie Jezus doświadcza przenikliwego bólu – którego jedynie mglistym zobrazowaniem może być opowiedziana na początku historia – gdy jest przez nas, przechodzących akurat w pobliżu, mijany całkowicie obojętnie. Nie rańmy naszą nieczułością Jezusa!

20 Niedziela Zwykła

Potrzeba nam otwartego serca, by doświadczać mocy Pana

Ewangelia (J 6,51-58)

Jezus powiedział do tłumów: „Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życia świata”.

Sprzeczali się więc między sobą Żydzi mówiąc: „Jak On może nam dać swoje ciało na pożywienie?”

Rzekł do nich Jezus: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeżeli nie będziecie spożywać ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto spożywa moje ciało i pije moją krew, ma życie wieczne, a Ja go wskreszę w dniu ostatecznym. Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a krew moja jest prawdziwym napojem. Kto spożywa moje ciało i krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim. Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto Mnie spożywa, będzie żył przeze Mnie. To jest chleb, który z nieba zstąpił - nie jest on taki jak ten, który jedli wasi przodkowie, a poumierali. Kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki”.

Zacznijmy dzisiejszą refleksję od wyliczanki miejscowości i dat: Rzym (595 r.), Trani (1000 r.), Ratzbona (1257 r.), Głotowo (1300 r.), Amsterdam (1345 r.), Ludbreg (1411 r.), Saragossa (1427 r.), Turyn (1453 r.), Veroli (1570 r.), San Pietro a Patierno (1772 r.), Bordeaux (1822 r.), La Morne Rouge (1902 r.), Buenos Aires (1996 r.) i Tixtla (2006 r.). Cóż to są za miejscowości i daty? Może odnoszą się do jakichś ważnych bitew czy politycznych traktatów, które odegrały w dziejach ludzkości istotną rolę?

Otóż, nie! Przywołana wyliczanka jest listą - i to jedynie jej fragmentem, gdyż, aby była kompletna, musiałoby się na niej znaleźć grubo ponad sto pozycji - Cudów Eucharystycznych, jakie są znane w historii Kościoła. Nie ma tu oczywiście miejsca, by je choć w skrócie omówić, stąd też zainteresowanych poznaniem bliżej tej problematyki odsyłam np. do znanej książki *Cuda Eucharystyczne* autorstwa Joan Carroll Cruz. Niemniej na jeden z Cudów Eucharystycznych chcę zwrócić uwagę, ponieważ doskonale koresponduje

on z niedzielnym fragmentem Ewangelii. Chodzi o historię życia Marty Robin (1902-1981), jednej z największych mistyczek i stygmatyczek naszych czasów.

Marta była nadzwyczaj radosnym i pogodnym dzieckiem. Kochała przyrodę, w szczególności kwiaty, chętnie pomagała w pracach domowych i ogrodowych. Uwielbiała również wieczorne spotkania w gronie sąsiadów, podczas których śpiewano pieśni ludowe i tańczono popularne w okolicy tańce. Ale w wieku szesnastu lat Marta gwałtownie i niespodziewanie zapadała w śpiączkę. Lekarze byli bezradni i nie potrafili postawić diagnozy, co Marcie dolega. Obawiano się, że dziewczyna umrze. Jednak po dwóch latach Marta równie niespodziewanie, jak zachorowała, odzyskała świadomość. Niestety mogła się już poruszać jedynie przy pomocy kul. Okazało się też, że śpiączka, w jakiej Marta się znalazła, był czasem mistycznych przeżyć, podczas których Jezus duchowo przygotował Martę do tego, co miało nastąpić później. 15 października 1925 r., a w kalendarzu liturgicznym jest to akurat wspomnienie św. Teresy z Avila, zwanej też Teresą Wielką, Marta dokonała aktu zawierzenia swojego życia Jezusowi. 3 października 1926 r., w dniu liturgicznego wspomnienia innej św. Teresy, tzn. tej z Lisieux, zwanej też Teresą Małą, Marta ponownie zapadła na jakieś trzy tygodnie w stan mistycznego snu. Po obudzeniu się Marta z każdym dniem jadła coraz mniej, a paraliż nóg posunął się do tego stopnia, że nie mogła się już poruszać o własnych siłach. Wreszcie 2 lutego 1929 r., czyli w święto Ofiarowania Pańskiego, całkowity paraliż objął ramiona, ręce i mięśnie przełyku Marty Robin. Od tego dnia Marta nie była w stanie niczego przełykać, tzn. nie mogła ani jeść, ani pić. Położono ją wówczas do łóżka, którego nie opuściła aż do śmierci, która nastąpiła 6 lutego 1981 r. Dodajmy jeszcze, że 2 października 1930 r. Marta otrzymała na stopach, dłoniach, boku i czole stygmaty, czyli znaki Chrystusowej Męki. Ponadto, od czasu otrzymania stygmatów co tydzień - od czwartku do niedzieli - przeżywała w swoim ciele i w duszy Mękę Jezusa. A w 1939 r. straciła jeszcze wzrok. W 2014 r. papież Franciszek wyraził zgodę na ogłoszenie heroicznego cnót Marty Robin. Obecnie wciąż się toczy jej proces beatyfikacyjny.

Opowiedziane wyżej, w telegraficznym oczywiście skrócie, losy Marty Robin są szczególnie wyrazistym zobrazowaniem Jezusowego zapewnienia, wyrażonego w dzisiejszym fragmencie Ewangelii: „Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a krew moja jest prawdziwym napojem”. Marta Robin przez ostatnie 49 lat swego ziemskiego życia w ogóle bowiem niczego nie jadła i nie piła, karmiąc się jedynie Eucharystią. Patrząc na ten fakt

z medycznego punktu widzenia, można bez wątpienia powiedzieć, że to nie jest możliwe, bo kawałek konsekrowanej Hostii dostarcza organizmowi mniej więcej tyle, ile - jeśli wierzyć reklamom - jeden „Tic Tac”, czyli 2 kalorie. A każdego dnia przeciętna kobieta potrzebuje przecież ok. 1500 kalorii, czyli kilkaset razy więcej. A jednak... Martę Robin przy życiu biologicznym przez długie lata utrzymywał, przyjmowany codziennie, jeden komunikant. Toć to jest prawdziwy Cud!

Gdy czytamy o dziejach Marty Robin lub już skusiliśmy się przynajmniej na przewertowanie przywołanej na początku książki prezentującej inne Cuda Eucharystyczne, może przyjść nam do głowy pytanie, dlaczego tak spektakularnych zjawisk na co dzień my nie doświadczamy? Takie jednak myślenie byłoby ogromnym nieporozumieniem, ponieważ codziennie mamy możliwość zetknięcia się z Cudem Eucharystycznym. Wystarczy, że pójdziemy choć na chwilę padorować Najświętszy Sakrament, a zwłaszcza weźmiemy udział we mszy św., podczas której godnie przyjmujemy Komunię świętą. I nic więcej nie jest potrzebne, by doświadczać mocy Pana, jak tylko otwarte na Jego obecność w Eucharystii nasze serce!

Uroczystość Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej

W niebezpieczeństwach i w smutkach, i w wątpliwościach myśl o Maryi, wzywaj Ją

Ewangelia (J 2,1-11)

W Kanie Galilejskiej odbywało się wesele i była tam Matka Jezusa.

Zaproszono na to wesele także Jezusa i Jego uczniów. A kiedy zabrakło wina, Matka Jezusa mówi do Niego: „Nie mają już wina”.

Jezus Jej odpowiedział: „Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Jeszcze nie nadeszła godzina moja”.

Wtedy Matka Jego powiedziała do sług: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie”. Stało zaś tam sześć stągwi kamiennych przeznaczonych do żydowskich oczyszczeń, z których każda mogła pomieścić dwie lub trzy miary.

Rzekł do nich Jezus: „Napełnijcie stągwie wodą”. I napełnili je aż po brzegi. Potem do nich powiedział: „Zaczerpnijcie teraz i zanieście staroście weselnemu”. Ci zaś zanieśli.

A gdy starosta weselny skosztował wody, która stała się winem, i nie wiedział, skąd ono pochodzi, ale słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli, przywołał pana młodego i powiedział do niego: „Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się napiją, wówczas gorsze. Ty zachowałeś dobre wino aż do tej pory”.

Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie.

Gdy myślę o Sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze, a w dzisiejszą uroczystość jest ku temu szczególna przecież okazja, niemal zawsze przychodzi mi do głowy fabuła „Potopu”. „Potop” jest jedną z trzech powieści, pozostałe dwie to „Ogniem i mieczem” i „Pan Wołodyjowski”, które razem składają się na „Trylogię” Henryka Sienkiewicza. Skojarzenie „Potopu” z Jasną Górą nie jest przypadkowe, ponieważ dzieło Sienkiewicza opowiada o potopie szwedzkim, który zalał Polskę w latach 1655-1660. Sama zaś akcja „Potopu” dotyczy tylko wydarzeń z lat 1655-1657, a jednym z najbardziej wyrazistych wątków powieści jest oblężenie przez Szwedów Jasnej Góry pomiędzy 18 listopada a 27 grudnia 1655 r.

Zgodnie z wypadkami nakreślonymi przez Sienkiewicza dla ocalenia Jasnej Góry bardzo przysłużył się niejaki Andrzej Babinicz, wysadzając w powietrze ogromne szwedzkie działo, kolumbrynę, które mocno dawało się we znaki obrońcom częstochowskiego sanktuarium. Według fabuły powieści pod nazwiskiem Babinicz faktycznie krył się Andrzej Kmicic, postać wymyślona przez pisarza. Bohater bowiem tylko przybrał na pewien czas nazwisko Babinicz, ponieważ na jego własnym, Kmicic, ciążyło piętno wielkiego zdrajcy. Poruszająca jest również scena, kiedy główny bohater „Potopu” rozpoczął swą drogę nawrócenia spowiedzią u księdza Klemensa Augustyna Kordeckiego, przeora Jasnej Góry. I dopiero, gdy Andrzej, występując cały czas jako Babinicz, odkupił już swoje winy, oprócz zasług spod Jasnej Góry uratował też m.in. samego króla Jana Kazimierza, ponownie ukazał się przed światem pod swym prawdziwym, książkowym nazwiskiem – Kmicic.

Przyglądając się losom Kmicica, nie trudno zauważyć, że Sienkiewiczowi genialnie udało się skonstruować postać bohatera, który, mimo że najpierw upadł na samo dno, przez co wielu postawiło na nim już – jak to się mówi – „krzyżyk”, to jednak potem powstał, winy odkupił i wzniósł się na wyżyny poświęcenia w imię najwyższych wartości. Można też powiedzieć, że Kmicic z pierwszych stron „Potopu” i Kmicic ze stron ostatnich to jednocześnie ten sam i nie ten sam człowiek. Pierwszy Kmicic był awanturnikiem, porywczym hulaką, czasem wręcz warchołem niestroniącym ani od bitki, ani od wypitki. Zaś drugi Kmicic to człowiek, który m.in. dobro ojczyzny stawiał ponad własne interesy.

Wielce wymowne jest ponadto, że Sienkiewicz „punkt zwrotny” w dziejach Kmicica usytuował nie gdzie indziej, ale na Jasnej Górze. Przeoczyć nie wolno, że za nawróceniem się Kmicica w znacznej mierze stała też modlitwa wybranki jego serca – Oleńki Bilewiczówny. Dziewczyna, choć sama również zakochała się w Kmicicu od pierwszego wejrzenia, to jednak po jego upadku, zniechęciła się do niego. Mimo to wiele czasu potem spędzała na modlitwie w intencji nawrócenia się Kmicica, a także dla odkupienia jego win postanowiła wstąpić do zakonu.

Spróbujmy teraz powiązać wyłuskane pomysły Sienkiewicza z naszymi osobistymi doświadczeniami. Postawmy sobie w tym celu chociażby takie pytania: Może ktoś wydobył się z jakiegoś duchowego bagna, a stała za tym czyjaś dyskretna modlitwa u stóp Maryi na

Jasnej Górze? A może ktoś inny, pielgrzymując do tronu Panny Częstochowskiej, wyprosił zdrowie dla siebie lub kogoś innego?

Tak! Dzięki wstawiennictwu Matki Bożej, dziś uroczycie wspomianej jako Panna Częstochowska, możemy u Boga wszystko wyblagać. Potwierdzają to liczne wpisy do Jasnogórskiej Księgi Cudów. Zobaczmy zresztą też, że dzisiejszy fragment Ewangelii wyraźnie przypomina nam o tym, jak wiele Maryja może u Boga zdziałać. To przecież Ona jest inspiratorką cudu dokonanego przez Jezusa w Kanie Galilejskiej. Dlatego niech przyświecają nam na co dzień słowa zachęty św. Bernarda z Clairvaux, wielkiego czciciela Niepokalanej Dziewicy: „W niebezpieczeństwach i w smutkach, i w wątpliwościach myśl o Maryi, wzywaj Ją”.

22 Niedziela Zwykła

Kim naprawdę jestem?

Ewangelia (Mk 7,1-8a.14-15.21-23)

Zebrali się u Jezusa faryzeusze i kilku uczonych w Piśmie, którzy przybyli z Jerozolimy. I zauważyli, że niektórzy z Jego uczniów brali posiłek nieczystymi, to znaczy nie umyтыми rękami. Faryzeusze bowiem i w ogóle Żydzi, trzymając się tradycji starszych, nie jedzą, jeśli sobie rąk nie obmyją, rozluźniając piść. I gdy wrócą z rynku, nie jedzą, dopóki się nie obmyją. Jest jeszcze wiele innych zwyczajów, które przejęli i których przestrzegają, jak obmywanie kubków, dzbanków, naczyń miedzianych.

Zapytali Go więc faryzeusze i uczeni w Piśmie: „Dlaczego twoi uczniowie nie postępują według tradycji starszych, lecz jedzą nieczystymi rękami?”

Odpowiedział im: „Słusznie prorok Izajasz powiedział o was, obłudnikach, jak jest napisane: «Ten lud czci mnie wargami, lecz sercem swym daleko jest ode mnie. Ale czci na próżno, ucząc zasad podanych przez ludzi». Uchyliliście przykazanie Boże, a trzymacie się ludzkiej tradycji”.

Potem przywołał znowu tłum do siebie i rzekł do niego: „Słuchajcie mnie wszyscy i zrozumieście. Nic nie wchodzi z zewnątrz w człowieka, co mogłoby uczynić go nieczystym; lecz co wychodzi z człowieka, to czyni człowieka nieczystym. Z wnętrza bowiem, z serca ludzkiego pochodzą złe myśli, nierzęd, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zazdrość, obelgi, pycha, głupota. Wszystko to zło z wnętrza pochodzi i czyni człowieka nieczystym”.

Jednym z najgenialniejszych aktorów w historii filmu był – moim skromnym zdaniem – Louis de Funès. Możemy pamiętać chociażby znakomite jego kreacje w całej serii obrazów przedstawiających kolejne przygody francuskiego żandarma i jego kolegów po fachu (*Żandarm z Saint-Tropez, Żandarm w Nowym Jorku, Żandarm się żeni, Żandarm na emeryturze, Żandarm i kosmici* oraz *Żandarm i policjantki*). Aktorski kunszt De Funèsa możemy też pamiętać z nadzwyczaj wyrazistej ekspresyjności, szerokiego zakresu mimiki twarzy, przesadnej gestykulacji, grymasów, okrzyków, zabawnych podskoków i zniecierpliwienia. De Funès fantastycznie wcielał się także w bohaterów wyniosłych,

samolubnych i zionących specyficznym emocjonalnym chłodem. Dlaczego jednak akurat dzisiaj przywołuję francuskiego aktora, który nie żyje już od ponad trzech dekad i którego być może młodsze pokolenie kinomanów zbyt dobrze już nie kojarzy?

Otóż, choć osobiście bardzo mi imponuje aktorstwo de Funèsa i lubię oglądać filmy, w których występuje, gdyż można się przy nich nieźle odprężyć, to jednak postaci grane przez de Funèsa zazwyczaj kojarzyły mi się z osobami dwulicowymi. Nieco na marginesie podkreślić tu też chcę wyraźnie, że w życiu prywatnym aktor był przeciwieństwem kreowanych przez siebie filmowych bohaterów, gdyż był osobą cichą, spokojną, lubiącą życie rodzinne i wyjątkowo nieśmiałą. W filmach aktor po wielokroć znakomicie jednak wcielał się w postaci, które w jednej nawet scenie raz są milutkie czy nawet wręcz usłużne wobec innego bohatera, gdyż kierują do niego uśmiechy, achy, ochy, całusy itd., a gdy tylko ów rozmówca choć na momencik się odwróci, wówczas postaci grane przez de Funèsa przybierają całkiem odwrotne pozy: a to wystawiają język, a to robią „bla bla bla”, a to zaczynają dłubać w nosie itd. A po chwili znów ochy, achy, całusy itd., gdy tylko dany bohater kieruje wzrok bezpośrednio na de Funèsa. I wystarczy, że tylko ponownie spojrzy gdzieindziej, a de Funès zaczyna ponownie kpić, szydzić itd.

A teraz zauważmy, że Jezus w dzisiejszym fragmencie Ewangelii piętnuje zbytne przywiązanie faryzeuszów i uczonych w Piśmie do litery prawa, a nie do jego ducha, czyli przyjmowanie postaw, w których dochodzi do wyraźnego przerostu formy nad treścią. Jezus zwraca też uwagę, że od zewnętrznej i rytualnej nieczystości jest o wiele gorsza nieczystość wewnętrzna, a jej zasadniczym źródłem jest wszelki grzech. Pan domaga się tym samym, by serce człowieka - które w Biblii najczęściej jest rozumiane jako siedlisko myśli, gdzie zakorzenione są podstawowe władze człowieka: wola i sumienie - było czyste. Wedle słów Jezusa można wreszcie powiedzieć, że w ludzkim sercu rozpoczyna się zarówno proces odchodzenia od, jak i powracania danego człowieka do Boga.

I tak uchwycone przesłanie dzisiejszej Ewangelii skłania nas do przyjrzenia się własnym postawom, czy przypadkiem nie ma w nich czegoś charakteryzującego człowieka, którego w świetle słów Jezusa należałoby nazwać „praktykującym, a niewierzącym”. Ale kim taki człowiek jest?

Otóż, przykładowo jest to ktoś, kto w kancelarii parafialnej deklaruje się w trakcie wypełniania przedślubnego protokołu jako katolik, a jednocześnie zupełnie nic sobie nie robi z tego, że od kilkunastu miesięcy (współ)żyje z osobą, którą ma zamiar dopiero poślubić, pod jednym dachem, jak mąż i żona. Dalej, to jest też ktoś, kto zbiega, by chrzest jego dziecka wyglądał w kościele przepięknie i został obficie udokumentowany na zdjęciach i filmach, ale jednocześnie całkowicie nie dba o regularną i częstą własną spowiedź, codzienną modlitwę i uczestnictwo w mszy św. w każdą niedzielę oraz święta nakazane. I jeszcze, jest to ktoś, kto owszem regularnie uczestniczy w niedzielnej mszy św., ale którejś niedzieli zaraz po zakończeniu nabożeństwa polecał na tzw. czarny marsz i krzyczał na nim: „Aborcja to podstawowe prawo człowieka”. I wreszcie, „praktykujący, a niewierzący” to każdy człowiek, który - jak powiedział sam Pan - czcí Boga wargami, ale sercem jest od Niego daleko, bo dopuszcza się złych myśli, nierządu, kradzieży, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwości, przewrotności, podstępu, wyuzdania, zazdrości, obelgi, pychy i głupoty.

Kim zatem ja jestem? Czy człowiekiem, który ma Boga zawsze w sercu? A może - analogicznie, jak wiele spośród postaci granych przez de Funèsa, odnosiło się do swoich rozmówców - raz zwracam się do Boga z całą żarliwością, ale innym razem i to bez najmniejszych nawet skrupułów pokazuję Mu język czy też Jego przykazania traktuję jako swego rodzaju „bla bla bla”? Odpowiedzmy sobie szczerze na te pytania, gdyż odpowiedzi na nie pokazują, kim naprawdę jesteśmy!

23 Niedziela Zwykła

Zostawianie sam na sam z Jezusem szkołą miłości

Ewangelia (Mk 7,31-37)

Jezus opuścił okolice Tyru i przez Sydon przyszedł nad Jezioro Galilejskie, przemierzając posiadłości Dekapolu.

Przyprowadzili Mu głuchoniemego i prosili Go, żeby położył na niego rękę. On wziął go na bok osobno od tłumu, włożył palce w jego uszy i śliną dotknął mu języka, a spojrzawszy w niebo, westchnął i rzekł do niego: „Effatha”, to znaczy: „Otwórz się”. Zaraz otworzyły się jego uszy, więzy języka się rozwiązały i mógł prawidłowo mówić.

Jezus przykazał im, żeby nikomu nie mówili. Lecz im bardziej przykazywał, tym gorliwiej to rozgłaszali.

I pełni zdumienia mówili: „Dobrze uczynił wszystko. Nawet głuchym słuch przywraca i niemym mowę”.

W ewangelicznym opowiadaniu o uzdrowieniu głuchoniemego przez Jezusa w centrum znajduje się aramejskie słowo „Effatha”. Pozostawienie przez św. Marka tego słowa w języku, którym Jezus na co dzień się posługiwał, wydaje się być zamierzone. Ewangelista w greckim tekście, w takim bowiem języku została spisana najkrótsza i najstarsza nowotestamentowa Ewangelia, pozostawił aramejskie „Effatha”, ponieważ najwyraźniej chciał, aby słuchacze perykopy o uzdrowieniu głuchoniemego usłyszeli jakby brzmienie głosu samego Jezusa. A głos Pana - jak w niedzielnym fragmencie Ewangelii słyszymy - miał taką moc, że głuchoniemy, gdy tylko Jezus wypowiedział słowo „Effatha”, czyli „otwórz się”, zaraz zaczął słyszeć i mówić. I dzięki temu człowiek ten, którego wcześniej od ludzi szalenie oddzielał mur absolutnej ciszy, mógł nie tylko wrócić do świata, ale także zacząć nawiązywać coraz głębsze relacje z innymi ludźmi i po prostu czerpać pełnymi garściami z życia.

Zwróćmy też uwagę na inny szczegół. Słyszymy, że Jezus wziął głuchoniemego na bok, osobno od ludzkiej zgrai i dopiero wtedy, gdy znaleźli się już na osobności, go uzdrowił. Jak to wytłumaczyć? Po pierwsze, Pan pewnie nie chciał, aby wzięto Go za jednego z magików, którzy w tamtym czasie działali w Palestynie i na oczach tłumów dokonywali

spektakularnych sztuczek. Po drugie, Jezus wziął głuchoniemego na osobność zapewne też i z tego powodu, aby ten mógł bez żadnych rozproszeń skoncentrować całą swą uwagę na Nim jako tym, który jest w stanie zaradzić jego nieszczęściu.

Pan świadomie stworzył więc głuchoniememu warunki do tego, by choć przez moment mógł się on oddać kontemplacji Bożego Oblicza, czyli - jak objaśniają kontemplację Hugo od św. Wiktora i św. Bonawentura - aby głuchoniemy wzrokiem wolnym od wszelkich rozproszeń, przenikającym, nieruchomym, a przede wszystkim przepelnionym uczuciem nadziei i miłości spojrział Bogu prosto w twarz. Ponadto, Jezus celowo tak pokierował całym wydarzeniem, aby głuchoniemy na oścież otworzył przed Nim swoje serce.

W kontekście naszej codzienności, prawdopodobnie zaganianej, a także zaśmieconej nadmiarem informacji, obrazów i dźwięków, które nas zewsząd bombardują, pouczenie, jakie wypływa dla nas z wyłuskanych wyżej wątków z niedzielnej perykopy ewangelicznej, dobrze - jak myślę - oddaje aforyzm autorstwa niemieckiego pisarza Wilhelma Raabe: „Największe cuda powstają w największej ciszy”. Przy czym największą ciszę należałoby tu oczywiście rozumieć jako pozostawanie czasami, najlepiej codziennie choć przez parę minut, sam na sam z Jezusem. Jak zaś rozumieć ów największy cud, który miałby być owocem systematycznego przebywania na osobności twarzą w twarz z Jezusem?

Tu znakomitą podpowiedź daje nam Benedykt XVI. Papież senior, w trakcie rozważania przed modlitwą Anioł Pański 9 września 2012 r. w Castel Gandolfo, podkreślił, że Jezus „stał się człowiekiem, aby człowiek, który stał się wewnętrznie głuchy i niemy z powodu grzechu, był w stanie usłyszeć głos Boga, głos Miłości, która przemawia do jego serca, i w ten sposób sam nauczył się mówić językiem miłości, porozumiewać się z Bogiem i z innymi”.

Nie bójmy się zatem pozostawać sam na sam z Jezusem, adorując Go w ciszy w świątyni czy zapraszając Go do własnego domu. To jest - jak możemy wyczytać w niedzielnej Ewangelii - najwłaściwsza i najpewniejsza droga do tego, by nauczyć się języka miłości.

24 Niedziela Zwykła

Kim dla Ciebie jestem?

Ewangelia (Mk 8,27-35)

Jezus udał się ze swoimi uczniami do wiosek pod Cezareą Filipową. W drodze pytał uczniów: „Za kogo uważają Mnie ludzie?”

Oni Mu odpowiedzieli: „Za Jana Chrzciciela, inni za Eliasza, jeszcze inni za jednego z proroków”.

On ich zapytał: „A wy za kogo Mnie uważacie?”

Odpowiedział Mu Piotr: „Ty jesteś Mesjaszem”. Wtedy surowo im przykazał, żeby nikomu o Nim nie mówili.

I zaczął ich pouczać, że Syn Człowieczy musi wiele cierpieć, że będzie odrzucony przez starszych, arcykapłanów i uczonych w Piśmie; że będzie zabity, ale po trzech dniach zmartwychwstanie. A mówił zupełnie otwarcie te słowa.

Wtedy Piotr wziął Go na bok i zaczął Go upominać. Lecz On obrócił się i patrząc na swych uczniów, zgromił Piotra słowami: „Zejdź Mi z oczu, szatanie, bo nie myślisz o tym, co Boże, ale o tym, co ludzkie”.

Potem przywołał do siebie tłum razem ze swoimi uczniami i rzekł im: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z powodu Mnie i Ewangelii, ten je zachowa”.

Pozwolę sobie zacząć dzisiejszą refleksję od przywołania anegdoty.

Otóż, do proboszcza przychodzi Michałowa i skarży się na swojego męża. Proboszcz zapytuje: „Michałowo, mąż was bije?”. Kobieta odpowiada: „Proboszczu, nie”. „A może - pyta ksiądz - przepija całą emeryturę?”. Michałowa na to: „Też nie”. W końcu proboszcz, nie rozumiejąc zupełnie o co tyle szumu, stawia pytanie: „O co więc chodzi? Powiedź kobieto wprost, bo cię zupełnie nie rozumiem”. Ona na to: „Proboszczu, ja bym tak chciała, by mój Stasiu powiedział mi, choć czasami, że mnie kocha. A on mi tego w ogóle nie mówi. Możecie coś zaradzić, drogi proboszczu, w tej sprawie?”. Wezwał więc proboszcz pana Stanisława i

zaczyna: „Stanisławie, co tam u was słyhać?”. Mężczyzna na to: „Ano proboszczu po staremu, wszystko idzie w porządku”. Proboszcz na to: „A z żoną, jak się układa?”. „A jak niby ma być? Dobrze”. „Widzisz Stasiu - mówi ksiądz - była tu u mnie twoja połowica i trochę się skarżyła na ciebie”. „A niby na co? Przecież jej nie biję, emerytury nie przepijam, w domu też czasem pomagam. Nie rozumiem. Powiedźże proboszczu jaśniej, o co się rozchodzi”. „Stanisławie - wyjaśnia proboszcz - twoja żona chciałaby, abyś jej powiedział czasem, że ją kochasz”. Mężczyzna zaś ze zdziwieniem odpowiedział: „Dziwna ta moja kobieta. Przecież raz jej już kiedyś przed ślubem powiedziałem, że ją kocham. Jak się co zmieni w tej sprawie, to też jej powiem. A nic nie mówię, bo jest po staremu”.

Spójrzmy teraz na dzisiejszą Ewangelię, w której Jezus pyta swoich uczniów, za kogo Go uważają. Zauważmy najpierw, że pytanie zadane przez Jezusa uczniom nie było pytaniem egzaminacyjnym z wiedzy religijnej. Jezusowi nie zależało przecież ani na tym, aby uczniowie błysnęli znajomością jakiejś teorii na Jego temat. Ani też Pan nie chciał uczniów zawstydzić z powodu ich ignorancji religijnej, tzn. że niewystarczająco gorliwie niegdyś przyswoili sobie określone teksty biblijne. Jezus zadał uczniom pytanie o ich osobisty stosunek do Niego. Zadane przez Jezusa uczniom pytanie było - jak powiedziałby psycholog - pytaniem angażującym, gdyż zmuszało uczniów do zajęcia z pełną odpowiedzialnością stanowiska wobec Jezusa. Chodzi o to, że Pan niejako przymusił uczniów, aby odpowiedzieli, z jakiego powodu przy Nim wciąż trwają.

To samo pytanie Chrystus stawia dzisiaj też nam: Kim jestem dla ciebie? I odpowiadając na to pytanie, nie możemy się wykręcić ani tym, czego kiedyś nauczyliśmy się na lekcjach religii, ani też tym, co niegdyś o Jezusie myśleliśmy. Jezus pyta o to, kim jest dla mnie tu i teraz, czyli w tym momencie mojego życia. Pan pyta o teraz! To trochę tak, jak Michałowa w anegdocie opowiedzianej na początku, domagając się od męża deklaracji miłości, zainteresowana była „teraz” ich małżeńskiej relacji, a nie tym, co było kiedyś, dawno temu. A zatem: Kim dla mnie jest Jezus?

25 Niedziela Zwykła

Nie zadzieraj nosa!

Ewangelia (Mk 9,30-37)

Jezus i Jego uczniowie podróżowali przez Galileę, On jednak nie chciał, żeby kto wiedział o tym. Pouczał bowiem swoich uczniów i mówił im: „Syn Człowieczy będzie wydany w ręce ludzi. Ci Go zabiją, lecz zabity po trzech dniach zmartwychwstanie”. Oni jednak nie rozumieli tych słów, a bali się Go pytać.

Tak przyszedli do Kafarnaum. Gdy był w domu, zapytał ich: „O czym to rozmawialiście w drodze?” Lecz oni milczeli, w drodze bowiem posprzeczczeni się między sobą o to, kto z nich jest największy.

On usiadł, przywołał Dwunastu i rzekł do nich: „Jeśli kto chce być pierwszym, niech będzie ostatnim ze wszystkich i sługą wszystkich”.

Potem wziął dziecko; postawił je przed nimi i objąwszy je ramionami, rzekł do nich: „Kto przyjmuje jedno z tych dzieci w imię moje, Mnie przyjmuje; a kto Mnie przyjmuje, nie przyjmuje Mnie, lecz Tego, który Mnie posłał”.

W okolicy rozpowszechniała się wieść, że pewna siostra zakonna dokonuje przeogromnych cudów. Wśród ludu krążyły również plotki o jej świętości. Wszystko doszło do uszu samego papieża i ten postanowił zbadać całą sprawę. Zadanie zlecił św. Filipowi Nereuszowi. Św. Filip wybrał się zatem w długą podróż i po wielu dniach dotarł do odległego klasztoru. Po przybyciu poprosił o możliwość widzenia się z ową siostrą. Gdy tylko ona przyszła, Filip zdjął z nóg swoje umazane błotem buty, rzucił je na stół i poprosił siostrę o to, aby mu je wyczyściła. Zakonnica wyniośle fuknęła na świętego. Następnie obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. I jeszcze przez kilka minut było słychać na korytarzu jej głośne oburzenie się na bezczelność nieznanego jej przybysza. Św. Filip spokojnie założył buty i wrócił do domu, aby zdać sprawę papieżowi. Podczas spotkania z papieżem powiedział: „Niech Wasza Świątobliwość nie wierzy tym pogłoskom, gdyż są lipne. Tam, gdzie nie ma głębokiej pokory nie może być mowy ani o prawdziwych cudach, ani tym bardziej o świętości”.

Powyższa opowieść może być - jak myślę - doskonałą ilustracją do niedzielnej Ewangelii, w której słyszymy, jak Jezus upomina Apostołów, kłócących się nieco wcześniej o to, który z nich jest największy. Jezusowe wskazanie jest klarowne: „Jeśli kto chce być pierwszym, niech będzie ostatnim ze wszystkich i sługą wszystkich”. Pan uczy nas tym samym, że brama do Królestwa Niebieskiego jest niska i nie przejdą przez nią „dumne pawie”, gdyż za bardzo zadzierają nosa.

26 Niedziela Zwykła

To, co małe, ma przeogromne znaczenie

Ewangelia (Mk 9,38-43.45.47-48)

Jan powiedział do Jezusa: „Nauczycielu, widzieliśmy kogoś, kto nie chodzi z: nami, jak w Twoje imię wyrzucał złe duchy, i zabranialiśmy mu, bo nie chodził z nami”.

Lecz Jezus odrzekł: „Nie zabraniajcie mu, bo nikt, kto czyni cuda w imię moje, nie będzie mógł zaraz źle mówić o Mnie. Kto bowiem nie jest przeciwko nam, ten jest z nami.

Kto wam poda kubek wody do picia, dlatego że należycie do Chrystusa, zaprawdę powiadam wam, nie utraci swojej nagrody.

Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą, temu byłoby lepiej uwiązać kamień młyński u szyi i wrzucić go w morze.

Jeśli twoja ręka jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie ułomnym wejść do życia wiecznego, niż z dwiema rękami pójść do piekła w ogień nieugaszony. I jeśli twoja noga jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie chorym wejść do życia, niż z dwiema nogami być wrzuconym do piekła. Jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wylup je; lepiej jest dla ciebie jednookim wejść do królestwa Bożego, niż z dwójgiem oczu być wrzuconym do piekła, gdzie robak ich nie umiera i ogień nie gaśnie”.

Lubię układać puzzle. Jest to zajęcie, dzięki któremu można się nie tylko nieco oderwać od codziennych kłopotów, ale też nauczyć ogromnej cierpliwości. Ułożenie bowiem 5000 drobnutkich elementów, a czasem i większej ich ilości, w jedną całość wymaga wytrwałej pracy przez wiele długich dni. I przyznam, że czasem, zwłaszcza wówczas gdy dopasowywanie kolejnych klocków następuje ogromne trudności, pojawia się pokusa, aby zrezygnować z pracy i zabawę porzucić. Ale jeśli ta pokusa zostanie przewyciężona a układanie szczęśliwie doprowadzone do końca, wówczas okazuje się, że warto było się trudzić. Oto małe elementy, które gdyby je wziąć każdy z osobna niczym szczególnym by się nie wyróżniały, złożone w całość przedstawiają np. prześliczny górski widoczek czy też

urocze zwierzątko. Co więcej, taki ułożony z puzzli obraz można następnie oprawić i zawiesić na ścianie, aby przez kolejne dni cieszył oczy swoim pięknem.

Wyobrażenie pracy z puzzlami doskonale - jak myślę - nadaje się na zobrazowanie naszego ludzkiego losu. Czyż życia człowieka nie można porównać do układania przeogromnych puzzli? Oczywiście, że tak! Przecież zazwyczaj już od rana pochłaniają nas drobne, w znaczeniu prozaiczne, zajęcia: mycie, chwila modlitwy, przygotowanie i zjedzenie śniadania, droga do szkoły lub pracy... I dopiero z tych wszystkich drobiazgów powstaje albo życie piękne, albo też życie, które można by nazwać jakimś bohomazem.

Zauważmy, że nauka Pana, która wypływa z dzisiejszego fragmentu Ewangelii, znakomicie koresponduje z przywołanym wyżej porównaniem ludzkiego życia do układania puzzli. Jezus zwraca przecież naszą uwagę na to, że liczą się dla Niego drobiazgi, jak chociażby podanie kubka wody spragnionemu człowiekowi. Co więcej, Pan podkreśla, że już sama okazja do grzechu, którą częstokroć traktujemy jako nic nieznaczący detal, gdyż jeszcze nie jest grzechem, jest czymś, czego absolutnie powinniśmy się wystrzegać.

Każdą zatem nawet najdrobniejszą czynność, pracę, z pozoru niewiele znaczące spotkanie z drugim człowiekiem i w ogóle wszystko, co robimy, traktujmy poważnie i kształtujmy zgodnie z nauczaniem Jezusa. Albowiem tak, jak klocki puzzli, złożą się w całości w piękny obraz jedynie wtedy, gdy każdy z nich znajdzie się w odpowiednim dla siebie miejscu, tak też drobiazgi, z których składa się nasz ludzki los, ułożą się w piękne życie jedynie wówczas, gdy każdy z nich zostanie namalowany Ewangelią.

27 Niedziela Zwykła

Jesteś tyle wart, ile warte są twoje obietnice

Ewangelia (Mk 10,2-16)

Faryzeusze przystąpili do Jezusa i chcąc Go wystawić na próbę, pytali Go, czy wolno mężowi oddać żonę.

Odpowiadając zapytał ich: „Co wam nakazał Mojżesz?”

Oni rzekli: „Mojżesz pozwolił napisać list rozwodowy i oddać”.

Wówczas Jezus rzekł do nich: „Przez wzgląd na zatwardziałość serc waszych napisał wam to przykazanie. Lecz na początku stworzenia Bóg «stworzył ich jako mężczyznę i kobietę: dlatego opuści człowiek ojca swego i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem». A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozdziela”.

W domu uczniowie raz jeszcze pytali Go o to. Powiedział im: „Kto oddała żonę swoją, a bierze inną, popełnia cudzołóstwo względem niej. I jeśli żona opuści swego męża, a wyjdzie za innego, popełnia cudzołóstwo”.

Przynosili Mu również dzieci, żeby ich dotknął; lecz uczniowie szorstko zabraniali im tego. A Jezus widząc to oburzył się i rzekł do nich: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im; do takich bowiem należy królestwo Boże. Zaprawdę powiadam wam: Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego”.

I biorąc je w objęcia, kładł na nie ręce i błogosławił je.

Każdego roku 5 października obchodzimy kolejną rocznicę, kiedy to tego właśnie dnia pod Kockiem skapitulowała Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie”, zakończenia walk regularnych oddziałów Wojska Polskiego z niemieckim najeźdźcą, który 1 września 1939 r. bez wcześniejszego wypowiedzenia wojny zaatakował nasz kraj. I chociaż wspomniana rocznica zazwyczaj mija bez większego echa, to jednak myślę, że warto o niej wspomnieć, ponieważ przywołuje ona na pamięć wydarzenia, które wydają się mieć wiele wspólnego z przesłaniem wypływającym z niedzielnego fragmentu Ewangelii.

Otóż, pomiędzy 1 września a 5 października 1939 r. trwała tzw. kampania wrześniowa, podczas której polscy żołnierze ostatecznie bezskutecznie próbowali odeprzeć najazd przeważających sił wojsk niemieckich. Co więcej, 17 września 1939 r. granice II Rzeczypospolitej przekroczyły oddziały armii czerwonej, w konsekwencji przyłączając tzw. kresy wschodnie do Związku Radzieckiego. Badacze historii zasadniczo zgodnie orzekają, że w roku 1939 ani wojna obronna Polski nie musiała się skończyć dla naszego kraju katastrofą, ani też od tamtych dni nad światem nie musiała zawisnąć na kolejne długie sześć lat czarna chmura II wojny światowej, która kosztowała życie milionów ludzi, nierzadko zabitych w sposób bestialski. A wystarczyło tylko, aby ówczesni sojusznicy Polski, czyli Francja i Wielka Brytania, dotrzymały złożonych wcześniej obietnic, że w razie hitlerowskiego ataku nie pozostawią naszego kraju w osamotnieniu. Owszem, 3 września 1939 r. Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę, ale przez całą kampanię wrześniową była to „dziwna wojna”, gdyż była udawana, tzn. nie zostały przez aliantów podjęte wówczas żadne istotniejsze akcje militarne, a tylko w tym czasie one mogły uratować istnienie II Rzeczypospolitej. Złożone więc jeszcze Polsce przed wybuchem II wojny światowej przez sprzymierzeńców gwarancje pomocy okazały się być warte co najwyżej tyle, ile papier, na którym zostały napisane, czyli w sumie NIC...

Spójrzmy teraz na niedzielną Ewangelię. Najodpowiedniejszym słowem, które wyraża jej treść, wydaje się być „przymierze”. Jezus objaśnia bowiem tajemnicę małżeństwa, mając na uwadze fakt, że Bóg nie cofa raz danego człowiekowi słowa, nawet wtedy, gdy ten ostatni okazuje się być wiarołomny. Istotnym elementem Chrystusowej nauki o małżeństwie jest więc m.in. wezwanie do wypełnienia złożonych sobie nawzajem przez małżonków obietnic, zwłaszcza obietnicy wierności. Zauważmy też, że Pan uchylanie się od dotrzymania złożonych podczas zawierania małżeństwa obietnic bez ogródek nazywa „zatwardziałością serca”.

Sumując, można powiedzieć tak: Z przywołanych wyżej bolesnych doświadczeń naszego kraju i z niedzielnej perykopy ewangelicznej wypływa jednaka nauka: Człowieku, jesteś tyle wart, ile warte są złożone przez ciebie obietnice!

28 Niedziela Zwykła

Nawet w przeciwnościach trwaj wiernie przy Jezusie

Ewangelia (Mk 10, 17-30)

Gdy Jezus wybierał się w drogę, przybiegł pewien człowiek i upadłszy przed Nim na kolana, pytał Go: „Nauczycielu dobry, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?”

Jezus mu rzekł: „Czemu nazywasz Mnie dobrym? Nikt nie jest dobry, tylko sam Bóg. Znasz przykazania: «Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie zeznawaj fałszywie, nie oszukuj, czcij swego ojca i matkę»”.

On Mu rzekł: „Nauczycielu, wszystkiego tego przestrzegałem od mojej młodości”.

Wtedy Jezus spojrział z miłością na niego i rzekł mu: „Jednego ci brakuje. Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną”. Lecz on spochmurniał na te słowa i odszedł zasmucony, miał bowiem wiele posiadłości.

Wówczas Jezus spojrział wokół i rzekł do swoich uczniów: „Jak trudno jest bogatym wejść do królestwa Bożego”. Uczniowie zdumieni się na Jego słowa, lecz Jezus powtórnie rzekł im: „Dzieci, jakże trudno wejść do królestwa Bożego tym, którzy w dostatkach pokładają ufność. Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do królestwa Bożego”.

A oni tym bardziej się dziwili i mówili między sobą: „Któż więc może się zbawić?”

Jezus spojrział na nich i rzekł: „U ludzi to niemożliwe, ale nie u Boga; bo u Boga wszystko jest możliwe”.

Wtedy Piotr zaczął mówić do Niego: „Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą”.

Jezus odpowiedział: „Zaprawdę powiadam wam: Nikt nie opuszcza domu, braci, sióstr, matki, ojca, dzieci i pól z powodu Mnie i z powodu Ewangelii, żeby nie otrzymał stokroć więcej teraz, w tym czasie, domów, braci, sióstr, matek, dzieci i pól wśród prześladowań, a życia wiecznego w czasie przyszłym”.

Władysław Tatarkiewicz, XX-wieczny polski filozof, w rozważaniach na temat szczęścia wspomina m.in. dwie, choć odległe od siebie w czasie o blisko dwa tysiąclecia, to jednak pod względem życiowej postawy bardzo do siebie podobne, wybitne postacie historyczne: rzymskiego mówcę, polityka i pisarza Katona Starszego (234 przed Chr. - 149 przed Chr.) oraz cesarza Francuzów Napoleona Bonaparte (1769-1821). Tatarkiewicz zauważa, że pierwszy ponoć w każdych warunkach, w jakich się znalazł, czuł się szczęśliwy. Podobną postawę prezentował Bonaparte, gdyż na Elbie, tzn. wyspie, na którą został zesłany po abdykacji w 1814 r., nad wejściem do domu, w którym tam mieszkał, kazał wykuć napis: „Napoleo ubicumque felix”, czyli „Napoleon jest wszędzie szczęśliwy”.

Władysław Tatarkiewicz, przywołując jako swego rodzaju kontrast losy Katona i Napoleona, z przekąsem reflektuje, że istnieją też ludzie, których niejako własne usposobienie czy nastawienie życiowe zawsze czyni nieszczęśliwymi. Chodzi o to, że cokolwiek by tego rodzaju ludzi w życiu nie spotkało, choćby było najpomyślniejsze, to zawsze rozbija się o ich malkontenctwo, tzn. postawę, która stale wzmaga ich niezadowolenie z własnego życia i z samych siebie. Tego rodzaju ludzie są – zdaniem Tatarkiewicza – zawsze nieszczęśliwi, marudni i pogrążeni w poczuciu nicości. I gdyby polski filozof miał możliwość zapoznania się ze słynną dziecięcą kreskówką o smerfach, tzn. takich niebieskich ludzikach z białymi czapczkami na głowie, to – jak myślę – mógłby za doskonały przykład tego rodzaju ludzi uznać nie kogo innego, jak smerfa o imieniu Maruda. Bez względu bowiem na to, co smerfa Marudę spotyka, niemal zawsze mówi on o tym, że tego nie cierpi.

Zauważmy, że coś z nastawienia smerfa Marudy, tzn. jakiś ślad narzekania na swój los, możemy dostrzec w postawie, którą w dzisiejszym fragmencie Ewangelii przyjął Piotr Apostoł. W niedzielnej perykopie ewangelicznej słyszymy, że Piotr zaczął się martwić o to, czy aby warto dalej przy Jezusie trwać, skoro sprawy z możliwością osiągnięcia nieba mają się tak, jak Pan powiedział. Dość szybko – jak możemy się między wierszami tego doszukać – Piotr sobie skalkulował, że przecież opuścił wszystko, podążając za Jezusem, a tymczasem usłyszał sugestię, iż osiągnięcie zbawienia na tej drodze wciąż jest niepewne. I być może nawet, po dokonaniu tej kalkulacji, Piotr w sercu nieco pożałował poczynionych „inwestycji” w budowanie więzi z Jezusem.

I zobaczmy teraz, w jaki sposób na te narzekania Piotra zareagował Jezus? Pan stanowczo Piotra i pozostałych Apostołów pouczył, że wierność Jemu i Jego Ewangelii jest najpewniejszą z możliwych gwarancji osiągnięcia zbawienia. Co więcej, Jezus zwrócił słuchaczom też uwagę na to, że wierne trwanie przy Nim i przy Jego Ewangelii może, a w zasadzie należy to wręcz traktować jako pewnik, ściągnąć na nich prześladowanie. Ale – co nie może nam jednocześnie umknąć – Jezus od razu wskazał, że dla osiągnięcia celu ostatecznego, jakim jest niebo, warto na ziemi zapłacić każdą, nawet najwyższą z możliwych, cenę.

A jeśli czasem zdarza się i nam, że w obliczu jakichś przeciwności powątpiewamy w to, czy warto dalej wiernie trwać przy Ukrzyżowanym Panu, to niech umocnieniem będzie dla nas chociażby napis, jaki widnieje na jednym z obelisków na cmentarzu polskich żołnierzy, który znajduje się u podnóża klasztoru na Monte Cassino, założonego przez św. Benedykta. Pamiętamy, że brawurowy atak na to wzgórze w maju 1944 r. z udziałem żołnierzy 2. Korpusu Polskiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa otworzył wojskom alianckim drogę do Rzymu i umożliwił im ostateczne zwycięstwo w Italii w walkach ze sprzymierzonymi wojskami niemieckimi oraz włoskimi. Wspomniany zaś cmentarny napis głosi: „Oddali Bogu – duszę, Italii – ciało, Polsce – serce”. Oby i o nas kiedyś, bez względu na to, gdzie spoczną nasze doczesne członki, mógł ktoś zgodnie z prawdą na naszym nagrobku napisać, że nasza dusza jest teraz u Boga.

29 Niedziela Zwykła

Nasza przyszłość jest „otwarta”

Ewangelia (Mk 10,35-45)

Jakub i Jan, synowie Zebedeusza, zbliżyli się do Jezusa i rzekli: „Nauczycielu, chcemy, żebyś nam uczynił to, o co Cię poprosimy”.

On ich zapytał: „Co chcecie, żebym wam uczynił?” Rzekli Mu: „Użycz nam, żebyśmy w Twojej chwale siedzieli jeden po prawej, drugi po lewej Twej stronie”.

Jezus im odparł: „Nie wiecie, o co prosicie. Czy możecie pić kielich, który Ja mam pić, albo przyjąć chrzest, którym Ja mam być ochrzczony?”

Odpowiedzieli Mu: „Możemy”.

Lecz Jezus rzekł do nich: „Kielich, który Ja mam pić, pić będziecie; i chrzest, który Ja mam przyjąć, wy również przyjmiecie. Nie do Mnie jednak należy dać miejsce po mojej stronie prawej lub lewej, ale dostanie się ono tym, dla których zostało przygotowane”.

Gdy dziesięciu to usłyszało, poczęli oburzać się na Jakuba i Jana. A Jezus przywołał ich do siebie i rzekł do nich:

„Wiecie, że ci, którzy uchodzą za władców narodów, uciskają je, a ich wielcy dają im odczuć swą władzę. Nie tak będzie między wami. Lecz kto by między wami chciał się stać wielki, niech będzie sługą waszym. A kto by chciał być pierwszym między wami, niech będzie niewolnikiem wszystkich. Bo i Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Mu służono, lecz żeby służyć i dać swoje życie na okup za wielu”.

Dawno temu usłyszałem powiedzonko – niestety nie potrafię już sobie przypomnieć ani jego autora, ani też okoliczności, gdy to się stało – które doskonale nadaje się do tego, aby od niego właśnie rozpocząć refleksję nad dzisiejszym fragmentem Ewangelii. Aforyzm ten brzmi mniej więcej tak: „Kiedy będziesz tworzył listę kolejnych swoich prośb do Boga, uważaj, bo w przyszłości przez spełnienie niektórych z nich bardzo cię On zaskoczy”. I myślę, że dwaj synowie Zebedeusza Jakub i Jan, gdybyśmy ich dzisiaj mogli o to zapytać, to przyznaliby, iż przytoczone słowa zawierają prawdę, której na swojej skórze doświadczyli. Dlaczego?

Zauważmy na początek, że Jakub i Jan zapragnęli, aby Jezus uczynił zadość ich prośbie, sadzając w swoim przyszłym królestwie jednego z nich po swej prawej, a drugiego po lewej swej stronie. Pan zaś, słysząc tak sformułowaną i zgodną prośbę obu synów Zebedeusza, zdaje się, że najpierw nieco ostudził ich oczekiwania, a potem nieco je zmodyfikował, wskazując, iż jeśli chcą odegrać w Jego przyszłym królestwie zauważalną rolę, to muszą być gotowi podążyć tą samą drogą, którą On przejdzie. I chociaż Jezus zaznaczył też, że nie do Niego należy decyzja, gdyż jest ona zarezerwowana Bogu Ojcu, odnośnie do tego, kto zasiądzie po prawej i lewej stronie Jego tronu, to jednak w pewnym sensie Jezus tak pokierował – jest przecież Synem Bożym – losami Jakuba i Jana, iż koniec końców ich prośba została spełniona.

Obaj przecież Apostołowie, prosząc dla siebie o miejsce po prawej i lewej stronie Jezusa w Jego królestwie, poprosili Go tym samym o to, by uznał On ich za „wyjątkowych” w gronie swych uczniów. I, mając na uwadze losy członków kolegium apostołskiego, można powiedzieć, że Jakub i Jan zajęli w nim „wyjątkowe” pozycje. Jeśli uwzględnimy bowiem kolejność i sposób, w jakich przechodzili z doczesności do wieczności poszczególni Apostołowie, to w kontekście dzisiejszej perykopy ewangelicznej wielce wymowny jest fakt, że spośród Apostołów Jakub umarł jako pierwszy, zaś Jan umarł jako ostatni. W jakimś sensie można przez to powiedzieć, że obaj synowie Zebedeusza w królestwie Jezusa zajmują wyróżnione miejsce, ponieważ jeden (Jakub) otwiera, a drugi (Jan) zamyka listę Apostołów, gdyby chcieć ją ułożyć zgodnie z kolejnością ich śmierci. Ponadto, „wyjątkowość” obydwu polega też chociażby i na tym, że Jakub jako pierwszy wśród Apostołów, w męczeńskiej śmierci oddając życie, jednoznacznie i nieodwołanie zaświadczył o swej przynależności do Jezusa. Natomiast Jan, będąc umiłowanym uczniem Pana, nie tylko jako jedyny Apostoł nie zmarł śmiercią męczeńską, ale także jako jedyny spośród Dwunastu usłyszał wprost z ust umierającego Jezusa Jego testament z Krzyża.

Aby w kontekście powyższych uwag odnieść przesłanie niedzielnego fragmentu Ewangelii do naszego życia, pozwolę sobie jeszcze przytoczyć wypowiedź jednego z polskich polityków. Otóż, w jednym z wywiadów Władysław Bartoszewski powiedział: „Nie lubię o nic prosić. Nigdy nie prosiłem. Uważam się za dziecko przeznaczenia” (Michał Komar, Władysław Bartoszewski, *Skąd pan jest? Wywiad rzeka*, Warszawa 2006, s. 267). Gdyby wziąć te słowa same w sobie, tzn. wyrwać je z kontekstu, w jakim zostały wypowiedziane, to

trzeba by powiedzieć, że kryje się za nimi postawa głęboko nieewangeliczna. Albowiem człowiek, który przyjmuje orędzie Jezusa, nie może ani swoich dotychczasowych kolei życia, ani też teraźniejszości i przyszłości postrzegać jako wypadkowej nieuchronnego przeznaczenia czy nieodwracalnego losu. A przytoczone wyżej słowa – jak myślę – wyrażają przekonanie, że nie ma sensu o cokolwiek i kogokolwiek prosić, ponieważ spełnienie naszego losu jest z góry raz na zawsze i nieodwracalnie określone.

Tymczasem dzisiejsza Ewangelia, wzięta w kontekście doświadczeń Apostołów Jakuba i Jana, poucza, że nasza przyszłość jest „otwarta”, tzn. wciąż niedookreślona w tym znaczeniu, iż mamy na nią wpływ my sami, a zwłaszcza może ją kształtować też Bóg. Stąd tak ważne jest, abyśmy do Pana kierowali nasze prośby odnośnie do naszych dalszych losów. Jednocześnie nigdy nie osądzajmy zbyt szybko, że nasze prośby nie zostały wysłuchane. Bóg zawsze naszej błagalnej modlitwie się przysłuchuje, choć nie zawsze reaguje w taki sposób, jakbyśmy tego sobie w danym momencie życzyli.

30 Niedziela Zwykła

Wiara musi przenikać całe życie człowieka

Ewangelia (Mk 10, 46-52)

Gdy Jezus razem z uczniami i sporym tłumem wychodził z Jerycha, niewidomy żebrak Bartymeusz, syn Tymeusza, siedział przy drodze. Ten słysząc, że to jest Jezus z Nazaretu, zaczął wołać: „Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną”. Wielu nastawało na niego, żeby umilkł. Lecz on jeszcze głośniej wołał: „Synu Dawida, ulituj się nade mną”.

Jezus przystanął i rzekł: „Zawołajcie go”. I przywołali niewidomego, mówiąc mu: „Bądź dobrej myśli, wstań, woła cię”. On zrzucił z siebie płaszcz, zerwał się i przyszedł do Jezusa. A Jezus przemówił do niego: „Co chcesz, abym ci uczynił?”

Powiedział Mu niewidomy: „Rabbuni, żebym przejrzał”.

Jezus mu rzekł: „Idź, twoja wiara cię uzdrowiła”. Natychmiast przejrzał i szedł za Nim drogą.

W 2018 r. w październikowym numerze miesięcznika „W drodze” w jednym z artykułów można znaleźć tyleż zabawną, co i wprawiającą w konsternację historię. Opowiada ją o. Janusz Pyda OP.

I tak, dominikanin wspomina, jak przyszła do niego wiele lat temu świeżo upieczona studentka, aby się poradzić w jakiejś ważnej dla siebie sprawie. Okazało się, że dziewczyna przyjechała do Krakowa z niewielkiej miejscowości na prowincji. Młoda kobieta wyjaśniła, że, odkąd zaczęła studiować w Krakowie, przeżywa wątpliwości odnośnie do dalszego zachowywania zewnętrznych praktyk religijnych. Wcześniej, w rodzinnym mieście, owszem zawsze ich przestrzegała i dalej będzie przestrzegać, ale tu w Krakowie ma z tym ogromny problem. Studentka tłumaczyła, że zawsze, gdy tylko przechodziła obok kościoła, czyniła znak krzyża. W domu to kłopot nie był żaden, bo w rodzinnej miejscowości kościół był tylko jeden. Ale tu w Krakowie sprawy – jak młoda kobieta wyznała – jej się skomplikowały i to wcale nie z powodu wstydu wiary, ale z tego względu, że w samym centrum Krakowa, gdzie często się porusza, jest tyle kościołów, że gdyby chciała, przechodząc obok każdego z nich, robić ręką znak krzyża, to musiałaby *non stop* się żegnać. Okazało się ponadto, że

podobnie sprawy się miały z mijaniem przez studentkę osób duchownych. Dziewczyna, gdy przebywała w rodzinnych stronach, to praktykowała zwyczaj pozdrawiania osób poświęconych Bogu. Ale tam nie było to jakiś większym wyzwaniem, bo księdza czy siostrę zakonną spotykała niezwykle rzadko. Natomiast tu w Krakowie ten zwyczaj okazywał się być nieco kłopotliwy, ponieważ studentka osoby duchowne spotykała co rusz. Musiałaby więc niemalże przez cały czas mówić „Szczęść Boże”.

O. Pyda wspomina, że te wątpliwości młodej kobiety niezwykle go wzruszyły, ponieważ widział w niej niemalże uosobienie niewinności o sumieniu tak szlachetnym, iż była ona w stanie w ogóle dostrzegać tego typu dylematy. Dominikanin zauważa następnie, że podjął próbę wyjaśnienia dziewczynie, iż w tego typu przypadkach należy postępować roztropnie, tzn. nie musi nieustannie kreślić znaku krzyża, gdy co parę chwil przechodzi obok kościoła czy też każdorazowo pozdrawiać mijane co parę minut nieznajome osoby duchowne. I kiedy wydawało się, że studentka zaczęła już postrzegać swoje wątpliwości w nowym świetle, nagle nerwowo spojrzała na zegarek i stwierdziła, że już musi lecieć, ponieważ za kilkanaście minut ma ważne kolokwium. Dominikanin zapytał ją wówczas, czy umie. I wtedy dziewczyna, bez najmniejszego nawet zażenowania, odpowiedziała: „Nie, ale na tym kolokwium bez problemu będzie można ściągnąć”.

Odnosząc się do opowiedzianej przez o. Pydę historii, można ocenić postępowanie owej dziewczyny jako swego rodzaju religijną schizofrenię, czyli rozszczepienie ducha (serca, sumienia). Z jednej strony bowiem, dla wspomnianej studentki antyświadectwem było nieuczynienie znaku krzyża przed świątynią i niepozdrowienie mijanej osoby duchownej. A z drugiej strony, zrzynania na kolokwium bez najmniejszych nawet skrpułów już nie oceniała jako zaparcia się Jezusa. Opowiedziana przez dominikanina historia jawi się więc jako modelowy przykład precedzania komara przy jednoczesnym połykaniu wielbłąda.

Spójrzmy teraz na dzisiejszy fragment Ewangelii. Istotnym elementem opowiedzianego przez św. Marka wydarzenia jest wiara niewidomego. Jezus wyraźnie przecież zaznacza, że gdyby jej ślepemu człowiekowi brakło, to nie zostałby uzdrowiony ze swej niemocy.

Niedzielna Ewangelia skłania nas zatem przede wszystkim do tego, abyśmy przyglądnięli się jakości naszej wiary. Natomiast przywołane przez o. Pydę wspomnienie

podpowiada, na co należałoby zwrócić tutaj szczególną uwagę. I myślę, że – nawiązując chociażby do homilii św. Jana Pawła II, wygłoszonej z okazji rozpoczęcia nowego roku akademickiego 1999/2000 do profesorów, wykładowców i studentów rzymskich uczelni – trzeba nam zadawać sobie stale tego typu pytania, jak: Czy wiara przenika całe nasze życie? A może tylko w niektórych obszarach naszego życia kierujemy się nauczaniem Jezusa, podczas gdy w innych przyświecają nam obce Ewangelii zasady?

31 Niedziela Zwykła

Nie kuśtykaj, ale biegnij do nieba na obu nogach

Ewangelia (Mk 12,28b-34)

Jeden z uczonych w Piśmie zbliżył się do Jezusa i zapytał Go: „Które jest pierwsze ze wszystkich przykazań?”

Jezus odpowiedział: „Pierwsze jest: «Słuchaj, Izraelu, Pan, Bóg nasz, Pan jest jedyny. Będziesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą». Drugie jest to: «Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego». Nie ma innego przykazania większego od tych”.

Rzekł Mu uczyony w Piśmie: „Bardzo dobrze, Nauczycielu, słusznieś powiedział, bo Jeden jest i nie ma innego prócz Niego. Miłować Go całym sercem, całym umysłem i całą mocą i miłować bliźniego jak siebie samego daleko więcej znaczy niż wszystkie całopalenia i ofiary”.

Jezus widząc, że rozumnie odpowiedział, rzekł do niego: „Niedaleko jesteś od królestwa Bożego”. I już nikt więcej nie odważył się Go pytać.

Kiedyś, reprezentując Wydział Teologii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, brałem udział w inauguracji roku akademickiego na Wydziale Humanistycznym tegoż uniwersytetu. Zanim powiem coś więcej na ten temat, to jeszcze tylko wyjaśnię, że podczas każdej tego typu inauguracji na poszczególnych uczelniach odbywa się m.in. uroczysta immatrykulacja, czyli akt przyjęcia kandydatów w poczet studentów danej uczelni. Kandydaci na studentów w trakcie immatrykulacji składają uroczyste ślubowanie, które w przypadku UWM w Olsztynie brzmiało wówczas następująco: „Wstępując do społeczności akademickiej, ślubuję: zdobywać wiedzę, dbać o dobre imię uczelni, być wiernym ideałom humanizmu, zdobytą wiedzą służyć mojej Ojczyźnie”. Ślubowanie zaś kandydatów na doktorantów brzmiało wtedy bardzo podobnie, różnice były jedynie takie, że kandydaci, rozpoczynając studia doktoranckie, zobowiązywali się do rzetelnego wypełniania obowiązków doktoranta, a nie tak jak studenci zdobywania wiedzy. Prowadzący immatrykulację zarówno w przypadku ślubowania kandydatów na studentów, jak i

ślubowania kandydatów na doktorantów dodawali zazwyczaj jeszcze na koniec, że ci, którzy chcą, mogą swoje zobowiązania zakończyć słowami: „Tak mi dopomóż Bóg”.

I wracając teraz to wspomnianej na początku inauguracji nowego roku akademickiego na Wydziale Humanistycznym, chcę tu przywołać to, co wydarzyło się tam w trakcie immatrykulacji, gdyż fakt ten nadaje się – jak mniemam – jako znakomity kontrast do przesłania niedzielnej perykopy ewangelicznej.

Otóż, w trakcie immatrykulacji póki co jeszcze kandydaci na doktorantów składali stosowne ślubowanie. Wprawdzie nie było ich obecnych zbyt wielu, tylko trzy osoby, to jednak, aby wszyscy zgromadzeni mogli usłyszeć, co jest ślubowane, kandydaci dość głośno za prowadzącym powtarzali kolejne frazy ślubowania, a szczególnie wyakcentowali swoje zobowiązanie się do zachowania wierności ideałom humanizmu. Natomiast, gdy prowadzący uroczystość na koniec dodał, że ślubowanie, jeśli ktoś spośród kandydatów chce, może zakończyć sformułowaniem „Tak mi dopomóż Bóg”, cała trójka „nabrała wody w usta” i przez parę chwil na auli zapadła grobowa cisza...

I chociaż owszem kandydaci, a po chwili potem już doktoranci na Wydziale Humanistycznym UWM w Olsztynie, mieli prawo (w znaczeniu, że wolno im było tak zrobić i nie poniosą za swój wybór, przynajmniej w doczesności, żadnych konsekwencji), to na pewno przywołana sytuacja skłania do postawienia chociażby takich pytań: Czy da się oddzielić prawdziwy humanizm – rozumiem go jako troskę o godność, szczęście i swobodny rozwój każdego człowieka – od ukierunkowania ludzkiego życia na Boga? Czy można prawdziwie kochać człowieka i jednocześnie odrzucać Stwórcę? Czy zgodnie z prawdą można mówić, że kocha się Boga, jeśli człowieka się poniża?

Mierząc się z tego typu pytaniami, co powyższe, w świetle dzisiejszej Ewangelii, nie trzeba nawet przeprowadzać jakiejś wnikliwej egzegezy (analizy) tekstu. Jezus wyklada bowiem „kawę na ławę” i jasno komunikuje, że kochać Boga i kochać człowieka to dwie strony dokładnie tej samej monety. Nieprzypadkowo więc np. św. Jan Paweł II pyta w sumie retorycznie: „Jak można kochać Boga, który jest niewidzialny, nie kochając człowieka, który jest obok nas?”. A jeszcze bardziej obrazowo naukę Jezusa objaśnia św. Augustyn, mówiąc, że „miłość ma dwie nogi, wyrastają one z miłości Boga i miłości do ludzi. Nie kuśtykaj, ale biegnij na nich obu do nieba”.

32 Niedziela Zwykła

Przykład ewangelicznego radykalizmu

Ewangelia (Mk 12,38-44)

Jezus nauczając mówił do zgromadzonych:

„Strzeżcie się uczonych w Piśmie. Z upodobaniem chodzą oni w powłóczystych szatach, lubią pozdrowienia na rynku, pierwsze krzesła w synagogach i zaszczytne miejsca na ucztach. Objadają domy wdów i dla pozoru odprawiają długie modlitwy. Ci tym surowszy dostaną wyrok”.

Potem usiadł naprzeciw skarboxy i przypatrywał się, jak tłum wrzucał drobne pieniądze do skarboxy. Wielu bogatych wrzucało wiele. Przyszła też jedna uboga wdowa i wrzuciła dwa pieniążki, czyli jeden grosz.

Wtedy przywołał swoich uczniów i rzekł do nich: „Zaprawdę powiadam wam: Ta uboga wdowa wrzuciła najwięcej ze wszystkich, którzy kładli do skarboxy. Wszyscy bowiem wrzucali z tego, co im zbywało; ona zaś ze swego niedostatku wrzuciła wszystko, co miała, całe swe utrzymanie”.

Gdy słucham dzisiejszego fragmentu Ewangelii, zawsze mnie dogłębnie dotyka fakt, że św. Marek zwrócił uwagę na to, iż grosz (w innych tłumaczeniach: kwadrans) został wrzucony przez ubogą wdowę w dwóch monetach, a biorąc tekst dosłownie należałoby powiedzieć: w dwóch leptonach, czyli w drobniutkich (malutkich, cieniutkich, leciutkich) miedzianych pieniążkach, które były w tamtym czasie najmniejszymi środkami płatniczymi, jakich w Palestynie używano. Przecież - jak mogłoby się wydawać - Ewangelista mógł zwyczajnie napisać, że uboga wdowa wrzuciła po prostu jeden grosz (kwadrans), komentując to np. dodatkowo jeszcze słowami, iż była to równowartość 1/64 denara.

I po kolei niżej teraz objaśnię, dlaczego mnie dzisiejsza ewangeliczna historia tak głęboko dotyka.

Najpierw trzeba sobie uświadomić, jak dużo, a raczej niewiele, uboga wdowa wrzuciła do skarboxy. W tym celu zauważmy, że 1 denar był w tamtych czasach równowartością dziennej pracy robotnika. W dzisiejszych, naszych polskich realiach, można by powiedzieć,

że 1 denar mniej więcej jest równowartością 150 PLN, jeśli się weźmie się pod uwagę, ile na rękę dostaje obecnie niezbyt wykwalifikowany pracownik za jeden dzień pracy. A gdy podzielimy 150 PLN przez 64, by oszacować sumę ofiarowaną przez ewangeliczną wdowę, to wyjdzie nam, że wrzuciła ona do skarbony tylko nieco więcej niż 2 PLN. I uczyniła to w dwóch monetach, czyli - tak w przybliżeniu - wrzuciła dwie monety jednozłotowe.

I chociaż kwota wrzucona przez ubogą wdowę była zarówno w tamtych czasach, jak i po przeliczeniu jej na złotówki, niewielka, to jednak niebagatelne znaczenie wdaje się mieć to, że św. Marek podkreślił, iż kobieta wrzuciła swą ofiarę w dwóch pieniążkach. Ale z jakiego powodu Ewangelista tę właśnie okoliczność uwypuklił?

Otóż, wdowa, chociaż była bardzo biedna, to jednak mogła mieć pokusę, aby jedną z tych dwóch niewielkich monet pozostawić sobie jako pewne zabezpieczenie. Owszem, w dłuższej, tzn. przynajmniej kilkudniowej perspektywie czasu to pozostawione zabezpieczenie jawi się jako żadne, ale od biedy jeden dzień za ten jeden pieniążek można byłoby się przeżyć i przez ten czas coś wykombinować na kolejne dni. Obrazowo, za jedną złotówkę można przecież dzisiaj kupić kilka ziemniaków i przynajmniej nieco się nimi posilić, poszukując na kolejne dni jakichś rozwiązań. Innymi słowy, biedna kobieta mogła do skarbony ofiarować jeden pieniążek, ale wrzuciła obydwą, czyli dosłownie: „całe swoje utrzymanie”.

Jaka z dzisiejszej ewangelicznej historii wypływa dla nas nauka? Myślę, że znakomicie ją oddają słowa św. Teresy od Dzieciątka Jezus: „Trzeba dawać i dawać, ktokolwiek prosi. Tego chce Ewangelia. Nie wystarczy ustępować, ale trzeba ustępować grzecznie, nie dyskutując, nie protestując”. Tak! Opowieść o ubogiej wdowie jest pouczającym przykładem ewangelicznego radykalizmu. A inne przykłady mogłyby być tu chociażby jeszcze takie: Jeśli Jezus chce, abyśmy przebacjali naszym winowajcom, to przebaczejmy bez jakichkolwiek warunków wstępnych, domagając się najpierw np. od winowajcy przeprosin. Dalej, jeśli Pan pragnie, abyśmy dzień święty święcili, to nie usprawiedliwiajmy np. chodzenia w niedzielę na zakupy jakąś wyższą potrzebą. A kolejne przykłady nakreślmy sobie sami, gdyż my najlepiej wiemy, w czym nasze życie odstaje od tego, o co prosi Jezus.

33 Niedziela Zwykła

Dzień sądu z miłości do Boga i ludzi

Ewangelia (Mk 13,24-32)

Jezus powiedział do swoich uczniów:

„W owe dni, po wielkim ucisku słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku. Gwiazdy będą padać z nieba i moce na niebie zostaną wstrząśnięte.

Wówczas ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego w obłokach z wielką mocą i chwałą. Wtedy pośle On aniołów i zbierze swoich wybranych z czterech stron świata, od krańca ziemi aż do szczytu nieba.

A od drzewa figowego uczcie się przez podobieństwo. Kiedy już jego gałąź nabiera soków i wypuszcza liście, poznajecie, że blisko jest lato. Tak i wy, gdy ujrzycie, że to się dzieje, wiedzcie, że blisko jest, we drzwiach.

Zaprawdę powiadam wam: Nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko stanie. Niebo i ziemia przeminą, ale moje słowa nie przeminą. Lecz o dniu owym lub godzinie nikt nie wie, ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec”.

Doskonałym kandydatem na tzw. słowo klucz, czyli określenie zwięzłe oddające treść danego tekstu, do dzisiejszego fragmentu Ewangelii wydaje się być wyrażenie „sądny dzień”. Jezus zapowiada przecież wydarzenia, jakie rozegrają się na końcu czasów, kiedy to zaćmi się słońce, swego blasku nie da księżyc, gwiazdy zaczną spadać z nieba, a moce nieba zostaną wstrząśnięte. A skojarzenie „sądnego dnia” z treścią niedzielnej perykopy ewangelicznej podsuwają chociażby autorzy *Słownika języka polskiego PWN*, gdyż „sądny dzień” w pierwszej kolejności wiąże z dniem, w którym według chrześcijańskich wierzeń ma nastąpić koniec świata (Sąd Ostateczny). Ponadto dodają, że „sądny dzień” odnosi się do jakiegoś wielkiego zamieszania, czyli i przy takim rozumieniu określenie to oddaje znakomicie treść niedzielnej Ewangelii, gdyż zapowiedziane przez Jezusa zjawiska bez wątpienia zdeorganizują panujący do tego czasu w przyrodzie ład i funkcjonowanie żyjących wówczas na świecie ludzi. Ale w *Słowniku języka polskiego PWN* odnajdujemy jeszcze jedno, trzecie znaczenie określenia „sądny dzień” i właśnie na nie chcę zwrócić uwagę, ponieważ w jego

świecie odsłania się wielowarstwowość znaczenia zapowiedzianych przez Jezusa wydarzeń związanych z końcem świata.

Otóż, „sądny dzień” w *Słowniku języka polskiego PWN* wiązany jest także z *Jom Kippur*, co tłumaczy się na język polski właśnie jako *Sądny Dzień* lub *Dzień Przełbania*. Pewnie samo określenie *Jom Kippur* obilo się nam już o uszy i wiemy, że odnosi się ono do jednego ze świąt żydowskich. Ale cóż to jest dokładniej za święto?

Jom Kippur – po pierwsze – od V w. przed Chr. jest najświętszym, w znaczeniu najbardziej uroczystym, świętem judaizmu. Po drugie, święto to jest obchodzone jesienią (wrzesień-październik) i przypada 10. dnia hebrajskiego miesiąca Tiszri, czyli pierwszego miesiąca roku w cywilnym kalendarzu żydowskim (dla wyjaśnienia dodam, że w żydowskim kalendarzu religijnym jest to miesiąc siódmy). Po trzecie, *Sądny Dzień* jest ostatnim spośród Dziesięciu Dni Pokuty, czyli okresu, w którym każdy Żyd prosi innych ludzi o wybaczenie popełnionych wobec nich win. Po czwarte, w sam *Sądny Dzień* Żydzi pokutują już tylko za winy zaciągnięte bezpośrednio przed Bogiem. Po piąte, według wierzeń żydowskich w *Sądny Dzień* dokonuje się nad każdym człowiekiem Boży sąd i jest wydawany na każdego człowieka wyrok, który będzie obowiązywał przez cały rozpoczynający się właśnie nowy (cywilny) rok. Po szóste, w *Sądny Dzień* w Izraelu na ulicach, po których w inne dni nieustannie i w pośpiechu poruszają się motocykle, samochody, autobusy czy ciężarówki, można zobaczyć dzieci, które bawią się tam bez lęku, jeżdżąc np. na rowerach, wrotkach i deskorolkach. I po siódme – co jest już swego rodzaju ciekawostką – *Jom Kipur* jest jedynym świętem, do którego żyjący w diasporze Żydzi nie dodają drugiego dnia.

Podane wyżej dokładniejsze informacje o święcie *Jom Kipur* podsuwają mi kilka skojarzeń, które obrazują znaczenie zapowiadanych przez Jezusa w dzisiejszej Ewangelii wydarzeń, jakie mają się rozegrać na końcu czasów.

I tak, najpierw można dostrzec, że koniec świata będzie jednorazowym, tzn. nigdy się już nie powtórzy, i najbardziej uroczystym wydarzeniem w dziejach w tym znaczeniu, iż ostatecznie zakończy historię rozumianą jako czas, w którym dobro nieustannie miesza się ze złem. Dalej, wydarzenia zapowiedziane przez Jezusa, gdy już zacząć się zaczną, będą się wiązać z ostatecznym zakończeniem istnienia tego świata, który dobrze jest nam znany i jednocześnie początek świata zupełnie nowego, przemienionego, w którym nie będzie już

żadnych trosk, zmartwień itd. Następnie, Jezusa zapowiedź nadejścia „sądnego dnia” jest jednocześnie wezwaniem do tego, abyśmy zawsze prosili innych ludzi o przebaczenie nam win wobec nich zaciągniętych, a także sami wielkodusznie przebaczyli naszym winowajcom. Ponadto, Jezus zapowiada, że do Królestwa Bożego nie wejdzie nic, co nie zostało oczyszczone i przez Boga uznane za święte. Wreszcie, w kwestii losu wiecznego poszczególnych ludzi ostateczny głos należeć będzie do Miłosiernego i Sprawiedliwego Boga, tzn. od Jego wyroku nie można będzie nigdzie złożyć odwołania.

A na koniec myślę, że warto, abyśmy sobie jeszcze uzmysłowili, iż z naszej osobistej perspektywy końcem świata, czyli naszym „sądnym dniem” – o ile nie doczekamy paruzji, czyli powrotu Jezusa na ziemię – będzie moment naszej śmierci. Wtedy bowiem skończy się nasz świat, dokona się nad nami sąd Boży i usłyszymy, co z nami będzie w wieczności. Ale w perspektywie naszego wiecznego losu nie ma żadnego znaczenia czy tak, czy tak się stanie, gdyż w obydwu przypadkach – jak naucza św. Jan od Krzyża – będziemy sądeni z miłości do Boga i ludzi.

34 Niedziela Zwykła, Chrystusa Króla Wszechświata

Zdecyduj człowieku – czy wolisz być lubiany i nieszczerzy, czy też prawdomówny i
nielubiany?

Ewangelia (J 18,33b-37)

Pilat powiedział do Jezusa: „Czy Ty jesteś Królem żydowskim?”

Jezus odpowiedział: „Czy to mówisz od siebie, czy też inni powiedzieli ci o Mnie?”

Pilat odparł: „Czy ja jestem Żydem? Naród Twój i arcykapłani wydali mi Ciebie. Coś uczynił?”

Odpowiedział Jezus: „Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd”

Pilat zatem powiedział do Niego: „A więc jesteś Królem?”

Odpowiedział Jezus: „Tak, jestem królem. Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha mojego głosu”

Z wielkim zainteresowaniem przekartkowałem kiedyś w księgarni wspomnieniową opowieść autorstwa Magdy i Andrzeja Dudzińskich. W książce tej zatytułowanej *Mały alfabet Magdy i Andrzeja Dudzińskich*, na którą zresztą trafiłem zupełnie przypadkowo, przeglądając kolejne pozycje, na którejś z półek, autorzy zawarli wspomnienia o ważnych dla nich ludziach, miejscach, wydarzeniach, przedmiotach, a nawet zwierzętach. Wszystkie zaś wspomnienia przywoływane były na tle historii obyczajowej współczesnej Polski, Europy i świata. W haśle, które było poświęcone Stanisławowi Dygatowi, polskiemu powieściopisarzowi, felietoniście, dramaturgowi i scenarzyście filmowemu, a prywatnie ojcu pani Magdy, natrafiłem na nieco intrygujące słowa. Otóż, współautorka książki wspominała poradę, jakiej jej niegdyś, gdy była jeszcze dzieckiem, udzielił ojciec: „Musisz wcześniej w swoim życiu zdecydować: czy wolisz być lubiana i nieszczera, czy prawdomówna i nielubiana” (Magda Dygat-Dudzińska i Andrzej Dudziński, *Mały alfabet Magdy i Andrzeja Dudzińskich*, Kraków 2009, s. 78).

Przyglądając się tej poradzie, trzeba przyznać, że Stanisław Dygat postawił sprawę nie tylko jasno, ale też i na ostrzu noża, gdyż wskazał, że w ludzkim życiu są w zasadzie jedynie dwie możliwości: albo inni będą nas lubili, albo też nie będą nas lubili. Co więcej, pierwsza z opcji zrealizuje się tylko wtedy w życiu danego człowieka, gdy nie będzie on szczerzy. Natomiast druga, gdy będzie osobą prawdomówną.

I ktoś mógłby w tym momencie powiedzieć, że Stanisław Dygat, udzielając powyższej nauki córce, przesadził. Ale czy na pewno?

Popatrzmy teraz na dzisiejszy fragment Ewangelii. W jej sercu znajduje się słowo „prawda”, gdyż Jezus wyraźnie zaznacza, że przyszedł na świat w jednym celu, aby dać świadectwo prawdzie. Dzisiejszy ewangeliczny fragment jest oczywiście jedynie częścią opowiadania o spotkaniu Jezusa z Piłatem, podczas którego pada słynne pytanie zadane Jezusowi przez rzymskiego urzędnika: „A cóż to jest prawda?”. Pytanie to znajduje się kilka wersetów dalej, licząc od zakończenia dzisiejszego fragmentu Ewangelii.

Ale daje – jak myślę – sporo też do myślenia, w kontekście Jezusowego wyznania na temat swego posłannictwa odnośnie do złożenia świadectwa prawdzie, fakt, że w Ewangelii według św. Jana bezpośrednio przed miejscem, od którego zaczyna się dzisiejsza perykopa, znajdują się wersety, w których jest mowa o bliskiej już, patrząc z perspektywy tamtych oczywiście wydarzeń, śmierci Jezusa i jej sposobie. Ewangelista Jan wyraźnie tym samym sugeruje, że pomiędzy świadectwem, jakie o prawdzie składa Jezus, a Jego Ukrzyżowaniem istnieje ścisły i nierozzerwalny związek.

Uwzględniając powyższe, można zatem powiedzieć, że Stanisław Dygat, udzielając wspomnianej rady swej córce, nie wydaje się przesadzać zbyt wiele, a może nawet w ogóle. Ten, kto staje po stronie prawdy, zazwyczaj w relacjach międzyludzkich prosi się przecież o kłopoty. Losy Jezusa są doskonałą ilustracją tej zależności.